

Connie Brockway

1977 - 1985

Autobiography

CONNIE BROCKWAY

Hoj
Androszy
wróg



1977 - 1985

❧ Romans historyczny ❧

CONNIE
BROCKWAY

*Mój najdroższy
wróg*

Przekład
Irena Kołodziej


AMBER

1

W

wiadomość o śmierci Horatia Algernona Thorne'a nadeszła wraz z listem od niego.

1 marca 1887 roku

Avery James Thorne

Bloomsbury, Londyn

Avery!

Lekarze twierdzą, że zostało mi niewiele życia i powinienem uporządkować swoje sprawy. To właśnie zamierzam uczynić. Dopilnowa

łem, by ten list dotarł do Twoich rąk przed odczytaniem mojego testamentu; wyświadczam Ci w ten sposób łaskę i uprzedzam o jego treści.

Zawdzięczasz tę grzeczność mojemu poczuciu rodzinnych zobowiązań i wrażliwości, z którą jakoby niewiele miałeś do czynienia.

Prawdopodobnie spodziewasz się, że po mojej śmierci, jako jedyny żyjący krewny płci męskiej twojego kuzyna Bernarda, zostaniesz jego prawnym opiekunem. Jesteś w błędzie. Zaraz wyja

śnię Ci, dlaczego.

Po pierwsze i najważniejsze, zanadto przypominasz swego ojca. Pomimo wszelkich moich usiłowań, by poskromić Twój temperament, jesteś jak on nieodpowiedzialny, samowolny i zapalczywy. Dwie ostatnie cechy mogłyby okazać się dla Ciebie bardzo przydatne, gdybyś był krzepki i silny jak ja w młodości, i uczynić Cię przywódcą. Fizycznie jesteś jednak okazem słabości, a żaden mężczyzna nie zechce słuchać słabeusza.

Sądzę, że dla Bernarda stanowiłbyś niebezpieczny przykład, zwłaszcza w obecnym momencie jego życia, gdy zaczyna on wykazywać tę samą nieszczęsną inklinację do fizycznej wátłósci. Nie myśl, że nie pamiętam licznych przypadków, kiedy używałeś swojej choroby jako pretekstu, by wylegiwać się w szkolnej infirmerii, czy listów, jakie na Twoje życzenie pisali wychowawcy z prośbą o zabranie cię przed upływem semestru ze względu na Twoją nieszczęsną słabość. Jest aż nadto prawdopodobne, że przy Tobie Bernard zniewieściałby do reszty, a przecież jako dziedzic ogromnej fortuny musi przewyciężyć tę skłonność.

Tak więc zdecydowałem, że opiekę prawną nad Bernardem będą sprawowali członkowie zarządu banku, których znam osobi

ście od wielu lat.

A teraz co do ciebie, Avery. Jak powiedziałem, świadom jestem moich rodzinnych obowiązków. Przez najbliższe pięć lat będziesz otrzymywał co miesiąc rozsądną kwotę bądź od tegoż zarządu banku, bądź od niejakiej panny Lillian Bede, której zaoferowałem zarządzanie po mojej śmierci majątkiem Mill House. Jeśli po upływie pięciu lat majątek wykaże dochód, odziedziczy go ona. Jeśli bilans będzie ujemny, dziedzicem zostaniesz Ty.

Dlaczego wprowadziłem tę klauzulę, nie Twoją jest sprawą.

Mill House należy do mnie i mogę nim rozporządzać wedle swego widzimisię.

Niemniej, jako że zapewne przypominasz sobie, iż wspomniałem raz, że któregoś dnia majątek może stać się Twoją własnością, czuję się jako dżentelmen zobligowany do poinformowania Cię, że nie zapomniałem o tym, co w Twojej wyobraźni mogło urosnąć do rangi obietnicy. Jestem nadal święcie przekonany, że mimo wszystko odziedziczysz Mili House. Panna Bede jest wszakże dziewiętnastoletnią istotą płci żeńskiej; jeśli godzi to w Twoją męską dumę, tym lepiej.

Potraktuj to jako odroczenie dziedzictwa do czasu, gdy, mam nadzieję, staniesz się go wart. Nie oznacza to, iż spodziewam się, że będziesz długo żałował niedanej Ci odpowiedzialności. W istocie będziesz prawdopodobnie szczęśliwy z powodu tej zwłoki.

Wiem, że posiadłość jest Ci równie obojętna jak Twój własny kuzyn.

Po upływie pięciu lat zostaniesz mianowany prawnym opiekunem Bernarda. Tymczasem życzę Ci z za grobu pokory skromno

ści i poddania się rodzinnym obowiązkom.

Horatio Algernon Thorne

- A ja ci życzę, żeby cię pochłonął ogień piekielny! - Avery odepchnął się od zdezelowanego biurka, które zajmowało jedną ze ścian wynajmowanego mieszkania. Powiódł wzrokiem po skąpej zbieraninie mebli, jaką zastał, wprowadzając się tu, do pozostałości po obcych ludziach, możliwej do zaakceptowania tylko dlatego, że wiedział, iż któregoś dnia będzie miał coś własnego. Któregoś dnia będzie miał Mill House.

Piętnaście lat temu, tydzień po tym, jak epidemia grypy zabrała mu oboje rodziców, przyjechał do Devon, by spotkać się ze swoim prawnym opiekunem, wujem Horatiem. Miał wtedy siedem lat.

Przypomniawszy sobie, jak z wysadzanej cyprysami alei wjechali na zwirowy podjazd. Wysunął głowę przez okno, ogarnął spojrzeniem kamienny dwór, połyskujący niczym bursztyn na tle letniej zieleni trawnika, i zapalał ku niemu namiętą miłością.

Horatio, ubawiony widniejącym w szeroko otwartych oczach Avery'ego uwielbieniem i niezaznajomiony jeszcze z jego „nieznośnym chorobliwym sapaniem”, uległ dziwnemu kaprynowi i obiecał chłopcu dom.

Łatwo mógł sobie pozwolić na podobną szczodrość... Mill House nic dla niego nie znaczył. Był to po prostu jeszcze jeden dom, jaki posiadał, nabyty wraz z ziemią przez jego ojca.

Chociaż od tamtej pory Avery nieczęsto mógł odwiedzać wuja - dwukrotnie spędził tu ferie świąteczne i parę tygodni pewnej niesamowitej jesieni - wciąż miał przed oczyma duszy obraz Mill House. W czasie długich okresów rekonwalescencji spędzanych w izbie chorych w Harrows uciekał od bólu, spacerując w wyobraźni korytarzami Mill House.

Czekał nań niemal przez całe swoje życie. Niczym najwytrwalszy konkurent podziwiał i pragnął, nie ujawniając głębi swojej namiętności, by nie została wykorzystana przeciw niemu. A teraz ta starannie pielęgnowana obojętność miała stać się jego zgubą. Dom został zaferowany jakiejś dziewiętnastoletniej sufrażystce!

Mocniej zacisnął palce na kopercie. Usta wykrzywił mu gorzki uśmiech. Dawno temu, by przetrwać, wypracował w sobie twardość ducha, która miała zrekompensować fizyczną słabość. Stał się biegły w traktowaniu jej po męsku, jak dżentelmen, którym zdecydowanie zamierzał się stać. Jakiegokolwiek ciosy go spotykały, fizyczne lub uczuciowe, czy to ze strony losu, czy opiekuna, czy też innych chłopców, przyjmował je z godnością i zgryźliwą autoironią. Zyskał w ten sposób szacunek i podziw kolegów - lecz nikogo więcej.

W rzeczywistości często błagał nauczycieli, by nie pisali do Horatia za każdym razem, gdy pogarszał się jego stan fizyczny. Doskonale 7



wiedział, że wzbudzi to jedynie niechęć opiekuna. Sądząc z listu, nie zawsze respektowano jego życzenia.

Jedynie, co kiedykolwiek miał na własność, to swój bystry umysł, status dżentelmena i obietnicę, że stanie się właścicielem domu. A teraz dziedzictwo zostało „odroczone”, a dom dostał się tej... Lillian Bede.

Nazwisko nie było mu całkiem obce. Pamiętał, że widział kiedyś jej wizerunek w jednej z gazet, sporządzony przez jakiegoś artystę. Wysoka, czarnobrewa dziewczyna o wyglądzie Cyganki, ulubienica sufrażystek. Jak tej jędzy udało się wkręcić w łaski Horatia? I dlaczego miałyby zaakceptować tak szaleńcze wyzwanie? To, co powiedział Horatio, było niewątpliwie prawdą: żadne dziewczątko nie zdoła zarządzać przez pięć lat takim majątkiem jak Mill House - zarządzać z powodzeniem, oczywiście.

Pięć lat... Avery odchylił głowę na oparcie obrotowego krzesła.

Powoli zakręcił się w kółko, usiłując skupić myśli, ale choć zmuszał się do spokoju, wciąż wrzał w nim gniew. Pięć przeklętych lat!

Poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Starannie podarł list na drobne kawałeczki. Duma bywa kosztowna, ale było to najcenniejsze, co miał. Otworzył szczupłą dłoń i patrzył, jak skrawki papieru powoli opadają na podłogę. Wiedział już, co ma robić.

Ciemne orzechowe drzwi najdalszego, cichego pomieszczenia kancelarii prawnej Gilchrist i Goode otworzyły się z hałasem i ze środka bezceremonialnie wypadła Lily Bede. W ręce trzymała kopertę. Cienka warstewka potu pokrywała jej dłonie i spływała z koniuszków palców na gruby pergaminowy papier.

Rozejrzała się. Nikt nie wyszedł za nią do poczekalni: ani piękna wdowa, ani drobny, wątły chłopak, ani przystojna córka w średnim wieku. Bez wątplenia wciąż siedzą wokół stołu z otwartymi szeroko ustami.

Tylko jedna osoba, której dotyczyła ostatnia wola Horatia Algernona Thorne'a, była nieobecna przy jego odczytaniu: Avery Thorne, spodziewany dziedzic Mill House i, jeśli zdecyduje się zaakceptować warunki tego dziwaczego testamentu, jej... wychowanek. Podopieczny.

Na myśl o tym ugięły się pod nią nogi.

Pod otwartym oknem dostrzegła niewielką ławkę i z wdzięcznością opadła na twardą powierzchnię. Dziś rano szukała jakiegoś sposobu, by móc zapłacić czynsz za swój ubogi pokój na poddaszu. Po południu zaoferowano jej rezydencję...

8

...i prawną opiekę nad dorosłym mężczyzną.

Wróciła jej jasność myśli. Kto mógł przewidzieć taki obrót sprawy?

Spotkała Horatia Thorae'a tylko raz, trzy lata temu, po przedwczesnej śmierci rodziców. Stary człowiek o wąskich, zaciśniętych wargach przyszedł, jak powiedział, ze względu na szacunek dla swojej drogiej zmar

łej żony - ciotki Lily - by zaoferować dziewczynie pomoc finansową.

Lily, bez grosza, przełknęła dumę i skorzystała z jego pieniędzy, by wstąpić na jedną z nowo otwartych uczelni dla kobiet. Po zakończeniu edukacji odkryła, że wyższe wykształcenie niekoniecznie przekłada się na lepsze zatrudnienie. Tak naprawdę w ogóle była bez pracy. Kiedy, ku jej zaskoczeniu, zaproszono ją, by asystowała przy odczytaniu ostatniej woli Horatia, poczuła żalną ulgę.

Spodziewała się niewielkiego spadku; zamiast tego zaoferowano jej lwią część majątku. Dlaczego? Spojrzała na ścisną w dłoni kopertę.

Rozerwała ją i wyjęła kilka arkusików papieru.

1 marca 1887

Panno Bede!

Jak pani wiadomo, nie aprobowalem szwagra mojej żony, pani ojca. Powinien był zalegalizować związek z pani matką, poślubiając ją, i w ten sposób uregulować pani sytuację prawną. Przez szacunek dla mojej zmarłej żony próbowałem złagodzić ten błąd, wspierając panią finansowo.

Proszę sobie wyobrazić mój wstrząs i rozczarowanie, gdy zobaczyłem pani nazwisko w gazecie! Artykuł na temat tak zwanego ruchu kobiecego cytował pani wypowiedź krytykującą instytucję

„zalegalizowanej formy niewolnictwa zwanej małżeństwem”.

Biorąc pod uwagę pani osobistą sytuację, sądziłbym raczej, że kto jak kto, ale pani będzie popierać tę świętą instytucję służącą ochronie kobiety. Pani przekonania, że kobiety potrafią robić to samo co mężczyźni, tylko lepiej, śmiem nazwać banialukami! Niestety, doskonale zdaję sobie sprawę z bezcelowości wygłaszania kazań wobec młodych, upartych osób. Zamiast tego proponuję więc pani lekcję praktyczną.

Daję pani szansę, by dowiodła pani prawdziwości swoich przekonań, czyniąc z Mill House kwitnący interes. Jeśli po pięciu latach odniesie pani sukces, odziedziczy go pani wraz ze wszystkimi aktywami. Będzie pani mogła zaspokoić swoje ambicje i żyć w całkowitej niezależności od męskiej ingerencji. Będzie też pani miała niewątpliwą przyjemność udowodnienia, że nieboszczyk się mylił.

9

Jeśli jednak się pani nie uda, dom przejdzie na własność mojego bratanka, Avery'ego Thorne'a.

Avery jest obecnie niezbyt zdolny do zarządzania majątkiem tak jak pani, chociaż, przynajmniej na

pozór, posiada niezbędne do tego męskie cechy. Niestety, jak dotąd jeszcze się nimi nie wykazał. Stąd podwójny charakter mojej propozycji.

Avery'emu brakuje samodyscypliny i pokory. Mam nadzieję, że czyniąc panią odpowiedzialną za jego byt materialny, kładę fundament pod rozwój obu tych cech.

Naturalnie, jeśli już teraz dostrzega pani błędność swojej drogi, może się pani wycofać. Mill House odziedziczy Avery, a pani, po publicznym zadeklarowaniu, że miejsce kobiety jest w domu pod opieką mężczyzny, zostanie przyznane przyzwoite roczne wynagrodzenie. Jeśli jednak pani nazwisko będzie jeszcze kiedykolwiek zacytowane w kontekście tego obrzydłego ruchu sufrażystek, zostanie pani natychmiast wydziedziczona.

Z szacunkiem,

Horatio Algernon Thorne

Lily zmiała list w małą, twardą kulkę, czerpiąc z tej czynności dziką rozkosz. Co za wścibstwo, co za zarozumiałość! Zacisnęła usta i z gniewu oblała się rumieńcem. Jak on śmiał osądzać jej rodzinę?

Mogła być bękartem, ale przynajmniej rodzice trzymali ją z daleka od pobożnych snobów w rodzaju Horatia Thorne'a. A co do małżeństwa... Małżeństwo nie jest żadną gwarancją bezpieczeństwa, pomyślności czy szczęścia. Małżeństwo gwarantuje kobiecie jedynie to, że będzie jedną ruchomości, przedmiotem, zależnym od męskich zachcianek i męskiej brutalności. Nawet dzieci stają się jego prawną własnością!

Przecież jej własny brat i siostra... Uciekła od tych bolesnych wspomnień i znów zamyśliła się nad testamentem.

Chyba nie mogła przyjąć propozycji Horatia. Była zdumiona, że stary lis zdołał sprawić, iż podobne warunki testamentu miały moc prawną.

Z pewnością ktoś będzie próbował go podważyć. Córka Horatia? Owdowiała synowa? A już na pewno ten Avery Thorne.

A jednak... Ambicja i nadzieja znowu ścisnęły jej żołądek. Gdyby nikt nie zakwestionował testamentu i gdyby potrafiła dobrze zarządzać majątkiem... Pomysł był niezwykle kuszący. Nie musiałyby się martwić, kiedy będzie znów jadła, czy zdoła zapłacić czynsz... A co jeszcze bardziej niewiarygodne, mogłaby poznać ludzi o tych samych przekonaniach i poglądach co własne. Być może nawet spotkałaby bratnią duszę, 10

mężczyznę, który nie zabrałby jej serca, oferując w zamian niewolnictwo. Lekki uśmiech zbladł na jej wargach. Co za nonsens... Z pewnością ktoś zakwestionuje testament.

Na ściskany w dłoni arkusik papieru padł cień. Powietrze wypełniła woń bzu. Spojrzała w górę.

W smudze słonecznego światła padającego przez okno stała przed nią w milczeniu synowa Horatia, Evelyn Thorne. Lekko zaciskała drżące dłonie. Słońce wybieliło jej twarz i włosy, nadając wygląd

księżycowej zjawy, zbyt nieśmiałej jednak, by straszyc po nocy.

- Będzie pani na pewno chciała zabrać swoje rzeczy - powiedziała cichym, pełnym wahania głosem.
- Może pani posłać po woźnicę. To znaczy, jeśli uważa to pani za słuszne...

Lily utkwiała w niej nierozumiejący wzrok. Po twarzy Evelyn przemknął niepewny uśmiech.

- Zamierza pani przeprowadzić się do Mill House, nieprawdaż? -

Przerwała na chwilę. - To chyba niepotrzebny wydatek, utrzymywać dwa oddzielne apartamenty.

Jej życzliwość, gdy Lily spodziewała się wyłącznie niechęci, była nie do odparcia. Smętnym uśmiechem odpowiedziała na uśmiech Evelyn.

- Nikt chyba nie nazwałby mojego wynajmowanego pokoiku „apartamentem”, pani Thorne.

Policzki Evelyn zaróżowiły się.

- Proszę mi wybaczyć. - Lily podniosła się. Była o głowę wyższa od Evelyn i teraz, stojąc tak blisko, mogła dostrzec subtelną siateczkę zmarszczek w kącikach jej ślicznych szarych oczu i leciutkie spierzchnięcie smukłej szyi. Była starsza, niż w pierwszej chwili przypuszczała Lily, bliższa raczej trzydziestu pięciu niż dwudziestu pięciu lat.

Wsunęła list do kieszeni spódnicy.

- Jestem skazana na porażkę, pani Thorne. Nie sądzę, żebym potrafiła spełnić warunki testamentu pani teścia. Nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć kierowanie majątkiem.

- Rozumiem - powiedziała Evelyn. - Nie myślę nawet o wtrącaniu się, ale gdybym miała zaryzykować domysły, to sądzę, że tu, na miejscu, znajduje się coś, co podtrzymuje funkcjonowanie Mill House - prze

łknęła ślinę. - Jakiś skuteczny system.

Lily wpatrywała się w nią z namysłem. Evelyn miała rację. Przypuszczalnie tryby Mill House nie zatrzymały się wraz ze śmiercią Horatia... Gdyby tylko miała czas na zorientowanie się, jak to wszystko dzia

ła!

11

- A co z córką pana Thorne'a? Sprawia wrażenie wspaniałej kobiety. Czy nie będzie się czuła urażona, że obcy człowiek przychodzi do jej domu i przejmuje zarząd, zwłaszcza ktoś tak niedoświadczony jak ja?

- Francesca? - Evelyn otworzyła szeroko oczy. - Zawsze traktowała Mill House wyłącznie jako

tymczasowe schronienie. Zapewniam panią, że Francesca w ogóle nie dba o to, kto mieszka w Mill House czy kto nim zarządza. Zresztą Horatio wystarczająco ją zaopatrzył, podobnie jak mnie i mojego syna.

- No tak, ale jest jeszcze sprawa pana Avery'ego Thorne'a - zauwa

żyła Lily. - Mill House mógł być jego. Z pewnością zakwestionuje testament. .. - Zapaliła się do tematu. - Wystarczy, że zjawi się w sądzie, by uznano, że racja jest po jego stronie, niezależnie od rodzaju sprawy, wyłącznie ze względu na płeć. On...

- On wyjechał do Afryki, panno Bede - przerwała łagodnie Evelyn.

- W zeszłym tygodniu, w piątek.

-Co?

- Dostaliśmy list od niego. Zamierza spędzić najbliższe pięć lat na podróżach.

- Na podróżach - powtórzyła jak echo Lily.

- Owszem. Wyraził swoje... hm... swoje rozczarowanie treścią testamentu i przekonanie, że gdy po pięciu latach wróci, zostanie właścicielem Mill House.

Evelyn wyciągnęła rękę.

- Przynajmniej Avery nie będzie podważał testamentu, skoro nie ma go w Anglii. A zatem, dopóki nie odkryjemy jego planów, czy nie będzie pani czuła się wygodniej w domu?

- W domu? - Lily nie mogła uwierzyć, że Avery Thorne zrezygnował

bez walki ze swoich roszczeń wobec Mill House. Być może dom nic dla niego nie znaczył? Może nie potrzebował go tak rozpaczliwie jak ona?

Evelyn zarumieniła się. Jej rzęsy zatrzepotały.

- Ja... my oczywiście opuścimy posiadłość. Tak szybko, jak będzie sobie pani tego życzyła.

- Nie! - zawołała Lily, wstrząśnięta. - Proszę... Nawet gdybym była skłonna zaakceptować warunki testamentu, nigdy bym tego nie zrobiła, wiedząc, że moje nieoczekiwane szczęście ma być przyczyną waszej eksmisji.

- Och, możemy przecież wynająć mieszkanie w mieście. To bardzo... modne. Wręcz wytworne.

- Ale to nie byłby dom - upierała się Lily.

- Jednak nie mogłabym mieszkać dłużej w Mill House, wiedząc, że powstrzymuje to panią przed jego przyjęciem. - Z jasnego czoła Evelyn 12

bił łagodny upór. - Przypuszczam... - rzuciła Liły zalęknione spojrzenie. - To znaczy... być może, gdybyśmy uczestniczyli w wydatkach, moglibyśmy...

- Tak? - zachęciła Lily.

- Moglibyśmy mieszkać tam wszyscy razem.

Lily utkwiała w niej wzrok.

- W domu - wyjaśniła Evelyn.

Dom... To słowo przepłynęło przez Lily jak fala tęsknoty. Nigdy nie miała domu, jedynie wynajmowane w mieście mansardy i strychy albo odstępowane za parę groszy wiejskie domki.

Rozważyła możliwości, jakie miała przed sobą. Mogła otrzymywać książęcą pensję tak długo, jak długo zdoła milczeć w sprawach, na których temat miała bardzo zdecydowane przekonania - albo podjąć ryzyko.

- Tak - powiedziała cicho. - Myślę, że moglibyśmy mieszkać razem. Ale przedtem muszę załatwić parę spraw. Przyjadę do Mili House pod koniec tygodnia.

Tak czy inaczej, nie zdołałaby zamilknąć, jak życzyłby sobie tego wuj.

Devon, Anglia

Wrzesień 1887 roku

o, to prawie jesteśmy, panno Bede - mrugnął do niej woźnica, po czym znów skierował uwagę na konia.

Lily nakazała sobie, by nie gapić się zbyt otwarcie. Ostatecznie bywała już wcześniej we dworach... Paru przyjaciół jej ojca było właścicielami bajecznych rezydencji. Niemniej, pomyślała, uśmiechając się szeroko, nigdy dotąd nie oglądała dworu, który mógł stać się w niedalekiej przyszłości jej własnością.

Mill House był piękny. Zaledwie stuletni dom zbudowano z ciemnożółtego kamienia, który wydobyto z okolicznych terenów. Ręcznie obrobione bloki jarzyły się w ciepłym świetle przedpołudnia barwą miodu koniczynowego. Frontową, zwróconą na południe fasadę zdobił rząd wysokich okien, symetrycznie bramujących proste, wysmukłe drzwi wejściowe, w których lśniącym szkłe odbijało się

nieskazitelnie błękitne niebo.

13

Wierny swojej wiejskiej proweniencji, dom nie był otoczony drzewami ani ogrodem. Tylko jeden pradawny cyprys wystrzelał niczym wieża zza jednego rogu. Wśród zielonej łąki poznaczonej punkcikami żółciutkich przywrotników i pierwiosnków wiła się niewielka, bystra rzeczka o urwistych torfowych brzegach. Za nią Lily dostrzegła sylwetkę oracza bronującego pole. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Powietrze przepełniała bogata woń świeżo zoranej ilastej gleby. Cudownie...

Woźnica zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i obszedł powóz, by pomóc jej wyjść. Jak na zawołanie, drzwi otworzyły się i na podeście schodów ukazał się schludnie ubrany człowiek w średnim wieku. Jego twarz wieśniaka o ściągniętych rysach miała w sobie swojską pospolitość; głowę pokrywała gęsta szczotka sztywnych siwych włosów.

Za nim, w mrocznym hallu, zebrał się najwyraźniej niekończący się szereg ludzi. Młodzi, starzy, głównie kobiety, paru wyrostków, niektórzy w fartuchach, inni w prostej odzieży... Służba.

Rodzice Lily nie zatrudniali nikogo inaczej niż na przychodne.

Lily zaczęła wchodzić po wiodących ku wejściu stopniach. Natychmiast pośpieszył ku niej mężczyzna.

- Proszę pozwolić, panno Bede, że się przedstawię. Jestem Jacob Flowers.

- Czym pan się tu zajmuje, panie Flowers?

- Jestem kamerdynerem. Sprawuję nadzór nad służbą wewnątrz domu - wskazał dłonią stojących w szeregu ludzi. - Czy mogę ich pani przedstawić?

Świadoma utkwionych w nią niezliczonych par oczu, Lily zdołała jedynie skinąć głową. Flowers uroczyście poprowadził ją przed sobą wzdłuż szeregu, rzucając nazwiska, ludzie zaś momentalnie zginali się w ukłonie lub przysiadali w dygu niczym blaszane króliki trafione śrutem na strzelnicy wiejskiego jarmarku.

Gdy dotarli do stojącej na końcu podkuchennej - hożej dziewczyny o rumianych jak jabłka policzkach, w podejrzenie napiętym fartuchu -

Lily odwróciła głowę.

- Ilu ich jest? - spytała.

- Dwadzieścioro dziewięcioro, panno Bede - oznajmił z dumą Flowers. - A jest jeszcze służba folwarczna. Oczywiście -jego oko spoczę

ło niczym dotknięcie berła na ciężarnej dziewczynie - niedługo będzie nas dwadzieścioro ośmioro.

- Tylu ludzi do utrzymania jednego domu? - spytała. - Co oni wszyscy robią? - Szorstkie, umazane węglem drzewnym dłonie i silny zapach ługu pozwalały bez trudu odgadnąć zajęcia kobiet, Lily spojrzała 14

jednak z zainteresowaniem na sześciu wysokich, nienagannie odzianych mężczyzn w białych rękawiczkach. - A oni do czego są potrzebni?

- Wnoszą srebrne tace i sprowadzają bagaże z miasta. - Widząc zdumienie na twarzy Lily, Flowers dodał: - Podają do stołu podczas proszonych obiadów, trzymają za uzdę konie, kiedy podjeżdża powóz, opuszczają kandelabry w hallu... I podnoszą, naturalnie.

- Naturalnie - mruknęła. Znowu spojrzała na stojących w szeregu ludzi. Wszystkie twarze zwrócone były ku niej, jedne nieprzeniknione, inne ciekawe... W paru dostrzegła zniechęcający rys poufałości, a w jednej nawet wyczytała wprost: „Nie jesteś lepsza ode mnie, Cyganko, nie jesteś mi nawet równa”.

Ze strachu serce zaczęło jej mocniej bić. Spróbowała zebrać myśli.

Musiała coś powiedzieć.

- W ciągu najbliższych tygodni - zaczęła drżącym głosem - wiele się zmieni w Mill House. Ci, których pracę uznam za zbyteczną, zostaną odprawieni, naturalnie z listami polecającymi.

- Co pani rozumie przez zbyteczność? - usłyszała czyjś głos.

- Mam na myśli tych, których umiejętności nie są niezbędne do codziennego funkcjonowania majątku.

- Nie martw się, Peg. Na twoje szczególne umiejętności, dziewczyno, zawsze będzie zapotrzebowanie! - zawołał męski głos, a po nim rozległ się wybuch śmiechu. Wzrok Lily spoczął na młodym chłopaku o zuchwałym wyglądzie.

- Ty odchodzisz jako pierwszy - powiedziała.

- Co? Nie może pani...

- Mogę. Już u mnie nie pracujesz.

Przez długą chwilę mocowali się wzrokiem. Dzięki Bogu, spódnica do kostek ukrywała drżenie nóg... W końcu, ze stłumionym przekleństwem na ustach, chłopak wystąpił z szeregu i krocząc ze złością, zniknął w otwartych drzwiach. Reszta patrzyła na jego odejście z rozdziawionymi ustami.

- Od tej pory w tym domu, moim domu, każda kobieca praca będzie ceniona, a pomywaczka traktowana z takim samym szacunkiem jak kuchmistrz.

- No no, nie dajmy się zwariować - mruknęła drobna, siwowłosa kucharka o nieprawdopodobnie brzmiącym nazwisku Kettle*.

- Chcę, żeby Mill House przynosił dochód i to nie tylko dla mojego dobra, ale także dla dobra wszystkich kobiet. Bo jeśli kobieta taka jak ja, bez nazwiska, pozycji czy urodzenia, zdoła dzięki własnej ciężkiej pracy

* Kettle (ang.) - kociołek

15

i wytrwałości poprowadzić z sukcesem majątek taki jak Mill House, czy widzicie, jakie możliwości otwiera to przed wami? Mówię otwarcie: potrzebuję waszej pomocy. Jeśli nie jesteście gotowi podjąć się tego zadania, jeśli nie możecie obdarować mnie bezwarunkową lojalnością, nie ma tu dla was miejsca.

- Ja jestem za panią, panienko! - odezwała się drżącym głosem cię

żarna dziewczyna.

- Doskonale. A pozostali niech pomyślą o tym, co powiedziałam.

Zastanówcie się nad swoją przyszłością i pod koniec tygodnia zobaczymy, na czym stoimy. Teraz możecie się rozejść.

Szereg momentalnie pękł. Służący rozproszyli się, znikając w głębi korytarza, za drzwiami i na wiodących w górę schodach. Lily została sama z Flowersem.

- Nie podoba mi się to, panienko - powiedział z nachmurzoną miną.

- Czuję się w obowiązku powiedzieć pani, że nie aprobuję tych komunistycznych porządków w moim gospodarstwie.

Lily spojrzała mu prosto w oczy. Wzięła głęboki oddech.

- To nie jest pańskie gospodarstwo, panie Flowers. Biorąc jednak pod uwagę, jak dalece nie aprobuje pan mnie i moich... porządków, jestem pewna, że z przyjemnością dowie się pan, iż nie potrzebuję już więcej usług kamerdynera.

- C . c o ?

- Jest pan zwolniony, panie Flowers.

Przez chwilę myślała, że mężczyzna będzie się kłócił, ten jednak tylko splunął, odwrócił się i wyszedł.

Lily zamknęła oczy, zdumiona własnym zuchwalstwem. Kolana się pod nią uginały.

- Głosowałabym na panią - rozległ się tuż za nią gardłowy głos. -

To znaczy, jeśli miałabym takie prawo.

Lily obląła się żarem. Otworzyła oczy. Obok niej stała córka Horatia, Francesca, stara panna w średnim wieku.

Nikt jednak nie posądziłby jej o staropanieństwo. Popielatoblond loki piętrzyły się ponad bladymi, sennymi oczyma i drażniły kąciki ust zbyt różanej barwy, by mogła być ona naturalna. Ubrana też była bynajmniej nie jak stara panna. Taftowa suknia w kolorze pawiego błękitu zaszeleściła zmysłowo, gdy kobieta podeszła bliżej.

- Jestem Francesca Thorne - przedstawiła się. - Przykro mi, że nie ma tu Evie, by mogła panią powitać. Wezwano ją wczoraj do Eton. Bernard trochę słabuje... Nie ma powodu do zmartwienia - cierpi na płuca i od czasu do czasu dostaje tych swoich ataków. O ile ma zapewniony 16

spokój, czuje się całkiem dobrze. Evie, na wypadek gdyby pani nie zauważyła, jest nadzwyczaj spokojna.

Lily skinęła głową.

- Prosiła mnie, żebym panią przywitała z należytą godnością - ciągnęła Francesca. - Witam panią, panno Bede. - Jeden kącik jej ust uniósł

się w szelmowskim uśmiechu.

- Proszę mi wybaczyć, panno Thorae, jeśli sprawiam wrażenie zbyt żywiołowej...

- Proszę mi mówić Francesca. Muszę wyznać, że byłam zdecydowana wyjechać do Paryża, ale po tym przedstawieniu... - Znów ten tajemniczy uśmiech. - Cóż, myślę, że zostanę na jakiś czas. Wolno mi, nieprawdaż?

- Naturalnie. - Lily spojrzała z troską na staranną fryzurę Franceski i jej kosztowną suknię.

- Nie musi się pani martwić o mnie i mój nieliczny personel, panno Bede - powiedziała Francesca, wodząc wzrokiem za jej spojrzeniem. -

Ojciec lubił myśleć, że jestem od niego w pełni zależna finansowo. Dość powiedzieć, że był w błędzie - wzruszyła ramionami. - Evelyn to co innego... Po śmierci męża spakowała manatki, zabrała Bernarda i uciekła. Wylądowała w Mili House i od tamtej pory tu mieszka. Oczywiście, zawsze może pani kazać jej się wynieść...

Lily, zszokowana, odskoczyła do tyłu.

- Nigdy tego nie zrobię!

- Dlaczego? - spytała Francesca. - Mężczyźni robią to cały czas.

- Jeszcze jeden powód spośród wielu, dla których kobiety powinny trzymać się z dala od nich.

- Błagam cię, Panie Boże - Francesca przycisnęła dłoń do piersi i wzniosła oczy ku niebu - pamiętaj, że to ona powiedziała, nie ja! We wszelkich boskich rozrachunkach pomiń, proszę, moją osobę. Idziemy, panno Bede, zarządziłam herbatę w moim pokoju. Tędy, proszę, na górę.

Lily ruszyła w ślad za Francescą, chłonąc chciwym wzrokiem piękne ozdoby wnętrza domu: wschodni dywan wyściełający schody, inkrustowany malachitem stolik, bezcenną wazę z Sevres wypełnioną strzępiastymi brązowymi chryzantemami... Pomimo prowokacyjnego zachowania Franceski sprawy poszły lepiej, niż przewidywała. Poznała niemal wszystkie osoby, których dotyczył testament Horatia, i żadna z nich nie zdawała się ratować kłopotów oprócz...

- Oprócz Avery'ego Thorne'a - mruknęła do siebie Lily. Sporo czasu spędziła, usiłując sobie wyobrazić ewentualnego dziedzica Mill House. Niemile to były myśli, jako że jego nazwisko zawsze niosło ze 17

sobą posmak poczucia winy. A, co odkryła ostatnio, w ślad za poczuciem winy często idzie podejrzliwość. - On coś knuje. Jestem tego pewna.

- Nie słyszę pani, panno Bede - powiedziała Francesca.

- Myślę, że Avery Thorne nie pozwoli mi objąć Mill House. - Ta jej przekłeta skłonność do myślenia na głos! Francesca nie wydawała się jednak dotknięta.

- Dlaczego pani tak myśli?

Lily miała chęć odpowiedzieć wymijająco. Ale z drugiej strony, ta kobieta mogła dostarczyć jej jakiejś wiedzy na temat Avery'ego Thorne'a. - Ponieważ nie dość, że zapragnął zwiedzić świat, to w dodatku przebywa w najbardziej niedostępnych częściach globu - odparła. -

Myślę, że lokując się w nieosiągalnym dla mnie miejscu, Avery Thorne usiłuje doprowadzić mnie do utraty Mill House.

Francesca wyglądała na zbitą z tropu.

- Ale w jaki sposób?

- Poprzez stworzenie sytuacji, w której nie będę w stanie dostarczać mu środków, jakich, zgodnie z testamentem, dostarczać powinnam.

Wówczas będzie wyglądało na to, że nie potrafię zadbać o zapewnienie mu w okresie sprawowania opieki odpowiedniego poziomu życia. - Lily splotła ręce na piersiach i uśmiechnęła się ponuro. - Ale to mu się nie uda. Moi rodzice mieli przyjaciół na całym świecie. Zapewniam panią, że jeśli Avery będzie się znajdował o dzień marszu od któregoś z nich, dostanie swoją pensję.

- Chyba jest pani w błędzie. - Francesca zdawała się być szczerą. -

Avery nie jest typem człowieka, który zawracałby sobie głowę intrygami. - Westchnęła. W twarzy miała smutek i czułość. - Nigdy nie działał

podstępnie. A to dlatego, że z jakichś niewyjaśnionych powodów Avery żyje w złudzeniu, iż jest uosobieniem dżentelmena. Jednak nie jest. Niewiele miał do czynienia z wyższymi sferami i to widać, niekiedy aż zbyt wyraźnie. Doprawdy, jego dżentelmeneria to raczej kwestia honoru niż etykiety... Choć on pierwszy spierałby się na ten temat.

- Jest mężczyzną, panno Thorne - pouczyła ją Lily. - Jako mężczyzna jest zdolny do wszystkiego, aby tylko postawić na swoim.

Francesca uniosła ręce pokonana, jak sądziła Lily, argumentami nie do podważenia.

- Proszę mi wybaczyć, panno Thorne - dodała Lily pospiesznie - że rozstrząsam w tak nieczuły sposób kwestie pani domu. Zdaję sobie sprawę, że to musi być niełatwe patrzeć, jak wyciągają się po niego obce ręce, i myślę, że jest pani w tej sprawie niezwykle łaskawa.

18

Francesca odwróciła się.

- Och, nie, moja droga... To nie jest i nigdy nie był mój dom. Ani Evie, proszę mi wierzyć. Jak powiedziałam, mieszka tu dopiero od czasu, kiedy zmarł jej mąż Gerald.

- Przykro mi z powodu jej męża...

- W takim razie tylko pani jest przykro. - Francesca objęła Lily ramieniem i poprowadziła ją krętymi schodami w górę. - Mój drogi brat przez całe lata usiłował dać Evie dziecko - dziecko płci męskiej. Dowiedziawszy się, że mu się udało, Gerald szybko spił się do nieprzytomno

ści, a potem uparł się, by dosiąść tego ogiera - bo przecież mężczyzna, który spłodził syna, nie może jeździć na wałachu, prawda? - i pognał

zawiadomić sąsiadów. Złamał sobie kark, zanim ucichł pierwszy krzyk jego syna.

- Ależ to tragiczne! - wykrzyknęła Lily.

- Gerald był okropnym tyranem. Evie wciąż jeszcze wraca do siebie po małżeństwie z nim. Równie dobrze może to pani usłyszeć ode mnie, jak od służby... Och, moja droga, na pewno jest pani wstrząśnięta, prawda? - Nie, niespecjalnie - odparła Lily.

Podobne historie słyszała już dotąd niezliczoną ilość razy. Kobiety rzadko decydują się na rozwód z powodu brutalności męża... Nie zawsze chodzi jedynie o przemoc fizyczną, no i niewiele kobiet wybierze porzucenie małżonka, jako że zazwyczaj oznacza to również rozłąkę z dziećmi. Tak właśnie została odsunięta od dzieci jej matka.

Z trudem uniosła wreszcie podbródek. Dawno już nie myślała o swoim przyrodnim bracie i siostrze.

Francesca spojrzała na nią z zaciekawieniem, ale Lily odmówiła jakiegokolwiek komentarza. Weszły na górę i stanęły na podeście schodów. W obie strony prowadziły stąd obszerne korytarze.

- Tu zaczyna się wielka podróż - powiedziała Francesca, po czym dodała nienaturalnym, afektowanym głosem: - Mill House ma dwadzie

ścia dwa pokoje. A może więcej. A może mniej... Nigdy nie liczyłam.

Ale wiem, że jest tu osiem sypialni. Jestem pewna, że spałam w nich wszystkich - jej spojrzenie było świadomie dwuznaczne.

Lily odwzajemniła je bez skrępowania. Choć matka starannie ją chroniła, mimo wszystko wychowała się w środowisku o swobodnych obyczajach. Jeśli Francesca miała ochotę ją zaszokować, musiała wymyślić coś bardziej gorszącego.

- W takim razie mogłaby pani chyba poradzić mi, w której jest najlepszy materac.

19

Zdumione spojrzenie Franceski nieoczekiwanie przerodziło się w wybuch śmiechu.

- O tak! Zdecydowanie powinnam umieć to ocenić.

Wprowadziła Lily przez ozdobione łukiem drzwi do niewielkiej galerii. Na wprost okien wisiały rzędem portrety. Wyzierało z nich rodzinne podobieństwo dostrzegalne w oczach o nieprawdopodobnie intensywnym błękitnozielonym odcieniu i w pełnych zmysłowych ustach.

Stały przed stosunkowo świeżym olejnym wizerunkiem kilkunastoletniego młodzieńca o posturze stracha na wróble. Miał typowe dla klanu Thorne'ów oczy i wargi oraz wielki nos z czymś, co przypominało brzdęk po złamaniu. Artysta wybrał dla niego - zdaniem Lily bezsensownie - pozę arystokraty: z nogą wysuniętą do przodu i z grubokości-stą dłonią spoczywającą na biodrze. Niestety, podkreślało to tylko guzowate nadgarstki młodzieńca i chude jak wrzeciona łydki.

- Kto to? - spytała Lily.

- Jedyne Thorne, który jest naprawdę przywiązany do Mill House.

Avery Thorne.

Ten chudy chłopak o wielkim nosie to Avery Thorne? Więc to jest ów pretendent do Mill House?

- Portret namalowano pięć lat temu, kiedy Avery miał siedemnaście lat - ciągnęła Francesca. - Dawno go nie widziałam, ale mówiono mi, że trochę zmężniał.

- To miło. A czy nie ma... wątpliwego umysłu? Chodzi mi o to, że wygląda dość mizernie i ponuro... - urwała nagle, oblewając się rumieńcem.

- Ejże, ejże - zachichotała Francesca - mówi pani o moim drogim kuzynie! Ale wracając do pani pytania, jeśli jego nieczęste listy do mojego ojca mogą być jakąś wskazówką, Avery jest inteligentny. Zdecydowanie inteligentny.

Lily z uwagą przyjrzała się portretowi. Nos prawdopodobnie został złamany, bo chłopak wsadzał go w nie swoje sprawy. Oczy były osadzone zbyt głęboko... jakby zakapturzone. Usta miały szyderczy wyraz.

Nagle uderzyła ją myśl, że być może osądza tak surowo Avery'ego Thorne'a wyłącznie z tego powodu, że chce go wykluczyć z gry... Stłumiła tę myśl. Jako mężczyzna Avery miał mnóstwo innych możliwości, by zadbać o swoją przyszłość. Ona miała jedną. Właśnie tę.

Kongo Francuskie, Afryka Środkowa

Marzec 1888 roku

very ruszył w drogą, opędzając się od przeklętych moskitów, które usiłowały wypić krew z jego nagiego karku. Tu, w głębi interioru, osiągały rozmiary śpiewających ptaszków. Wyjął z ust ogryzione cygaro i wydmuchał gęsty kłęb niebieskawego dymu, w nadziei, że odstraszy to mniej zajadłe sztuki.

Kiedy wszedł do obozu, jego dawny szkolny kolega, Karl Dhurmann, uniósł głowę znad kociołka, w którym mieszał niezbyt ciekawie pachnący gulasz. Pod drzewem mahoniu, wsparty o pień, siedział John Neigl, amerykański kierownik ekspedycji. Pomimo upału owinięty był

w koce i wyraźnie drżał. Oczy miał na wpół przymknięte.

Sześć tygodni temu nabawił się malarii. Zapadłe policzki niweczyły wszelkie podobieństwo do krzepkiego młodzieńca, który jeszcze niedawno tak pewnie prowadził ich naprzód. Na szczęście znajdowali się zaledwie szesnaście kilometrów od Stanleyville, gdzie Avery spędził

cały ostatni dzień, rezerwując dla Johna bilet powrotny do Europy.

- Jak tam, stary? - spytał Avery.

- Po prostu świetnie - powiedział John, szczękając zębami. - Załatwiłeś, co trzeba? Jadę do domu?

- Tak - odparł Avery. - Jedziesz do domu.

Widząc, jak napięcie znika z twarzy Johna, zastanowił się przez chwilę, na jaki statek, to znaczy dokąd płynący, by się zaokrętował, gdyby to on zapadł na malarię. Z pewnością nie czekał na niego żaden dom, żadna przystań, gdzie miał prawo przebywać i gdzie zawsze byłby mile powitany. Jeszcze nie...

- Ale to nie wszystko. - Avery wyciągnął z kieszeni dużą kopertę. -

Dostałem przesyłkę z Anglii.

- Od kogo? - spytał John. Avery z zadowoleniem dostrzegł błysk zainteresowania w jego zmętniałych oczach.

Zamiast odpowiedzi rozerwał opakowanie. Ze środka wypadła koperta. Z jednej strony widniało jego nazwisko, skreślone pewną ręką; po stronie nadawcy przeczytał: *Lillian Bede, Mill House, Devon, Anglia.*

- To od tej kobiety - powiedział.

- Jakiej kobiety? - spytał z zainteresowaniem Karl. - Przecież ty nie znasz żadnych kobiet. Nie jesteś typem, którym interesują się kobiety.

21

Nigdy nie byłeś... No, chyba że prowadziłeś w college'u podwójne życie: jedno jako słabowity, skory do kłótni uczeń, a drugie jako światowiec i uwodziciel.

- Nie zdziwiłoby mnie to - mruknął John. - Ten przeklęty Avery to coś w rodzaju kameleona w ludzkiej skórze. - Jego twarz lśniła w blasku obozowego ogniska, obficie zroszona potem. - Wygląda na to, że jemu ta okropna podróż w ogóle nie zaszkodziła. Niechętnie przypominam o tym wam obu, ale to ja miałem być pełnym animuszu przywódcą tej wyprawy. Dla chudzielca Avery'ego była przewidziana tylko rola dowcipnego kronikarza.

Avery niezręcznie wzruszył ramionami. Nie sposób było zignorować gorzką prawdę. Nigdy nie przypuszczał, że będzie prowadzić tak niebezpieczną egzystencję, a już na pewno nie spodziewał się, że w niej rozkwitnie.

- Jestem pewien, że wszystko wróci do normy, gdy tylko staniesz na nogi, John. - Krępujący był dla niego ten zwrot w rozmowie, wziął więc do ręki list. - Jedyne, co chciałbym wiedzieć, to w jaki sposób, do diabła, zdołała ona dostarczyć to tutaj.

- Kobiety mają swoje sposoby - powiedział tajemniczo Karl. Wyskrobał z puszki resztki wołowiny do poczerńałego kociołka i otarł

ostrze noża o własny język.

- Czy tam, skąd pochodzisz, nie uczą, jak należy zachowywać się przy stole? - spytał John z rozdrażnieniem.

Jedyną reakcją ze strony Karla było kliknięcie wieczka kieszonkowego zegarka. Otworzył je i zamknął. Powiedział kiedyś Avery'emu, że przypomina mu to, iż żadna godzina nie jest przyobiecana, żadne jutro zapewnione. I że nazwisko, rodzina, dom, to, co każdy człowiek ma najdroższego, mogą rozpląnąć się w ciągu paru minut.

Wojna domowa spowodowała zagładę ojczystego kraju Karla - i ca

łej jego arystokratycznej rodziny.

Jak gdyby czytając w myślach Avery'ego i nie mogąc ścierpieć współczucia, Karl powiedział, nie podnosząc głowy:

- Czemu nie otwierasz tego przeklętego listu?

Avery rozciął kopertę, dmuchnął w nią i odwrócił do góry nogami. Na błotnistą ziemię sfrunęło osiemnaście dziesięciofuntowych banknotów.

- Co to jest, do diabła? - zdziwił się Karl.

- Być może list mógłby to wyjaśnić - podsunął John.

- To prawda - powiedział Avery i zaczął czytać na głos: *Panie Thorne! Zapewniono mnie, że każdy, kto podróżuje po Kongo, dociera w końcu do miejsca zwanego Stanleyville, i że ten list trafi tam do Pańskich rąk.*

22

Być może w przyszłości zechce mnie Pan informować, gdzie mogę przesyłać moją korespondencję. Jestem pewna, iż nie zdaje Pan sobie sprawy, że jeśli nie uda mi się dostarczyć Panu odpowiednich środków, złamię warunki mojej prawnej opieki nad Panem i w ten sposób zostanie zagrożone moje przyszłe dziedzictwo.

Jak śmie ta smarkula podawać w wątpliwość mój honor? - pomyślał

Avery z niedowierzaniem. Przecież ona się z ze mnie jawnie natrzęsa!

Najwyraźniej myśli, że potrafi sprostać temu niedorzecznemu wyzwaniu, do którego podjęcia zmusił ją - zmusił ich oboje - Horatio...

- *W istocie* - czytał dalej - *jestem pewna, że fakt, iż trudno Pana odnaleźć to efekt zwykłego przypadku, a nie świadomego wysiłku, by przebywać poza moim zasięgiem.* - Co za podejrzliwa, głupia...

baba! - wybuchnął, narażając się na zdumione spojrzenia Karla. - Posłuchaj no tylko: *Mimo wszystko jednak nie sposób przesadzić z ostrożnością, jeśli ma się do czynienia z mężczyzną.* Mężczyzną? - uniósł

brwi. - Ja jestem dżentelmenem. Choć ośmielam się przypuszczać, że panna Bede, zadając się z tymi sufrażystkami, tak niewiele ma do czynienia z dżentelmenami, że może nie rozpoznać jednego z nich.

Karl utkwiał w nim rozbawiony wzrok.

- Co za zdumiewająca wyobraźnia - mruknął.

- Nawet nie próbuję dociekać, do kogo lub do czego pijesz.

- Dobrze, dobrze... No to co z tym listem? - Karl zawiesił głos tytułem zaproszenia.

Avery znów zaczął czytać:

- *Będę co kwartał dostarczać Panu pensję. A teraz przejdźmy do rzeczy: przejrzałam Pańskie niezapłacone rachunki, które pozostawił Pan, uciekając z Londynu... Uciekając z Londynu! Ta nieznośna smarkula pisze tak, jakbym był jakimś przestępcą!*

Z gardła Johna wydobył się chrapliwy śmiech.

- Słowo daję! Nie pamiętam, żebym się kiedy tak ubawił. Ta kobieta dorównuje ci sarkazmem.

Avery postanowił zignorować uwagę. Bądź co bądź, ma do czynienia z chorym człowiekiem... Przewrócił kartkę.

- *Przejrzałam Pańskie niezapłacone rachunki, które pozostawił Pan, uciekając z Londynu, i uregulowałam je. To z pewnością moje plebejskie pochodzenie sprawiło, że o mało nie zemdlalam, kiedy przyszło mi zapłacić pięćdziesiąt funtów za kurtkę myśliwską. Proszę, sir, niech Pan zaspokoi moją ciekawość: czy nie może Pan polować, powiedzmy, w zwykłej kurtce? A może to lis miałby coś przeciwko temu?*

23

Me ma chyba potrzeby mówić, że więcej takich rachunków płacić nie będę. Zdecydowałam, że przydzielę Panu kwartalną pensję w wysokości stu osiemdziesięciu funtów. Oto pańska pierwsza wypłata. Jeśli uzna Pan, że jest niewystarczająca, by zaspokoić Pańskie potrzeby, proponuję, by nauczył się pan potrzebować mniej.

Pozdrawiam

Lillian Bede

Post scriptum: Jest Pan zaproszony na Boże Narodzenie do Mill House. Pańska wyprawa do Afryki bez reszty zawładnęła wyobraźnią Pana kuzyna Bernarda.

- Co za wspaniała kobieta - orzekł Karl. - Jestem pewien, że natychmiast po powrocie z Anglii bym się jej oświadczył.

Avery uniósł brew.

- Mylisz się. Ona w ogóle nie jest w twoim typie.

- Skąd wiesz? - spytał kpiąco Karl.

- Bo tobie, Karl, jak każdemu rozsądnemu mężczyźnie, podobają się kobiety delikatne, łagodne, a ona taka nie jest. Widziałem jej wizerunek w jednym z tych obrzydliwych socjalistycznych szmatławców. W najlepszym razie jest to chudy, wiedźmowaty staruszek o zapadłych oczach.

- Staruszek? - John odwrócił głowę, zdumiony.

- Staruszek. Ktoś, kto dopiero osiągnie stadium staruchowatości.

Niedojrzała forma brytyjskiej staruchy - wyjaśnił Avery.

- Ale gazety celowo mogły pokazać ją jako brzydką - zaprotestował

John. Avery patrzył z radością na ożywione twarze przyjaciół i w duchu posłał Lily Bede słowa podziękowań.

- John, stary, ładna kobieta może mieć wszystko, co chce, wyłącznie dzięki symetrycznemu układowi rysów, przypadkowej pigmentacji oczu czy kształtowi porów, które modelują strukturę włosa. Jeśli jest bystra, to wystarczy, że do tego, czym obdarzyła ją natura, dołoży trochę treningu twarzy, tak żeby częściej się uśmiechać, niż marszczyć brwi.

Jedynie dzięki temu może zapewnić sobie życie, w którym wszyscy będą ją rozpieszczać i hołubić.

- Do czego zmierzasz? - spytał Karl.

- Zmierzam do tego - rzekł Avery - że sądząc z listów, panna Bede jest kobietą inteligentną, choć irytującą. A zatem, gdyby miała przynajmniej przeciętną urodę, wykorzystalaby ją dotąd, żeby wyjść za mąż.

John nie wyglądał na przekonanego.

- Ale rysownik mógł zrobić z niej brzydulę dlatego, że nie podobały mu się jej poglądy.

24

- No tak. Jej poglądy. To tylko potwierdza moją hipotezę o braku urody. Odpowiedzcie sobie, panowie, na pytanie - dodał Avery z uprzejmym uśmiechem, mającym wyrażać pobłażanie dla naiwności towarzyszy - czy widzieliście kiedykolwiek ładną sufrażystkę?

Devon, Anglia

Sierpień 1888 roku

- Goły, goły, wypuść woły-y-y!

Lily odbiła się od brzegu, objęła ramionami kolana i wylądowała w samym środku młyńskiego stawu, powodując niesamowity i niesamowicie przyjemny plusk. Ze śmiechem wyłoniła się z wody i potrząsnęła głową. Fontanna lśniących niczym diadem kropli opadła na pomarszczoną powierzchnię stawu.

Bernard, stojąc na brzegu, patrzył na nią zafascynowany.

- Teraz twoja kolej, stary! - Lily uniosła ramię i zachęcająco machnęła ku chłopcu.

- Może powinienem poczekać, aż będę lepiej pływać - powiedział

z wahaniem Bernard.

Lily zmarszczyła nos.

- Już teraz pływasz doskonale.

Ziemista twarz chłopca zarumieniła się z zadowolenia. Lily cieszyła się, że w chwili natchnienia znalazła sposób, by wyrwać chłopca spod zbyt troskliwej opieki Evelyn i zorganizować Bernardowi tych parę okazjonalnych lekcji pływania.

Jako dziecko dwojga nonkonformistów odziedziczyła ich dobre strony; uświadomiła to sobie, płynąc teraz na plecach w oczekiwaniu, aż Bernard spełźnie po skarpie. Umiejętność pływania była jedną z nich.

W chwilę później usłyszała, że Bernard wchodzi do wody. Zachłysnął się, chwycił powietrze... Czekala z bijącym sercem. Wreszcie usłyszała jego oddech, równy, bez śladu tego okropnego charczenia, które dręczyło go od czasu do czasu.

- Naprawdę myśli pani, że dobrze pływam? - spytał nieśmiało, płynąc pieskiem w jej kierunku.

- Wspaniale - potwierdziła Lily, rozgarniając wodę ramionami i nogami, tak że podbródek to wynurzał się, to chował. - Wątpię, czy którykolwiek inny chłopak w twojej szkole pływa choć w połowie tak dobrze jak ty. Jeśli w ogóle pływa - uśmiechnęła się figlarnie. - To nie jest rozrywka, którą ludzie kojarzą ze statusem dżentelmena.

25

- Ale ja lubię pływanie - oświadczył Bernard. - A jestem dżentelmenem... prawda?

- Zdecydowanie.

Na zatroskanej twarzy Bernarda pojawił się wyraz ulgi.

- Czy to tak ważne, Bernardzie, żeby być dżentelmenem? - spytała łagodnie.

Na pociągłej twarzyczce chłopca ulga ustąpiła miejsca oburzeniu.

- Oczywiście! Ja jestem Thorne. To moje dziedzictwo. Angielska tradycja. Bez dżentelmenów świat byłby nieucywilizowany.

- Kto tak powiedział? - zadrwiła Lily.

Ale Bernard nie kwapił się do żartów na tak ważny temat.

- Avery Thorne.

-Hmm.

No tak... Powinna była wiedzieć. Avery Thorne. Idol małych chłopców i czytelników brukowej prasy w całym kraju.

- Czy coś jest nie tak? - Bernard, jak zawsze wrażliwy na odczucia otaczających go ludzi, znów wyglądał na zatroskanego.

Jakże nienawidziła tego wyrazu na jego dziesięcioletniej buzi! Zrobi wszystko, aby tego popołudnia chłopiec już więcej się nie martwił.

Dziś oboje mieli wagary - ona od kłopotów związanych z prowadzeniem majątku, on od obowiązku zachowywania się jak dżentelmen.

- Skądże! Wszystko w porządku - odparła.

Słońce muskało ją ciepłymi promieniami, a włosy unosiły się wokół

niej na wodzie jak pasma czarnej jedwabnej przędzy, gdy znów popłynęła na plecach. Uśmiechnęła się. Przyjemność, jaką dawała jej ta prosta czynność, stała się udziałem również Bernarda, który też się uśmiechnął. - Chcesz się nauczyć nurkować?

Lily, stojąc obok Franceski i Evelyn na najwyższym stopniu schodów biegnących ku podjazdowi, stuknęła palcem w kopertę, którą ścisła

ła podbródkiem. W dole woźnica i główny ogrodnik, Hob, zdejmowali z platformy ogromne drewniane pudło.

- Czy to kolejny list od którejś z twoich dawnych pokojówek? -

spytała Francesca, spoglądając obojętnie na mozolących się mężczyzn.

- Jak ty potrafisz sprzedać wszystkie te dziewczyny jako wdowy z niemowlętami przy piersi niczego niepodważającym paniom domów?

Czy nikt nie uważa za dziwne, że przez dwa lata znalazłaś pracę najmniej dwunastu świeżo osieroconym wdowom?

26

Lily, słuchająca jednym uchem, nie odpowiedziała. Rozmawiały o tym już wcześniej. Personel Mill House stanowiły przede wszystkim młode, niezamężne, ciężarne niewiasty.

Oprócz pokoju, wyżywienia i niewielkiej pensji Lily dawała im po urodzeniu dziecka porządne listy polecające, wypłacała przyzwoitą premię, a jeśli to było potrzebne, sporządzała fałszywą metrykę

ślubu. Potem odsyłała je do odległych dworów, w których pilnie potrzebowano służącej. Było to rozwiązanie w pełni satysfakcjonujące wszystkich. Lily nie wiedziała, dlaczego tak bawi to Francescę.

- Jak myślisz, co jest w tym pudle? - szepnęła Evelyn.

Lily rozejrzała się wokół. Dzięki wino nad drzwiami wejściowymi trzeba by bardziej przyciąć... pomyślała. Powiodła dumnym spojrzeniem właścicielki po innych fragmentach Mill House. Różowe granitowe schody mieniły się w słońcu tysiącami iskierek, świeciła mosiężna blacha na drzwiach, lśniło ich gładkie, wyszlizgane do połysku drewno.

- Może jakaś bomba, którą przysłały Lily na przechowanie jej przyjaciółki-sufrażystki? - podsunęła Francesca. - Słowo daję, wszystkiego można się spodziewać po takiej Polly Makepeace.

Lily spojrzała na nią z lekką wymówką. Być może Polly Makepeace nie miała najprzyjemniejszego charakteru, ale nie sposób było zakwestionować jej zaangażowania w rozmaite ważne dla kobiet sprawy.

- Czy razem z paczką przyszedł ten list? - spytała Evelyn.

Lily skinęła głową.

- No więc czemu go nie czytasz? - ponagliła ją Francesca.

- Nie jest zaadresowany do mnie. To list do Bernarda - odparła Lily, nie ukrywając zawodu.

- Bernard - powiedziała Francesca - wrócił w zeszłym tygodniu do szkoły. Jestem pewna, że chciałby, abyśmy przeczytały, jakie wskazówki przyszły razem z tym czymś, i potrafiły właściwie się o to coś zatroszczyć.

- Tak - przyświadczyła Evelyn. - Ja też myślę, że Bernard by tego chciał.

- Naprawdę? - spytała Lily. Obie kobiety z zapalem skinęły głowami. - No cóż, skoro jesteście pewne, to chyba nie zostanie posądzona o niedyskrecję...

- Ach, skąd! - zaprotestowała Evelyn.

- Ty, Lily, posądzona o niedyskrecję? - Francesca uniosła brwi w udanym zdumieniu. - Nigdy.

Lily poczuła się w pełni usprawiedliwiona. Otworzyła kopertę i wyciągnęła arkusik papieru.

- To od niego - powiedziała z triumfem.

Niepotrzebne były dalsze wyjaśnienia. Evelyn ściągnęła usta w wyrazie potępienia, a Francesca uśmiechnęła się szeroko.

Lily odchrząknęła.

- Zaczyna się tak: *Drogi kuzynie i kto tam jeszcze może przypadkiem czytać ten list.* - Lily parsknęła szyderczo. - *Mam nadzieję, że spodoba ci się Billy. To najbardziej opancerzona, nieprzyjazna człowiekowi aberracja natury jaka kiedykolwiek czaiła się na tej ziemi. Billy w rzeczywistości jest samicą. Poinformuj, proszę, swoją drogą opiekunkę, że jakiegokolwiek podobieństwo między staruszką Billym a, powiedzmy, kimkolwiek innym, jest niezamierzone.*

Nawet imię Billy, tak podobne w brzmieniu do jej imienia, to zwykły przypadek.

- Co tak pryhasz, Lily? - spytała Evelyn. - Ten łajdak cię po prostu prowokuje.

- Wiem - odparła Lily, wybuchając w końcu śmiechem. - On jest niemożliwy! Wszyscy to wiedzą.

- No czytaj, czytaj - ponagliła Francesca.

- *Myślę więc, że najlepiej będzie, jeśli ze względu na wymogi rycerskości my, chłopaki, ukryjemy prawdziwą płęć Billy'ego. Tutaj Billy terroryzował całą wieś, dopóki nie oddałem do niego strzału z mojego rugera 44. Strzału, którego rezultatem, dodam skromnie, było obwołanie mnie przez miejscowego przywódcę plemienia bogiem. No, nie!* - wykrzyknęła Lily.

- Lily, proszę! - przywołała ją do porządku Francesca.

- No dobrze już, dobrze... - Lily wróciła do czytania. - *Być bogiem jest dość przyjemnie, kuzynie. Proponuję, żebyś któregoś dnia spróbował, choć muszę zaznaczyć, że wyniesienie cię na pozycję boga jest mało prawdopodobne w twojej obecnej życiowej sytuacji. Bądź jednak dzielny, Bernardzie, zapewniam cię, że są w Ameryce, Afryce, a nawet w Brytanii miejsca, gdzie mężczyzna nadal kieruje swoim losem. Co za nadęty, filisterski...*

- No nie, jesteś niemożliwa - powiedziała z irytacją Francesca. -

Dawaj, ja dokończę - wyszarpnęła list i szybko przebiegła go wzrokiem, by znaleźć miejsce, w którym Lily skończyła czytać. - *Niemniej bycie bogiem ma również złe strony. Jedną z nich jest to, że zostałem na razie przyobiecany tym ludziom. Chcą, żebym poszedł z nimi na pielgrzymkę, której celem jest odnalezienie ich zwierzęcego totemu.*

Oznacza to, niestety, że przez kolejny rok nie będę mógł powrócić do Anglii. Być może przyjadę na następne święta Bożego Narodzenia. Tymczasem jesteś stale obecny w moich myślach i planach.

Przekaż, proszę, pozdrowienia swojej matce, cioci Francesce i, naturalnie. Tej, Której Należy Być Posłusznym. Twój kuzyn, Avery Thorne. - Francesca złożyła list.

- Jak myślicie, co to takiego ten Billy? - Evelyn nie spuszczała wzroku ze skrzyni, którą mężczyźni próbowali otworzyć.

- Któż to może wiedzieć? Ja bym po prostu chciała, żeby pan Thorne przestał obdarowywać Bernarda pamiątkami po swoich „nadzwyczajnych przygodach” - powiedziała Lily, świadoma poirytowanego tonu. -

W domu pełno jest tych głupot: maoryskie rytualne nakrycie głowy, statuetki płodności, wypchane zwierzęta...

- Ostrożnie, Lily - poradziła jej Francesca. - Mówisz tak, jakbyś mu zazdrościła.

- Bo zazdroszczę - przyznała spokojnie Lily. - Jak można nie zazdro

ścić komuś, kto wałkoni się po świecie, pisze o tym historii, posyła je do gazet i zbija pieniądze na uleganiu swoim dziecinny zachciankom?

Francesca wzruszyła wymijająco ramionami - Wróciła właśnie z trzymiesięcznej podróży do Paryża, gdzie ulegała własnym dziecinny zachciankom.

- Ja tam mu nie zazdroszczę - rzekła Evelyn. - Jestem zadowolona z tego, co mam. Myślę, że ty też, Lily.

- Tak - przyznała Lily. - Tylko uważam, że Horatio Thorne, pisząc taki testament, miał na celu skłonienie bratanka do pięciu lat oszczędnego, statecznego życia. Cóż, zostały tylko trzy lata, a ja nie widziałam dotąd żadnych dowodów, że pan Thorne się zreformował. Wygląda raczej na to, że z każdym miesiącem staje się coraz bardziej nieodpowiedzialny. Ileż to razy ryzykował życie w ciągu ubiegłego roku! O ile oczywiście jego opowieści są prawdziwe, w co wątpię. Czy można wierzyć, że ten... ten słabeusz jest zdolny do takich sportowych wyczynów? Czy w prasie pojawiła się kiedykolwiek jego podobizna? Nie. Oczywiście, że nie. Znacznie to zmniejsza wiarygodność przechwałek pana Thorne'a, czyż nie, Evie?

Młoda wdowa posłusznie skinęła głową.

- Widzisz, Francesca? Evelyn zgadza się ze mną.

- Evelyn zawsze się z tobą zgadza - zauważyła Francesca znudzonym głosem. Jej uwagę odwrócił woźnica, który podwijał rękawy, ukazując umięśnione przedramiona. - Uważam, że jego reportaże są szalenie ekscytujące.

- Nic z tego, panno Lily - powiedział Hob, ocierając czoło wierzchem dłoni. - Zapieczętowane na amen. Muszę powiedzieć Drummon-dowi, żeby zebrał jeszcze paru ludzi do pomocy.

4

D

- Psiakrew - zaklęła Lily. Nie cierpiała prosić o cokolwiek rządcy...

Był to zaprzysięgły wróg kobiet. Na nieszczęście był także najlepszym rządcą w hrabstwie.

- Wstyd by było - rzekła Francesca.

Słyszając pełne rozczarowania westchnienie Franceski, woźnica uniósł gwałtownie głowę. Na twarzy pojawił mu się wyraz dzikiej determinacji. Skoczył na wieko skrzyni i niczym neandertalczyk, rzucający się z włócznią na włochatego mamuta, zaczął dźgać je łomem, rozszczepiając deski. Francesca zaśmiała się, woźnica natężył, naparł na łom, podważył - i wieko z trzaskiem upadło na ziemię.

Tak - pomyślała Lily z podziwem - cokolwiek by się mówiło o Francesce, trzeba przyznać, że wie, jak sobie radzić z mężczyznami... Machając dłonią, żeby rozwiać kurz, zeszła po schodach i zajrzała do wnętrza skrzyni.

- Co to jest? - spytała Evelyn.

Lily spojrzała z namysłem na monstrualną istotę, świdrującą ją zło

śliwie szklanymi oczyma.

- Chyba krokodyl. Ma ze cztery metry. - Westchnęła głęboko. -

Najlepiej umieść go koło Bawołu z Przylądka, Hob.

Aleksandria, Egipt

Kwiecień 1890 roku

rogi Thorne! Czy słusznie wyczuwam nutkę chłodu w tym zwrocie, czy może jestem przewrażliwiony? - Avery wyjął z ust cygaro i spojrzał na swoją widownię: Karła, Johna, który właśnie przyjechał po ośmiomiesięcznej rekonwalescencji, i nowego towarzysza, który dołączył do nich w Turcji, Omara Salimanna.

Karl i John zamachali ku niemu niecierpliwie, żeby czytał dalej. Na ich twarze padało światło pochodni, umocowanych na ścianach hotelowego balkonu. W dole widać było tłum bladych jak duchy *feluccas*, *da-habiyas* i *zeheri*, wypełniających aleksandryjski port.

- *Drogi Thorne! Oto Pańskie pieniądze.* Chłód, bez dwóch zdań... Dobrze, dobrze, już czytam.
Chociaż pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego szorstkie epistoły tej kobiety tak was interesują.

Zwykle kłamstwo, pomyślał, strzepując popiół z cygara. Wiedział

dlaczego... Lily Bede nie tylko potrafiła odnaleźć go w każdym zakątku kuli ziemskiej, ale w dodatku zamieniała ich korespondencję w słowny ring, na którym od czasu do czasu wyraźnie wygrywała.

Musiał przyznać, że ta wymiana ciosów stała się interesująca, a nawet - w pewnym sensie, rzecz jasna - ważna dla niego. To oczywiste, że kiedy mężczyzna przez całe miesiące nie ma kontaktu z kobietami, każdy przejaw zainteresowania z ich strony, nawet ze strony kogoś o tak wątpliwej kobiecości jak Lily Bede, musi być mile powitany.

- Przestań się wpatrywać w list, Thorne. No, chyba że panna Bede zrobiła jakąś nadzwyczaj złośliwą uwagę.

- Nie - odparł Avery. - I nie musisz mówić z taką nadzieją, John. -

Ponownie zwrócił list ku blaskowi pochodni i zaczął czytać: *Bernard znowu się uparł, żebym przeczytała Pański list - i rozpakowała najnowszy ładunek - zanim wyślę go (list, nie ładunek) jemu. Proszę, Thorne, naprawdę nie musi Pan nadal zapępniać Mili House wzruszającymi pozostałościami po Pańskich krwawych pojedynkach.*

Pańskie ostatnie trofeum rezyduje obecnie obok Bawołu z Przylądka i - zaraz, zaraz, jakim to czarującym mianem ochrzcił

Pan tego biednego sparszywiałego kota? Ach tak, Zmarły Duch Nepalu.

Niech się Pan również postara powściągnąć swoje literackie zapędy, Thorne. Biedny Bernard wziął całkiem na serio Pańską opowieść o tym, jak to rzekomo został pan poturbowany przez to zwierzę. " Wszystko to sobie wyobraziłem - Avery mimo woli poruszył

zabandażownym i unieruchomionym ramieniem. - I moja ręka też.

- Nie wierzy, że poturbował cię tygrys? - odezwał się w końcu siedzący dotąd w milczeniu Omar. - Jak zwyczajna kobieta może wątpić w wielkiego Avery'ego Thorne'a?

Avery posłał mu rozanielony uśmiech. Omar dołączył do ich grupy, bo miał jasno sprecyzowany cel, by towarzyszyć „jednemu z największych podróżników świata”.

- No właśnie - podchwycił i wrócił do czytania, zanim Karl mógł

wtrącić jakikolwiek komentarz. - *Na wypadek, niezwykle mało prawdopodobny, gdyby w tej historii z tygrysem był strzep prawdy, czuję się w obowiązku ze względu na Bernarda poradzić Panu, by nie szafował Pan tak głupio życiem. Tak jakby zresztą można było szafować życiem w sposób rozsądny... Tylko w odniesieniu do mężczyzny można wypowiedzieć podobne stwierdzenie, nie tracąc powagi.*

- Ouuu - skomentował John. - Ale ci dołożyła.

31

- Ha! - wykrzyknął Avery. - To za ledwie szturchaniec. Posłuchaj dalej: *Na wypadek gdyby ostatecznie zagubił się Pan w czasie i permanentnie trwał w stanie fascynacji włóczęgą, tak typowym dla wieku dojrzewanania - zamknij się, Karl, twoje prychanie mnie rozprasza - myślę, że powinien Pan zastanowić się nad czekającymi Pana obowiązkami. Nie mam tu na myśli Mili House, który, jak się spodziewam, wkrótce przestanie być Pańską sprawą.*

- Chyba nie mówi serio - zauważył Karl.

A jednak mówiła, wstrętna baba... Avery przygryzł mocno cygaro.

Obsesja, by posiadać Mill House, mogła ją doprowadzić jedynie do gorzkiego rozczarowania. Nie lubił myśleć o Lily Bede jako o zrujnowanej kobiecie - w końcu zawdzięczał jej parę lat rozrywki.

Zaczynał podejrzewać, że pragnie ona Mill House równie mocno jak on. Fatalnie... Mill House był jego, przyobiecany mu od dzieciństwa. Jego i niczyj więcej.

- Wiesz co - powiedział Karl, patrząc z troską na Avery'ego - nie wydaje mi się, żeby to była taka wielka katastrofa, jeśli panna Bede odziedziczy Mili House. Nie mogę sobie wyobrazić, że byłbyś zadowolony, gdybyś musiał wziąć odpowiedzialność za tę - jak to ją nazywasz?

- kobietopodobną istotę o języku żmii.

Avery jęknął.

- Nie pomyślałem o tym. Ale oczywiście masz rację... Przeklęta diablica!

- Nie rozumiem - zaprotestował Omar. - Jeśli panna Bede utraci Mill House, dlaczego Avery miałby za nią odpowiadać? Z tego, co mówiliście, zrozumiałem, że Horatio Thorne odpowiednio ją zaopatrzył w testamencie.

- Tylko pod warunkiem - wyjaśnił Avery - że publicznie odwoła swoje dotychczasowe stanowisko w sprawie emancypacji kobiet i będzie potem wiodła skromny, spokojny żywot, nie utrzymując dalszych kontaktów z podobnymi sobie malkontentkami.

Skinął głową do przyjaciela, który od niechcienia zamykał i otwierał

wieczko zegarka.

- Powiedz mu, Karl... Od trzech lat wysłuchujesz listów tej kobiety.

Czy taka jak ona potrafi powstrzymać język?

- Wykluczone.

- Ale dlaczego ty masz być za nią odpowiedzialny? - spytał Omar.

Avery wyciągnął ku niemu dłoń z zapalonym cygarem. W ciemności załśnił rozżarzony koniec.

- Omar, mój drogi, ja jestem angielskim dżentelmenem.

John jęknął. Karl parsknął. Avery zignorował ich obu, dodając: 32

- Angielskiego dżentelmena z nieznanymi a tajemniczymi powodami wychowuje się w taki sposób, by nie był w stanie zezwolić upartej jak osioł kobiecie ponosić konsekwencji swoich czynów. Nie zawracaj sobie głowy pytaniem dlaczego. To zagadka, na którą nie ma odpowiedzi.

- Nadal nie rozumiem - powiedział z irytacją Omar.

Avery spróbował jeszcze raz.

- Kiedy ta farsa się skończy, panna Bede pozostanie bez środków do życia. Nie mogę, właśnie dlatego, że jestem dżentelmenem, wyrzucić jej z Mill House. A skoro jej nie wyrzucę, będę musiał opiekować się nią i karmić, na co ze zrozumiałych względów nie mam najmniejszej ochoty. Czy możesz sobie wyobrazić perspektywę codziennego śniadania z kobietą, która określa czyjeś życie jako „monotonną sekwencję męskich póz”?

- Rozumiem - powiedział z powątpiewaniem Omar.

Avery zaciągnął się głęboko cygarem i powoli wypuścił z ust kłęb wonnego dymu. Z nieznanymi przyczyn wcale nie był tak zmartwiony tym przykrym odkryciem, jak zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem mógłby być.

- Czy możesz skończyć wreszcie ten list? - spytał John.

- Gdzie stanąłem? A, tu. Panna Bede w jak zwykle subtelny sposób powiadomiła nas o swoim zamiarze przejścia Mill House. Zrobiwszy to, kontynuuje: *Mam na myśli Bernarda. Chociaż chłopak wciąż cierpi na sporadyczne nawroty choroby płuc, co martwi jego matkę - Avery zmarszczył brwi - nauka nadal idzie mu dobrze. Evelyn zabrałaby go do domu, ale zarząd banku twierdzi, że zgodnie z wolą Horatia Bernard pozostanie w szkole, chyba że udowodnimy, iż jego życie jest zagrożone. Jakie to okropne, że w tym kraju zmarły mężczyzna ma większą władzę niż żywa kobieta. Pan bez wątpienia będzie innego zdania.*

On jednak nie był innego zdania. To rzeczywiście było okropne.

Dobrze pamiętał identyczne wskazówki Horatia dotyczące jego, czyli swego wychowanka: „Dopóki się nie przewraca, ma wytrzymać”.

„W mojej posiadłości nie ma nikogo, kto by się mógł pieścić ze zdechlakiem, dlatego chłopak ma zostać w szkolnej infirmerii”. „W żadnym wypadku dyrekcja nie powinna pobbłażać...”

- Coś taki zachmurzony, Avery? - spytał John, skinąwszy na jednego ze służących w turbanach, by przyniósł mu świeżego drinka.

Avery strząsnął cygaro do kryształowej popielniczki.

- Bez powodu. *Być może mógłby Pan przesłać Bernardowi słówko otuchy. Uważa Pana za prawdziwego bohatera.*

Lily Bede musiała być naprawdę zmartwiona, skoro przepuściła okazję wetknięcia mu kolejnej szpili.

3 - Mój najdroższy wróg

- *Zwłaszcza podoba mu się Pańska historia o tym, jak został*

Pan wyniesiony na pozycję boga. Mnie również, jako że potwierdza ona moje odwieczne przekonanie, iż my, Europejczycy, nie doceniamy poczucia humoru innych ludów. Zawsze życzliwa Lillian Bede. - Avery wybuchnął śmiechem.

- Uwielbiam ją - oświadczył Karl, wznosząc w toaście kieliszek.

- Mówisz to przy każdym jej liście - zauważył Avery, chowając arkusik do kieszeni żakietu.

- Bo to prawda. Nigdy nie słyszałem, żeby tak zręcznie przywoływano kogoś do porządku... To majstersztyk!

- Tak - zgodził się gładko Avery. - I na tym polega problem. Ona chce być majstrem tam, gdzie powinna być majstrową.

Mill House, Devon

Grudzień 1891 roku

- Dzień dobry. - Francesca zajęła swoje miejsce przy stole obok Evelyn. Nowy domownik, kędzierzawa dziewczyna, po której zaczyna

ło już być widać skutki „przygody za stajnię”, naląła jej herbaty.

- Dzień dobry, Francesco - odparła z roztargnieniem Lily, przerzucając stos kopert.

Siedziały w przyjaznej ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu dystyngowanym brzęknięciem widelca o chińską porcelanę i trzaskiem drewna w kominku. Lily ogarnęła spojrzeniem swoją zastępczą rodzinę z uczuciem najwyższego ukontentowania. Z pewnością te dwie kobiety nie mogły być jej droższe niż brat i siostra, których nigdy nie widziała.

Ale z drugiej strony nie miała okazji tego sprawdzić...

Myśl ta rzuciła cień na jej pogodny nastrój.

- Dostałaś coś ciekawego? - spytała Francesca.

- Niespecjalnie - odparła Lily. - Pan Camfield prosi mnie o opinię na temat swoich nowych owiec.

- Zdaje się, że nasz nowy sąsiad zadurzył się w Lily - zauważyła Francesca.

- Nonsens - mruknęła Lily. Martin Camfield, nowy właściciel sąsiedniej farmy, był nie tylko przystojnym mężczyzną, ale także jednym z niewielu przedstawicieli swojej płci, którzy mieli tyle

zdrowego rozsądku, by traktować kobiety na równi z mężczyznami. - Po prostu potrzebuje mojej rozważnej oceny i to wszystko.

- Pan Camfield sprawia wrażenie mężczyzny oświeconego - powiedziała od niechcienia Francesca. - Po kimś takim można by się spo-

dziewać, że będzie się zachowywał w sposób postępowy. Nie czułby się chyba skrępowany konwencjami.

- Nie przypuszczam, żeby rzeczywiście czuł się skrępowany - odparła powoli Lily, wpatrując się podejrzliwie w Francescę.

- Z takim mężczyzną można by stworzyć nowoczesny typ związku...

Lily poczuła, że się rumieni. To, że Francesca wypowiedziała na głos myśli, którymi delectowała się ona sama, pogłębiło tylko jej zmieszanie. Martin Camfield oczekiwał jej opinii na temat środka na insekty dla owiec, niemniej nie da się ukryć, że nigdy nie zaprosił jej na herbatę.

Ale który mężczyzna by ją zaprosił? Była bękartem, bez nazwiska, bez pieniędzy... Z każdym rokiem jej skryte, pilnie strzeżone nadzieje na jakiś romans zdawały się mieć coraz mniej szans na spełnienie.

- Jest tam coś jeszcze? - spytała Evelyn.

- Słucham? - ocknęła się Lily.

- Pytałam, czy są jeszcze jakieś nowiny.

- Spójrzmy... Pan Drummond pisze, że powinnam tej zimy oczyścić staw i podsypać groble, na co rzecz jasna nie mogę sobie pozwolić.

Polly Makepeace pyta, czy Koalicja Emancypacji Kobiet może zorganizować tu w kwietniu swoje doroczne posiedzenie zarządu.

- Och, te wszystkie okropne kobiety w tych męskich kostiumach -

powiedziała z niesmakiem Evelyn, po czym rzuciwszy okiem na pantalon Lily, dodała: - Co nie znaczy, że ty wyglądasz choćby odrobinę mniej czarująco w swoim... no... w swoim stroju. Niewiele kobiet ma tyle wdzięku co ty, moja droga.

- Dziękuję - powiedziała Lily. W pełni zdawała sobie sprawę, jak Evelyn ocenia jej sposób ubierania się.

- Nie tylko do ich ubrań mam zastrzeżenia - ciągnęła Evelyn. - Po prostu nie sądzę, żeby to było dla ciebie odpowiednie towarzystwo, Lily.

Lily utkwiała w niej zdumiony wzrok. Evelyn zaskakiwała ją od czasu do czasu nieoczekiwanymi

przejawami wręcz matczynej troski.

- Ja też tak uważam - stwierdziła Francesca, zdumiewając ją jeszcze bardziej. - Ta Makepeace bezwstydnie cię wykorzystuje, Lily. Ona ci zazdrości. Ty masz wszelkie atrybuty przywódcy, a ona ani jednego.

Uwagi Franceski zbiły ją z tropu, niemniej były dla niej niezwykle miłe. I całkowicie... zbyt. Choć Polly Makepeace ją wykorzystywała, Lily była zdania, że to niewielka cena za uspokojenie wyrzutów sumienia. Przez cztery lata całą jej uwagę pochłaniało zarządzanie majątkiem, a przecież powinna poświęcić ten czas idei równości kobiet.

Rozważnie dobierając słowa, tak by za nic w świecie nie zranić ani Franceski, ani Evelyn, powiedziała:

35

- E tam... Wątpię, żebym zagrażała planom Polly Makepeace, by stanąć na czele Koalicji. Prawie nie biorę teraz udziału w pracach organizacji. Cały mój czas pochłaniają sprawy Mili House.

- Ale żeby od razu zapraszać ją do domu, Lily! Co my o niej naprawdę wiemy? - spytała Evelyn. - Albo o innych... To mogą nie być sympatyczne osoby, kochanie. Kto wie, skąd one pochodzą.

Lily westchnęła.

- Moje drogie, jeśli nie chcecie ich tutaj, powiedzcie mi to otwarcie.

Ale jeśli waszym jedynym zastrzeżeniem wobec nich jest niepewne pochodzenie, to obawiam się, iż w towarzystwie jestem uważana raczej za tę, która plugawi, niż która mogłaby zostać splugawiona.

- Och, nawet tak nie mów! - wykrzyknęła Evelyn. - Kochamy cię, Lily. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły. Dzięki tobie ten dom stał

się taki spokojny, wygodny...

- Chciałaś raczej powiedzieć - swobodny - zauważyła Lily. Evelyn najwyraźniej odbierała cztery lata sprawowania przez Lily rządów jako jeden niekończący się bal, z nocowaniem u przyjaciółki... - I to nie ja uczyniłam Mill House domem, kochanie, tylko ty. Kiedy minie pięć lat -

ciągnęła, usiłując zachować spokojną twarz - będę musiała stąd odejść.

- Ale dlaczego?! - zawołała Evelyn. A Francesca pociągnęła łyk herbaty z niezwykle jak na nią ponurą miną.

- Jeśli przegram, to wątpię, żeby pan Thorne poprosił mnie o pozostanie. - Sam pomysł wywołał krzywy uśmiech na jej wargach. - A jeśli wygram, to nie będę mogła sobie pozwolić na utrzymywanie majątku. Do tego potrzebna jest gotówka, której nie posiadam. Będę musiała go sprzedać.

Starannie ukryła swój ból. Kochała Evelyn i Francescę, kochała Mill House. Uwielbiała jego jasną, ciepłą kuchnię i ciche, okryte całunem kurzu sypialnie. Uwielbiała jego niezwykłą salę balową i niesamowite witrażowe okno kryjące się pod okapem trzeciego piętra. Przepadała za kaczkami kwaczącymi na stawie, za tłustą owcą o niemądrym wyglądem, wpatrującą się w nią każdego ranka, gdy szła wzdłuż alei, za swoimi końmi wyścigowymi na zasłużonej emeryturze...

Evelyn pociągnęła nosem.

- Musi być jakieś wyjście.

- Będziemy się martwić, kiedy przyjdzie na to czas - uspokoiła ją Lily. - Popatrz! List od Bernarda. Masz, Evie.

Dwunastoletni już Bernard wszedł w ten okres życia, kiedy chłopiec zaczyna zwracać uwagę na swój wygląd. W przypadku Bernarda rzeczywistość okazała się trudna. Choć wyjątkowo wysoki jak na swój wiek, nie ważył więcej niż wtedy, kiedy był o piętnaście centymetrów niższy.

36

Na twarzy zaczynały mu się pojawiać wypryski, a głos łamał się w najbardziej niestosownych momentach.

- Co pisze? - spytała Francesca.

Evelyn przebiegła wzrokiem kartkę.

- Pisze, że tego lata przyjedzie do domu wcześniej niż zwykle.

- Dobrze się czuje? - spytała Lily, dbając, by w głosie nie pojawiła się nutka niepokoju. Nie mogła wyobrazić sobie, by te stare, bezduszne kozły pozwoliły chłopakowi opuścić wcześniej szkołę bez poważnej przyczyny.

- Zapewnia, że wszystko w porządku. Po prostu udało mu się przekonać dyrektora, że dodatkowe parę tygodni wypoczynku dobrze mu zrobi. - Na twarzy Evelyn pojawiło się zmartwienie. - Och, Lily... Jeśli będzie się czuł źle, zatrzymamy go tu tutaj, prawda?

- Oczywiście - zapewniła ją Lily, choć czuła się bezradna. Życiem chłopca kierowały miliardy instrukcji, pozostawionych przez Horatia zarządowi banku.

- Dobrze będzie spędzić z nim lato, prawda? - spytała wzruszonym głosem Evelyn, wdzięczna Lily za słowa otuchy.

- Rozkosznie - rzekła Francesca. - Nigdy za wielu mężczyzn obok nas.

- Francesco! - złała ją Evelyn. - Ona nie może używać takich słów w obecności Bernarda!

- Nie, oczywiście, że nie. Zachowuj się przyzwoicie, Francesco -

mruknęła Lily z roztargnieniem. Jej spojrzenie padło na ostatni list, le

żący na dnie sterty. Był to list od Avery'ego Thorne'a, zaadresowany do panny Lillian Bede - nie do „Tej, Której Należy Być Posłusznym”, nie do „Wymancypowanej Panny Bede”, nie do „Jej Wysokości”... Przebiegł ją lekki dreszcz. Coś było nie tak... Położyła list na wierzchu stosu, żeby przeczytać go później.

W kwadrans potem stała w oknie swojej kancelarii, wyglądając na ogród. Pod oknem rosły kremowe róże o płatkach lśniących niczym śnieg na tle zieleni listowia. Otworzyła kopertę.

Mój Adwersarzu!

Wczoraj zmarł Karl Dhurmann. Przemierzaliśmy na ciągniętych przez psy saniach śnieżne pola Grenlandii. Nie wysforował się zbyt daleko, najwyżej dwadzieścia metrów. W jednej chwili był obok nas, w następnej już go nie było. Wpadł do szczeliny, powstałej na skutek przemieszczania się lodu. Wyciąganie go zajęło nam cały dzień.

Pomyślałem, że powinna Pani wiedzieć o śmierci Karla. Często mówił o swoim zamiarze poślubienia Pani. Pani listy sprawiały, że się śmiał, a śmiech był w jego przypadku czymś rzadkim. Stracił

37

5

S

wszystko: nie miał ani ojczyzny, ani domu, ani rodziny Ale dzięki Pani poznał radość, zanim odszedł.

Myślę, że chciałby, by Pani wiedziała, że umarł. Być może uczci Pani jego pamięć uśmiechem - ze względu na ten zabawny pomysł, by Panią poślubić, ze względu na upodobanie do Pani listów, czy dla jakiegokolwiek innej przyczyny, jaka przyjdzie Pani do głowy. Nie jestem człowiekiem religijnym i Pani uśmiech jest dla mnie równie bliski modlitwy, jak prawdopodobne jest to, że Karl wróci do nas żywy.

Avery Thorne

Lily powoli złożyła arkusik. Długo wpatrywała się w obraz za oknem. Kiedy w końcu się odwróciła, nie wyszła z pokoju. Usiadła, by napisać list.

Wyspa Dominikana

taranne dziecięce pismo wywołało uśmiech na twarzy Avery'ego.

Drogi kuzynie!

Spodziewam się, że ten list zastanie Pana w dobrym zdrowiu.

Moje jest mierne tego roku i na lato przyjadę do Mill House wcześniej.

Matka mówi, że powinniśmy starać się nacieszyć dworem, dopóki jest jeszcze Szczęśliwym Domem. Twierdzi, że panna Bede ma zamiar sprzedać Mili House, kiedy stanie się jego właścicielką, chociaż ja nie uważam tego za prawdopodobne, bo pola zalata powódź i cały wiosenny zasiew pszenicy został zniszczony.

Biedna panna Bede jest strasznie zmartwiona. Matka pisze, że zastała ją niedawno całą we łzach. Panna Bede nie należy do kobiet, które często płaczą.

Chciałbym coś dla niej zrobić, ale trzeba jeszcze dziesięciu lat, zanim będę mógł zaoferować jej moją opiekę. Matka mówi, że panna Bede sama chce się sobą opiekować. Jak Pan sądzi, dlaczego? Matka nie daje mi żadnych wyjaśnień. Ja sądzę, że panna Bede po prostu jest dzielna.

38

Dlatego muszę zaznaczyć, że jeśli jest Pan dżentelmenem, powinien Pan zaoferować jej swoją opiekę. Jestem pewien, że tak właśnie Pan postąpi, kiedy wróci, co, jak mam nadzieję, nastąpi wkrótce.

Czytam właśnie kolejne odcinki opisu Pańskiej podróży brzegiem Amazonki. Sensacyjne! Panna Bede też jest pod wrażeniem.

Jest Pan w błędzie, sądząc, że uważa ona Pańskie podróże za uleganie własnym kaprysom. Kiedy ją o to zapytałem, natychmiast odpisała mi, twierdząc całkiem poważnie, że o żadnym innym człowieku z dżungli nie myśli tyle co o Panu.

Pański kuzyn.

Bernard Thorne

- A zatem ma zamiar sprzedać mój dom, tak? - lekki uśmiech zniknął z twarzy Avery'ego. - I co do krośset myśli sobie ten chłopak? „Je

śli" jestem dżentelmenem?

Bezmyślnie wyciągnął z kieszeni złoty zegarek Karla. Upływało pięć lat „odroczenia obowiązków" i, tak jak się spodziewał, panna Bede najwyraźniej jest w tarapatkach. A więc zalało jej wiosenny zasiew, tak? Cud będzie, jeśli w ogóle coś zostanie z majątku, kiedy jej dzierzawa się zakończy.

Być może powinien wcześniej wrócić do Anglii i zobaczyć, jakie wyzwania go czekają, kiedy przejmie posiadłość. Prawdę rzekłszy, był

już zmęczony włóczęgą. Jego tęsknota za domem nigdy nie była tak ogromna, tak dokuczliwa. Wróci raptem miesiąc lub dwa wcześniej -

cóż to szkodzi? A przy okazji będzie można ustalić, co należałoby, a raczej - co da się zrobić z Lily Bede.

Tak, pomyślał, chowając zegarek do kieszeni. Jest mnóstwo powodów, dla których powinien wrócić do Anglii już teraz. Powoli ruszył

wzdłuż nabrzeża.

Mill House, Devon

Maj 1892 roku

Lily pędziła korytarzem, rzucając ciche przekleństwa pod adresem Evelyn, która właśnie tego ranka wyjechała na tydzień do Bath.

Dlaczego akurat dzisiaj to przekłete kierownictwo szkoły przychyli

ło się do jej tylekroć ponawianych próśb, by pozwolono Bernardowi wyjechać do domu? I dlaczego Bernard odbył tę długą podróż sam?

Oślupiała, gdy Teresa, pękata niczym paździenikowa dynia, choć do 39

terminu brakowało jeszcze dwóch miesięcy, z szerokim uśmiechem oznajmiła, że pan Thorne czeka, by przyjąć ją w bibliotece.

Pan Thorne, rzeczywiście... I czeka, by ją przyjąć? Chłopakowi przewróciło się w głowie.

Swoją drogą, niech licho porwie tę Teresę. Wiedziała, że przebywanie z chłopakiem sam na sam jest dla niej krępujące... Kiedy ostatnim razem Bernard był w domu, chodził za nią krok w krok od świtu do nocy. Lily rozpoznawała oznaki młodzieńczego zauroczenia; nie miała tylko pojęcia, co z tym zrobić.

Nie chciała podważać wiary młodzieńca w jego męskie możliwości.

Tym bardziej że Bernard, z tą swoją długą, patykowatą sylwetką, wąskimi ramionami i ciemnymi obwódkami wokół oczu, będzie potrzebował

dużo zachęty i wsparcia. Nie może już traktować go jak chłopca... Ale jak mężczyzny też nie.

Do krośset! Opamiętaj się, Lily - pomyślała, zatrzymując się na progu salonu, żeby przyglądzić włosy. On ma dwanaście lat. Naturalnie, że potrafisz poradzić sobie z nastolatkiem. Bądź po

ciotczynemu życzliwa i ciepła. Ale równocześnie, co najważniejsze, nie zwracaj uwagi na jego cielejące miłosne spojrzenie.

Wzięła głęboki oddech, weszła do biblioteki i rozejrzała się. Był.

Siedział na krześle z wysokim oparciem, zwrócony ku oknu. Nad oparciem widać było jego ciemne, niesforne loki. Biedny chłopak, znów przybyło mu parę centymetrów!

- Kochanie! - zawołała. - Widzę, że już się rozgościłeś. To świetnie!

Żadnej odpowiedzi.

Był nieśmiały. Prawdopodobnie zbierał całą swoją odwagę, żeby móc spojrzeć jej w oczy. Było jej go żal... Przyjechał, a tu matki akurat nie ma, ciotka Bóg wie gdzie się podziewa, a jedyną witającą go osobą jest kobieta, w której się durzy. Pamiętała takie zadurzenia... Wiedziała, że mogą zranić.

- Chodź tu, mój chłopcze jej ton ociekał dobroduszością. - Co byś powiedział, gdybyśmy tak zajrzeli do spiżarni, ty i ja? Musisz być głodny po podróży jak wilk, a ja wiem, gdzie Francesca chowa najlepsze cukierki z Bon Street.

Czekała. Żadnej reakcji.

- Zastanawialiśmy się, co byś chciał dostać na urodziny. Ostatnio zajmuje nam to całe wieczory. - Podeszła bliżej. - Ołowiane żołnierzyki? Za dziecinne. Któryś z tych nowomodnych aparatów fotograficznych? A może wędkę? Mill House może się poszczycić wielce obiecującym strumieniem. - Wyciągnęła swojego asa atutowego: - Słyszałam, że twój kuzyn Avery jest zapalonym wędkarzem.



To musi na niego podziałać. Uwielbienie Bernarda dla Avery'ego było bezspornym faktem... I rzeczywiście, od strony krzesła dobiegło jakby lekkie poruszenie.

- Wiem, że nie spędzaliśmy ostatnio z sobą zbyt wiele czasu, i bardzo tego żałuję - powiedziała miękko. - Możemy to jednak prędko naprawić. Czy jest lepsze miejsce, żeby odświeżyć znajomość niż brzeg uroczego strumienia? No, chodź tu i pozwól uścisnąć się ciotce Lil.

Teraz wreszcie krzesło rzeczywiście zaskrzypiało. Silne, opalone dłonie, z grubym złotym sygnetem zdobiącym mały palec lewej ręki, ścisnęły poręczę i odepchnęły się od nich. Wysoka sylwetka - nadzwyczaj wysoka, o szerokich barach, wyprostowana, męska - uniosła się i zwróciła ku niej twarzą.

- No, skoro mają być uściski - powiedział powoli mężczyzna ironicznym tonem - to myślę, że wytrzymam jakoś i cukierki... ciociu Lil.

Lillian Bede była piękna. Szok, jakiego doznał na jej widok Avery, zniweczył wszystkie jego dotychczasowe uprzedzenia. Zabrakło mu słów.

Dzięki Bogu, zanim się odwrócił, zdołał przybrać ironiczny wyraz twarzy. Nie był pewien, czy potrafiłby wykrztusić coś sensownego, gdyby ujrzał Lily przedtem... A wówczas, zaledwie w dwie minuty odkąd zobaczyli się po raz pierwszy, Lily Bede byłaby górą. Zaskoczony czy nie, po blisko pięciu latach korespondencji z tą kobietą wiedział jedno: nie może pozwolić, żeby Lily Bede kiedykolwiek była górą.

Twarz o szerokim czole i kształtnych kościach policzkowych zwię

żała się stopniowo ku niewielkiej, prostokątnej szczęce. Egzotyczne, lekko skośne oczy wpatrywały się w niego, ocienione długimi, gęstymi rzęsami. Usta były pełne niczym u Egipcjanki i tak czerwone, jakby spijały właśnie wiśniową nalewkę. Burza mocno skręconych, atramentowoczar-nych loków ściągniętych na czubku głowy, podkreślała długą, szczupłą szyję i dodała wzrostu i tak już wysokiej, smukłej sylwetce.

Zdumiewające - pomyślał jeszcze raz Avery. Lily Bede taka piękna... To nie było w porządku.

Uniosła dłoń, gestem powabnym i obronnym jednocześnie, przenosząc jego uwagę na ubranie. Miała na sobie coś, co wyglądało jak męska lniana koszula i ciemne, kloszowe, wełniane... na Boga, ona nosiła spodnie! Pomimo tego męskiego, surowego stroju - a może właśnie dzięki niemu - wyglądała egzotycznie, nietutejszo, jak niewolnica z haremu sułtana.

Nagle zdał sobie sprawę, że obserwuje ją bez słowa od co najmniej minuty. Ona zresztą też wykorzystwała ten czas, żeby przyjrzeć się jemu.

Ale wyraz jej oczu daleki był od aprobaty.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała w końcu. - Wzięłam pana za kogoś innego. - Uroczo poprawna, typowa dla wyższych klas wymowa tylko uwydatniała jej egzotyczny wygląd.

On chyba oszalał. Lily Bede piękna, Lily Bede urocza... Co jeszcze sobie o niej pomyśli?

- Jestem zachwycony, że mogę panią po...

- Dużo ma pan bagażu? - przerwała.

- Nie. Niedużo. - Przeszedł przez pokój i zbliżył się do niej. Jej cera miała kolor tahitańskiego piasku, a gdy uniosła głowę, by na niego spojrzeć, pod jedną z prostych, ciemnych brwi dostrzegł bliznę. - Jak zamierzałem powiedzieć, jestem zachwycony, że mogę w końcu panią poznać, panno Bede. Doceniam pani...

- Nie sądzę, byśmy musieli oboje tracić czas na konwenanse. - Cofnęła się o krok. - Gdzie jest Bernard?

Cóż to, gra wobec niego panią na włościach, tak?

- Nie wiem - odparł. - Czy zgubiła go pani?

- Ja? - Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Były czarne jak turecka kawa, czyste i lśniące. Nagle zmrużyła je. - Proszę posłuchać, sir. Nie podoba mi się ta poufałość ze strony człowieka eskortującego Bernarda i wątpię, żeby podobała się władzom Harrows. A w ogóle kim pan jest?

Opiekunem drużyny futbolowej?

Dobry Boże... To dziewczę nie wiedziało, kim on jest! Poczul się tak, jakby wymierzyła mu policzek. Co prawda, on też nigdy by jej nie wybrał spośród tłumu jako autorkę zjadliwych listów, które ściagały go po wszystkich kontynentach, ale on miał za wskazówkę jedynie słabo zapamiętaną karykaturę w gazecie! Lily Bede nie mogła się w ten sposób usprawiedliwiać. Jego przekłeta podobizna wisiała w hallu na piętrze... No, w każdym razie powinna wisieć.

Zapominając o swoim postanowieniu, że będzie wobec niej chłodny, spokojny i nienagannie uprzejmy, minął ją i pośpiesznie ruszył do hallu. Za sobą słyszał szelest jej przeklętych spodni.

- Przecież mówię, że nie może pan...

Zignorował ją. Musiał ustalić, gdzie jest portret. To był jedyny portret, jaki zrobiono mu w całym jego życiu, namalowany na życzenie wuja. Co prawda, dawniej ten bohomaz znaczył dla niego tyle co nic, ostatnio jednak - zupełnie ostatnio - bardzo zyskał na znaczeniu. Jak ona śmiała go zdjąć?

- Co pan sobie myśli, że kim pan jest? - wydyszała Lily, usiłując dotrzymać mu kroku. Ciężkie, szerokie spodnie szeleściły gniewnie przy każdym ruchu. - Dopilnuję, żeby wyrzucono pana za to z posady!

Minał główny hall, ledwie zauważając dyskretną elegancję, jaka panowała w mijanych pokojach. Nieprzykryty, lśniący hebanowy stół, podniszczony wschodni dywan o wystrzępionym obszyciu, zapach pszczelego wosku i olejku cytrynowego... Wspiął się po krętych schodach i skręcił ku skrzydłu, w którym zawsze wisały niezliczone portrety członków rodziny. Tuż pod wizerunkiem jego prababki, Catherine Mon-trose, powinien być...

Zatrzymał się. Tam gdzie zawsze, promienny jak słońce, wisiał jego portret. Prościutko, nienagannie.

Avery odwrócił się nachmurzony. Lily Bede stała o pół metra od niego, z rękami na biodrach. Po obu stronach twarzy lśniły małe kolczyki.

- Jeśli nie opuści pan mojego domu w ciągu dwóch minut, wyrzucę pana. - Nadal mówiła z tym arystokratycznym akcentem.

Wyrzucić z jej domu? Podszedł bliżej. Nie spuszczała z niego oczu.

Nie cofała się. Raczej, zdał sobie nagle sprawę Avery, stałaby z nim oko w oko, niż dobrowolnie się cofnęła... Tę kobietę mógł określić bez trudu. Wojownicza, stanowcza, niezależna...

- Po pierwsze, jak pan śmiał wejść frontowymi drzwiami... - Głos stawał się coraz wolniejszy. Omiotła spojrzeniem portret, zamilkła i cofnęła się gwałtownie. Miała wyjątkowo wyrazistą twarz, śmiesznie łatwą do odczytania. W tej chwili rysowało się na niej przerażenie. Doskonale.

Przyjął pozę z portretu.

- Podobieństwo jest wyraźne, nie sądzi pani?

- Thorne - powiedziała bezbarwnie.

- Owszem, Thorne.

- Co pan tu robi?

- Czy tak wita się wieloletniego oddanego korespondenta?

- Oddanego? - powtórzyła szorstko. - Wydaje mi się, że to raczej ja byłam oddanym korespondentem, skoro przez pięć lat spoczywał na mnie ciężar ustalania miejsca pańskiego pobytu. Czułam się tak, jakbym uczestniczyła w jakimś idiotycznym polowaniu! Te aluzje na temat miejsca następnego postoju, które przekazywał mi pan w listach... Gdyby nie przyjaciele moich rodziców rozsiani po całym świecie, wątpię, czy kiedykolwiek by mi się udało pana znaleźć. Czasem się nie udawało.

Ani razu nie poinformował mnie pan, gdzie przebywa... Zeszłej zimy byłam pewna, że pan umarł. - Przerwała i potrząsnęła głową, jakby zła, że zbacza z tematu. - Jak pan się wyraził, co pan tu robi?

- Nic na ten temat nie mówiłem. - Uniósł dłoń. - Mam prawo sądzić, że moja obecność jest zrozumiała sama przez się. Pięć lat pani dzierżawy dobiega końca, a ja nie miałem naglącej potrzeby, by podró

zować dalej. Pomyślałem, że przyjadę i rozejrzę się po gospodarstwie.

Zobaczę, jaką sytuację mi pani pozostawia. Zawsze dobrze jest zrobić porządny rekonesans przed wejściem na nowe terytorium.

- Snuje pan niezwykle śmiałe przypuszczenia - powiedziała sztywno Lily Bede. - A jeśli Mill House wykaże przychód?

Uśmiechnął się. Wyglądało, jakby tym gestem chciał wyświadczyć jej łaskę, on jednak wcale tak się nie czuł.

- Cóż, jeśli okaże się, że jestem w błędzie, po prostu wykorzystam te tygodnie jako miłą chwilę wytchnienia po podróżach. Naprawdę nie ma potrzeby, by patrzyła pani na mnie tak podejrzliwie.

- To naturalne, że jestem podejrzliwa. Z Bożą pomocą, będę taka nadal. - Wciąż przenosiła wzrok z portretu na żywą postać, tam i z powrotem, tak jakby chciała w ten sposób odkryć jakąś zasadniczą różnicę, która pozwoliłaby ogłosić przybysza oszustem i wyrzucić z domu.

Z każdym spojrzeniem jednak jej twarz przybierała coraz bardziej ponury wyraz. - Gdzie się pan zatrzyma?

- Jak to gdzie - rozejrzał się i rozłożył ręce, jakby chciał objąć nimi cały dom - tutaj. W Mill House. Wciąż przecież posiadłość nie ma prawowitego właściciela, nieprawdaż? Sprawa własności nie zostanie rozstrzygnięta wcześniej niż w sierpniu, czyż nie?

- Istotnie - syknęła z zaciśniętymi ustami. Ustami, które wyglądały cudownie, gdy były rozluźnione i uśmiechnięte.

Odwrócił wzrok. Nie jest mądrze myśleć w ten sposób, Avery, stary koniu - powiedział sobie. Nie jest mądrze...

- Dobrze - powiedział. - Chciałem po prostu się upewnić, czy wła

ściwie rozumiem sytuację. Poza tym zaprosił mnie Bernard. Jako aktualny użytkownik Mili House może mi pani naturalnie odmówić gościny

- szydząc lekko, pochylił głowę w uznaniu jej władzy.

- Ani myślę. Jest pan bardzo mile widziany... jako gość Bernarda.

- Dziękuję.

Nachmurzyła się jeszcze bardziej. Czerwone plamy na szyi, napięcie w twarzy - wszystko zdradzało zdenerwowanie. A Avery wpatrywał

się w nią jak zauroczony.

Niewiele miał do czynienia z kobietami. Ojciec i matka umarli, gdy był jeszcze dzieckiem. Ponieważ mieszkał już wówczas od kilku lat w szkolnym internacie, po śmierci rodziców jego życie nie zmieniło się w zasadniczy sposób. Jeden korespondencyjny opiekun zastąpił innego, 44

to wszystko. Horatio Thorne zamiast ojca i matki. Z pewnością nie przysporzyło mu to licznych okazji do kontaktu z płcią żeńską.

Odkrył swoją głęboko ukrytą wrażliwość na kobiecą urodę właśnie wtedy, gdy uświadomił sobie przyczyny tej wrażliwości. Równocześnie zdał sobie sprawę, jak żałosna jest tęsknota brzydoty za pięknem. Na szczęście nie miał takich masochistycznych skłonności.

Ograniczył się więc do wymiany ciętych uwag z nielicznymi młodymi kobietami na nielicznych przyjęciach, w jakich brał udział, i zadowolił podziwianiem ich z daleka. Nigdy nie pozwolił sobie kogoś pragnąć. Nigdy.

Ale gdy wracał do Anglii, okazała mu zainteresowanie piękna blondynka, córka właściciela ziemskiego. Rozpoczęła właśnie swą podróż dookoła świata i postanowiła - jak zdał sobie sprawę w godzinę po oficjalnym zapoznaniu - że Avery będzie jej pierwszym przystankiem.

Była życzliwa, otwarta i wzdychała z rozmarzeniem, że nigdy dotąd nie miała do czynienia z podróżnikiem. Jeśli nawet nie pragnęła jego, to najwyraźniej pragnęła czegoś, co sobą reprezentował. Bóg jeden wie, co by to miało być, ale Avery nie zamierzał dociekać. Kiedy się rozstali, myślał o niej z czułością, ale jak o kimś dalekim - był pewien, że i ona myśli o nim tak samo. To jasnowłose dziewczętko nigdy nie stanowiło zagrożenia dla jego serca. I on dla niej też.

Lily Bede to była zupełnie inna sprawa.

Lily Bede przez ponad cztery lata czytała pisane przez niego słowa.

Żywił dla niej głęboki szacunek, zarezerwowany dla godnych przeciwników i coś w rodzaju uznania dla jej niewątpliwej inteligencji. Wystarczająco to niebezpieczne. I jeszcze ten wygląd - ucieleśnienie snów...

Czyż mógłby pozwolić, aby kobieta, która stwierdziła otwarcie, że zamierza obrabować go z jego dziedzictwa, objęła nad nim władzę? Nie, Lily Bede nie może się dowiedzieć, jaką dysponuje bronią.

Przez długą chwilę Avery i Lily wymieniali podejrzliwe, pełne namysłu spojrzenia. Blisko pięć lat pielęgnował w wyobraźni jej obraz jako irytującej, śmiesznej wyemancypowanej pani. Dlaczego, do diabła, okazała się tak boleśnie piękna?

- Jak długo zamierza pan zostać?

Avery ocknął się z zamyślenia lekko podenerwowany.

- Słucham?

- Spytałam, jak długo zamierza pan zostać? - powtórzyła, akcentując każde słowo.

Jeszcze bardziej spiął się w sobie. W uśmiechu jej zmysłowych warg dostrzegł cień triumfu. Mogła sobie wyglądać jak uosobienie letniej namiętności, lecz zamiast języka z pewnością miała brzytwę.

45

6

O

Nawykł już do niebezpiecznych sytuacji. Kierując się wyłącznie instynktem, podejmował decyzje rozstrzygające o życiu i śmierci. Tyle razy instynkt podpowiedział mu słuszne rozwiązania. Tym razem wręcz krzyczał: „Uważaj, jesteś w prawdziwym niebezpieczeństwie!”

Boże, zmiłuj się... Lily Bede go pociągała.

Avery Thorne odchrząknął.

- Dopóki nie dostanę tego, po co tu przyjechałem - Mill House -

odpowiedział.

Po czym odwrócił się i wyszedł.

niemiała ze zdumienia Lily wpatrywała się w oddalającego się mężczyznę. Choć w gruncie rzeczy wyzwiał ją na pojedynek, mogła myśleć tylko o jednym: Francesca miała rację- Avery Thorne rzeczywiście zmężniał.

Ciasna marynarka o mało nie pękała w szwach na jego ramionach.

Górny guzik koszuli musiał pozostać rozpięty, by kołnierzyk mógł pomieścić muskularną szyję. Przeguby, rozpychające białe mankiety, sprawiały wrażenie niezwykle giętkich i zręcznych.

Wychyliła się za nim i patrzyła, jak idzie korytarzem. Gęste włosy wijące się na kołnierzyku, szerokie ramiona, długie i muskularne nogi...

Zniknął za rogiem.

Nie zdając sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, wsparła się z powrotem o okno, uderzając w nie z głuchym odgłosem. Utkwiła wzrok w wiszącym naprzeciw niej portrecie. Chudy, niezgrabny chłopak z obrazu oddał jej spojrzenie. Dorósł do tych zbyt wielkich rąk, które uwiecznił na portrecie malarz. Silne dłonie: szerokie nadgarstki, długie, giętkie palce.

Spojrzenie Lily powędrowało ku twarzy. Wyrazisty nos, lśniące zielonobłękitne oczy, szerokie usta... Rzeczywiste rysy w pełni odpowiadały tym na portrecie, a jednak Avery wcale nie wyglądał jak mężczyzna, którego miała przed oczyma, pisząc tamte listy. W jej wyobraźni był

niezgrabny i ciężki - nadpobudliwy, a nie pewny siebie, nerwowy i gwałtowny, a nie opanowany i spokojny.

I głos miał inny i nieprzyjemny, chrapliwy, przyprawiający o ból głowy. Prawdziwy głos Avery'ego Thorne'a przyprawiał ją o drżenie.

Był mocny, niski i głęboki, jakby rozbrzmiewał z samego dna duszy. Ten dźwięk odurzał ją, zniewalał.

46

Syknęła z irytacją i wyprostowała się. To nie było w porządku. Avery Thorne nie powinien tak wyglądać - nie powinien mieć lśniących jak klejnoty oczu ani głosu pełnego triumfu i władzy. Musiała przyznać: Avery Thorne był po prostu najbardziej...

Opuściła ręce. Oczy rozszerzyły się jej z nagłego zdumienia. Zaczepnęła głęboko powietrza. Tak... Avery Thorne był najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. No właśnie.

Uniosła podbródek, gratulując sobie tak rozbijającej szczerości.

I w tej samej chwili zadrżała.

Musi wyrzucić ze swych myśli Avery'ego Thorne'a. Musi chronić swoją przyszłość. Nie może pozwolić, by zauroczenie doprowadziło ją do utraty choćby pensa. Ledwie udało jej się wyjść na swoje po powodzi na pszenicznych polach...

Najwyraźniej Avery Thorne przeczuwał jej porażkę. Ale pośpieszył

się - pomyślała. I, psia krew, jeszcze nie przegrała. I nie zamierzała przegrać. Musi uspokoić swoje zmysły. Przecież poradziła sobie już kiedyś z podobnym uczuciem.

Kiedy miała piętnaście lat, zakochała się w jednym z młodych protegowanych jej ojca, który mieszkał z nimi przez lato. Uważała go za najwspanialszego, najbardziej fascynującego mężczyznę pod słońcem.

Wystarczył tydzień stałego przebywania w jego towarzystwie, by odkryć, że myśli on o sobie dokładnie tak samo.

To jest rozwiązanie! Uderzyła pięścią w otwartą dłoń. Spędzi z Averym tyle czasu, ile tylko się da, i gorączka uczyć minie.

Zadowolona z pomysłu, ruszyła do swego pokoju. Dobry nastrój nie opuszczał jej, gdy myła ręce, upinała na nowo włosy i zmieniała koszulę na coś, co miało odrobinę koronki przy szyi. W pół godziny później zeszła na obiad.

W pokoju jadalnym nie było nikogo prócz Kathy, jednej z trzech zatrudnionych obecnie w Mili House służących. Kathy była bardzo niską brunetką i nosiła zbyt obcisłe w biodrach spódnice. W szóstym miesiącu ciąży wciąż potrafiła wcisnąć się w tę, w której zjawiała się w Mili House po raz pierwszy.

- Co robisz? - spytała Lily.

Kathy starannie ułożyła srebrny widelec obok nakrycia z najlepszej w domu porcelany. Twarz miała skupioną i napiętą. Przesunęła łyżkę, tak by leżała w jednej linii z talerzem.

Wreszcie spytała:

- No i co, widziała go już pani?

- Kogo?
- Pana Avery'ego Thorne'a. Wrócił z Afryki czy skądś tam i jest teraz tutaj, w tym domu!

- Tak, widziałam - powiedziała chłodno Lily.

- O jejku! No i czy to nie jest prawdziwy dzielny podróżnik? Czyta

łam każdy jego artykuł. Dosłownie każdy. On dokonał takich czynów, że człowiekowi włosy stają dęba... Zresztą wygląd też ma niczego sobie.

Jest taki wielki, silny...

- Dostyc, Kathy. - Lily wprowadziła w domu pełną demokrację i w rezultacie służące czuły się bardzo swobodnie. Często wypowiadały opinie na głos wcale niepytane. - Teraz wyjaśnij mi, proszę, dlaczego wzięłaś najlepszą porcelanę. Czy panna Francesca oczekuje kogoś specjalnego?

Kathy starannie umieściła na właściwym miejscu nóż do masła.

- Nie wiem. Pani Kettle kazała mi dać najlepsze nakrycie z powodu pana Thorne'a. Powiedziała, że teraz, kiedy pan Thorne jest w domu, wszystko znowu będzie jak w porządnym... to znaczy jak w każdym innym dworze.

Teraz, kiedy pan Thorne jest w domu? Jak w porządnym dworze?

Lily poczuła w kąciu ust nerwowe drżenie.

Kathy odstąpiła o krok.

- Na pewno nic się nie zniszczy, panienko. Pani Kettle mówi, że jak przez pięć lat kucharka z jej pozycją nie ma okazji, żeby się popisać swoimi kuli... kulinarnymi... umiejętnościami, to naprawdę może się załamać. Zresztą- dokończyła nieśmiało - pani Kettle zawsze to powtarza, jak sobie łyknie portwajnu.

- Doprawdy? - spytała Lily, umiejętnie ukrywając wzburzenie. -

No cóż, pomimo alkoholowych przywidzeń pani Kettle, jakoby Mill House miał powrócić do swojej wcześniejszej chwały - podniosła nieco głos, po to jedynie, by podkreślić, o co jej chodzi - ja rządę w tym domu i będę to robić jeszcze przez co najmniej dwa miesiące!

Kathy otworzyła ze zdziwienia usta.

- No - Lily przyglądała jej spódnicę - nie ma już czasu, żeby nakrywać od nowa, ale od tej pory używamy zwykłej codziennej zastawy.

Poza tym, jako że pan Thorne zamierza najwyraźniej zostać z nami przez jakiś czas, przygotuj dla niego tę narożną sypialnię. Jestem pewna, że rad będzie, mogąc się już rozgościć, umyć przed posiłkiem...

- Ale on poprosił o niebieską sypialnię na samej górze, tę, którą ocienia cedr.

- Nie - powiedziała Lily zdecydowanym głosem. - Całe piętro będzie okryte prześcieradłami. Nie potrzebuję dodatkowej pracy z powodu męskiej zachcianki. Wystarczy mu...

- Ale on już tam jest - przerwała nieśmiało Kathy. - Nie było pani w pobliżu, jak przyjechał, więc pani Kettle spytała go, który pokój by chciał, i pan Avery powiedział, że zawsze mieszkał w tym i nie widzi powodu, żeby zmieniać ten zwyczaj, no więc ja i Merry przygotowały

śmy mu niebieską sypialnię.

Nie minęły dwie godziny, odkąd przyjechał, i już zdążył podważyć jej autorytet, przejąc władzę i przewrócić dom do góry nogami...

- To nie zajęło dużo czasu, panienko.

- No właśnie - podchwyciła Lily i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Kathy ma na myśli przygotowanie niebieskiej sypialni. -

Możesz odejść, Kathy.

Kathy dygnęła i wybiegła w pośpiechu z jadalni. Lily wpatrywała się przez chwilę w stół zastawiony porcelaną, srebrem i kryształami, zanim uświadomiła sobie, co widziała: Kathy przed nią dygnęła.

Nikt nie dygał w Mill House. Kobiety wykonywały swoją pracę, starannie i z szacunkiem, i z równym szacunkiem były traktowane.

Myślała, że jej zauroczenie Averym Thorne'em było jej największym zmartwieniem. Myliła się jednak. Avery stanowił zagrożenie dla porządku, jaki Lily wprowadziła w Mill House. Ledwie przyjechał, a już służące, które z takim wysiłkiem przemieniła w wyemancypowane, niezależne istoty, zaczynają przysiąść w dygach, „tak jest, sir”... Znowu są świtą, do licha, jak dawniej!

Zegar w hallu wydzwonił południe. Do jadalni weszła Francesca z opróżnionym do połowy kieliszkiem sherry w ręce, nucąc pogodnie piosenkę o małym Gilbercie i Sullivanie. Najwyraźniej szpiegowała Lily.

- Uważam - powiedziała - że mężczyzna o opalonej skórze i szerokich barach ma w sobie coś szalenie pociągającego.

- Widziałaś pana Thorne'a.

- Tak. Przed chwilą. Co przypomina mi, że powinniśmy posłać wiadomość do Drummonda, żeby zabił jagnię.

- Jesteś pewna, że on nie wolałby tłustego cielaka? - spytała oschle Lily.

Francesca ostrożnie postawiła kieliszek obok swego nakrycia.

- Sądząc z jego wyglądu, Avery przyczyni się do znacznego powiększenia miesięcznych dochodów

rzeźnika.

- Nie zostanie tu tak długo.

- Doprawdy? - spytał wyzywająco Avery, który właśnie wszedł do jadalni. - Dzień dobry, Francesco. Jak to miło znowu cię widzieć po tak krótkiej rozłące.

Lily odwróciła się. Avery Thorne przebrał się do obiadu. Wyglądał

imponująco, ledwo mieszcząc się w drzwiach. Miał na sobie schludną, 4 - Mój najdroższy wróg 49
choć niemodną marynarkę, która sprawiała wrażenie o dwa numery za małej. Świeżo umyte włosy, wciąż jeszcze wilgotne, opadały z chłopięcym wdziękiem na biały kołnierzyk zapięty wokół grubej męskiej szyi.

Lily z trudem ukrywała zachwyt.

Avery pocałował Francescę w policzek i jak syty lew, który nie może się oprzeć pokusie łatwej zdobyczy, zwrócił lśniąco oczy ku Lily. Szerokie usta rozciągały się w zniewalającym uśmiechu, a zęby zalśniły bielą na tle opalanej skóry.

- Spotykamy się znowu, panno Bede.

- Witam, panie Thorne. Ufam, że znalazł pan pokoje w należyтым porządku. Tej części domu w zasadzie nie używamy, jest zbyt oddalona.

Nie chcielibyśmy, żeby był pan niezadowolony z wybranego przez siebie pokoju.

Avery, zbliżając się ku niej jak kot, zatrzymał się nagle. Siłą powstrzymała się, by nie odskoczyć do tyłu. Niemal czuła na sobie jego dotyk; emanowała z niego jakaś siła, której nigdy jeszcze nie odczuwała tak wyraźnie.

- Nie zamierzałem sprawiać wam kłopotu - powiedział z błędnym na ustach uśmiechem. - Ten pokój zajmowałem, gdy przyjeżdża

łem tu, będąc dzieckiem. To jedyny, jaki pamiętam.

- W porządku - powiedziała Lily pośpiesznie. - Proszę tam zostać. Avery ściągnął brwi, przyglądając się jej sztywnej sylwetce. W przylepionym do twarzy uśmiechu wyczuwał coś jakby... strach? Czego może obawiać się z jego strony Lily Bede? Z wyjątkiem, oczywiście, wydziedziczenia.

Ta myśl nie sprawiła mu satysfakcji. Spojrzał w jej ciemne, nieufne oczy. Twarz w kolorze miodu rozjarzyła się nagłym rumieńcem. Zbyt pociągająco... O wiele za bardzo.

- Może usiądziesz, Francesco? - spytał nagle, odwracając się od Lily Bede.

Francesca uśmiechnęła się, mile zaskoczona.

- Och, Avery, cóż za troskliwość z twojej strony... Kiedyż to zdąży

łeś nabrać światowych manier?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzekł Avery. Utkwił przez chwilę wzrok w ciężkim mahoniowym krześle, po czym odsunął je od stołu. - Jestem dżentelmenem. To naturalne, że pomagam damie usiąść.

Ujął ramię Franceski, pociągnął ją do stołu i podsunął krzesło. Być może trochę za mocno. Francesca opadła na siedzenie i wzniosła oczy ku niebu.

- Chyba się zanadto pośpieszyłam - powiedziała.

50

- Panno Bede? - Avery okrążył stół, odsunął krzesło Lily i trzymając je jedną ręką, czekał.

Lily również wzniosła oczy zaskoczona. Czyżby etykieta była jej tak obca, że zwykła pomoc przy siadaniu wprawia ją w zakłopotanie?

No cóż, czego innego można się spodziewać w domu zamieszkanym przez kobiety.

- Panno Bede? - przynaglił ją.

Przełknęła ślinę i podeszła do stołu. Avery popchnął krzesło, które uderzyło ją lekko, i Lily zachwiała się. Avery chwycił jej ramię, by pomóc utrzymać równowagę, i zamarł z wrażenia.

Jeszcze nigdy zwykły dotyk nie wywołał w nim tak silnej fizycznej reakcji.

Nagle całą jego świadomość wypełniła Lily Bede. Czuł jej ciepło, gładką, aksamitną skórę, krew pulsującą w żyłach... Miał chęć pieścić jej ramię, dotykać. Chciał jeszcze bardziej poczuć ją dotykiem. Lily Bede... Jego przeznaczenie. Gwałtownie cofnął rękę.

Lily odwróciła ku niemu głowę i spojrzała lśniącymi oczyma. Ona też to poczuła. Musiała poczuć... Otworzyła usta, by coś powiedzieć.

Nachylił się ku niej.

- Przykro mi, że nie ma tu pani Thorne, by pana powitała - usłyszał

rozczarowany. - Gdyby wiedziała, że pan przyjeżdża, jestem pewna, że odłożyłaby podróż. Mam nadzieję, że lubi pan baraninę?

Nie cierpiał baraniny. Musiała to jakoś Wyczuć, gdyż na jej twarzy pojawił się ostry wyraz.

- Oczywiście, nie jest to ucztą Maorysów. Ale cóż, robimy co możemy.

- Uczta Maorysów? - spytała ze zdziwieniem Francesca.

- Pan Thorne opisał Bernardowi niezwykle szczegółowo święto żyjących w buszu ludzi, w którym brał kiedyś udział. Bez wątpienia jako gość honorowy, prawda?

- Nie, skądże znowu - mruknął Avery z niezadowoleniem. Psiakrew, zapomniał już o tych wszystkich przesadnych opisach, którymi częstował młodego kuzyna. - Po prostu tamtędy przechodziłem.

- A co oni jedli na tej uczcie? - zainteresowała się Francesca.

Lily uśmiechnęła się.

- Robaki, tak?

Francesca otworzyła usta.

- Jadłeś robaki?

- I węże - dodała Lily, nie mogąc powstrzymać łobuzerskiego uśmiechu. Po raz pierwszy, odkąd go poznała wyglądał na zażenowanego. - Pożywienie bogów, jak sądzę. Smakowało?

51

- Mógłbym to jeść i jeść. - Avery napotkał miłe spojrzenie Lily i odprężył się nieco.

Drażniła się z nim. Nie pamiętał, by kiedykolwiek kobieta się z nim drażniła... To było całkiem nowe doświadczenie. Dziwne, nawet trochę przyjemne. Usiadł przy stole.

- Nie sądzę, by było słuszne, żeby Anglicy zaczęli odkrywać kulinarne przysmaki przyczajone pod ich daliami. Spowodowałyby to natychmiastowy upadek przemysłu mięsnego.

Roześmiała się. Co za piękny dźwięk, naturalny, powabny, pełen obietnicy... I nagle, zupełnie jakby swoim natarczywym spojrzeniem zaskoczył ją znieca i próbował wciągnąć podstępem na niebezpieczne terytorium, twarz jej spochmurniała, śmiech zamarł.

- Czy w tym roku znowu zamierzasz pojechać na Derby? - Lily zwróciła się do Franceski, która przysłuchiwała się ich rozmowie z ukontentowaniem.

Wciąż uśmiechnięta, Francesca pociągnęła solidny łyk sherry i odpowiedziała:

- Nie wiem. Zamierzałam wyjechać w przyszły wtorek, ale właściwie nie ma powodu do pośpiechu... Nie martw się, Lil. Obiecuję, że znajdę ci imiona wszystkich emerytów.

- Emerytów? - Avery pytająco uniósł głowę.

- Lily przygarnia emerytowane konie wyścigowe.

- Konie? - spojrział na Lily zaskoczony. Wpatrywała się uporczywie w talerz.

Naturalnie, że ona hoduje konie... Co innego mogłaby hodować Lily Bede, jeśli nie coś, co było przekleństwem jego najwcześniejszych lat?

Konie, na które miał straszliwą alergię wywołującą tę przeklętą astmę.

Oczywiście nigdy nie dopuści, żeby dowiedziała się o jego słabości.

- Tylko parę - mruknęła Lily. W tym momencie drzwi hallu otworzyły się, ukazując siedzącą w wózku inwalidzkim kobietę. Jedna noga, owinięta niczym kokon bawełnianym opatrunkiem, wystawała do przodu. Brązowe oczy lśniły triumfalnie pod szerokim, zroszonym potem czołem, obramowanym rudymi kędziorami.

Odchrząknęła, chwyciła rączki kół, rzuciła ciałem do przodu i wózek z hałasem przetoczył się przez próg. Avery zerwał się na nogi.

- Czy bylibyście tak uprzejmi i zrobili mi miejsce? - spytała nowo przybyła. Głos miała głęboki, ze śpiewnym północnym akcentem.

- Pani pozwoli - powiedział Avery, zbliżając się, by jej pomóc.

- Kim pan jest? - Kobieta odrzuciła do tyłu głowę, by objąć go w całości wzrokiem.

52

- Avery Thorne. Kuzyn panny Thorne. - Popchnął wózek do stołu.

- Avery Torne?

Lily, najwyraźniej przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodyni, odsunęła krzesło i pośpieszyła ku przybyłej. Starannie, ale z takim wyrazem twarzy, jakby zdejmowała kaganiec psu, który w każdej chwili może się na nią rzucić, przestawiła wózek na właściwe miejsce.

- Nie miałam pojęcia, panno Makepeace, że zejdzie pani na lunch -

powiedziała. - Jak zdołała pani pokonać schody? I czy powinna była pani tak ryzykować?

- Kobieta oddaje sobie samej i swojej płci niedźwiedzią przysługę, udając, że jest czymś gorszym i że nie potrafi czegoś zrobić, choć doskonale potrafi - rzekła Polly, rozkładając sobie na kolanach serwetkę. Jej wzrok, utkwiony we Francesce, mówił jasno, że uważa ją za winną popełnienia co najmniej jednego z wymienionych przed chwilą przestępstw, a może nawet obu.

Francesca ziewnęła.

- Wybaczcie mi. Wczoraj... bardzo późno się położyłam.

- Ale jak pokonała pani schody? - spytała ponownie Lily.

- Dziewczyny mnie zniosły, a na płaskich odcinkach sama dałam sobie radę.

- Pozwoli pani, że na przyszłość zaoferuję moje usługi - rzekł Avery.

- Nigdy - odparła Polly. - Kobieta robi się słaba, kiedy zdaje się na mężczyznę, a jeśli jest coś, czego nie mogę ścierpieć, to właśnie słabość, ponieważ...

- Och, to świetnie, że pani do nas dołączyła - przerwała jej Lily, zajmując ponownie swoje miejsce. Wbiegła kolejna ciężarna dziewczyna - chyba Merry, o ile Avery dobrze zapamiętał - i również usiadła. - Panie Thorne, to nasz gość, panna Polly Makepeace. Panna Makepeace jest jedną z członkiń-założycielek Koalicji Kobiet. Niedawno odbyliśmy tu naszą doroczną konferencję. Na nieszczęście panna Makepeace w trakcie przemówienia spadła z podium i złamała nogę. Teraz wraca u nas do zdrowia.

- Rozumiem - rzekł Avery. No tak, Lily używa jego domu jako miejsca spotkań sufrażystek! Nie podobał mu się ten pomysł. I to bardzo.

Konie to konie, ale działaczki polityczne... Konie można przynajmniej trzymać na zewnątrz.

- Tamtego pechowego dnia protestowała właśnie przeciw kandydaturze Lily na sekretarkę organizacji. - Francesca sięgnęła po karafkę stojącą pośrodku stołu. - Odrobinę się rozgorączkowała w swoich enuncjacjach.

Polly oblała się purpurowym rumieńcem. Policzki Lily przybrały odcień szkarłatu.

- Miałam na uwadze wyłącznie dobro organizacji. Żadnych osobistych koneksji. Panna Bede dobrze o tym wie - powiedziała Polly i zwróciła się do Avery'ego: - Jak się pan miewa? Dużo o panu słyszałam.

Wielki podróżnik, łowca przygód... „Prosto w paszczę śmierci” i tak dalej. No cóż, powiem panu, sir, że londyńskie kobiety czekają wkrótce znacznie niebezpieczniejsze przygody...

Drzwi od kuchni otworzyły się. Na twarzy Franceski pojawił się wyraz ulgi. Weszła pani Kettle, a za nią Kathy z ogromną porcelanową wazą, z której unosił się smakowity aromat.

Pani Kettle stanęła przed Averym i zdjęła pokrywkę z wazy.

- *Soupe a l'oignon*, sir.

- Doskonale - skinął głową Avery.

- Później *coquilles Saint-Jacques a u saumon*, a po nich danie mięsne, *tendrons de gigot*. Na jarzynę mamy *d'epinards auxfoies de gras*, a na deser *tarte au citron* - zakończyła pani Kettle.

- Dziękuję, pani Kettle - powiedział Avery. Zauważył, że starsza kobieta zdecydowanie odwraca wzrok od Lily.

No, jeśli Lily Bede w ten sposób szasta pieniędzmi przy każdym posiłku, wydaje przyjęcia dla nagich i bosych sufrażystek i kolekcjonuje stare konie wyścigowe w charakterze domowych pupilów, to musi być diabelnie blisko upadku. Co oznacza, że wszelkie wątpliwości co do tego, czy uda mu się zostać właścicielem Mill House, może odłożyć ad acta.

Obrócił w palcach srebrną łyżeczkę. Ta myśl nie sprawiła mu jednak takiej przyjemności, jak oczekiwał.

azajutrz wieczorem Avery udał się do biblioteki, gdzie zamierzał

przejrzeć księgi rachunkowe. Jeśli zdoła je znaleźć... Dwie służące dygnęły na jego widok. Ich twarze wydały mu się znajome. Faktycznie jednak, odkąd przyjechał, widział tylko trzy służące, wszystkie w różnych stadiach zaawansowania ciąży. Skinął głową. Zakryły usta rękami, tłumiąc chichot. Dziwne zachowanie...

Niewiele miał do czynienia ze służbą płci żeńskiej - czy raczej nie miał

do czynienia w ogóle - niemniej podejrzewał, że w większości domów pokojówki nie wybuchają śmiechem, gdy mijają je mężczyźni. Spędziwszy całe swoje dotychczasowe życie wśród mężczyzn, zaludniony wyłącznie przez 54

kobiety świątek Mill House odbierał jako najbardziej egzotyczny kraj, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się zwiedzać. Fascynował go.

Głosy kobiet wypełniały hall od świtu do nocy hałaśliwą muzyką: trelami, szczebiotem, krakaniem, śmiechem równie lekkim i przelotnym jak plusk kamyka podskakującego po lustrzanej powierzchni stawu, odgłosami kłótni równie ostrymi jak terkot rozklekotanej bryczki. Albo, czasami, nuceniem równie melodyjnym jak zew nocnego ptaka, tak jakby Lily Bede... o, psiakrew! Znowu Lily!

Ta kobieta wkradała się do jego myśli i dawała o sobie znać w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Przypominał sobie, jak to pewien szaman rzucił klątwę na swego wroga, używając figurki, będącej jego wizerunkiem. Zsyłał demony, które mógł widzieć tylko przeklęty. W ten sposób doprowadził nieszczęśnika do szaleństwa. Chwilami kusilo Avery'ego, żeby poszukać w pokoju Lily Bede swojej własnej woskowej figurki... Nie mógł przestać myśleć o tej przeklętej kobiecie.

Do kroćset! Był dżentelmenem, w dodatku umiał się kontrolować.

Bóg świadkiem, że pierwsze dwadzieścia lat swego życia spędził na trenowaniu tej właśnie umiejętności. Nie będzie pragnął Lily Bede, i już.

Skręcił za róg i zwolnił, zastanawiając się po raz kolejny, co się zmieniło w Mill House od czasu jego dzieciństwa. W pamięci miał

ogromne halle wyłożone boazerią, pokoje niczym pieczary z sufitami wysokimi jak sklepienia katedr, miliony tajemniczych książek zapelniających biblioteczne półki... I batalion lokajów czyszczących setki oszklonych okien.

Rzeczywistość była jednak inna. Każdy pokój miał dwa okna, niewiele ponad trzy metry wysokości, a bibliotekę zalegały tanie powieści sensacyjne sprzed czterdziestu lat, a nie zaginione dramaty Szekspira, jak sobie wyobrażał. Mill House był po prostu dużym wiejskim domem z niewielkimi pretensjami do bycia dworem, a i te niewielkie pretensje wydawały się teraz Avery'emu zabawne. Witrażowe okno na górze, waza z Sevres... O ile pamiętał, była tu nawet sala balowa w jednym ze skrzydeł drugiego piętra! Obecny Mill House, swobodny, choć bez dawnej wrzawy, podobał mu się nawet bardziej niż ten, który pamiętał.

-Sir?

Kaczkowatym chodem zbliżyła się do niego rudowłosa dziewczyna z naręczem pościeli w rękach. Twarz miała czerwoną z wysiłku.

- Tak, Merry?

Pytanie wywołało nagły wybuch wesołości. Podobna reakcja służących na jego najprostsze wypowiedzi była tak częsta, że gdyby znajdował się w Afryce, sądziłby, że to jakiś rodzaj rytualnego pozdrowienia.

- Och, sir! - jęknęła, obejmując ręką brzuch. - Niech pana Bóg błogosławi, sir, pamięta pan moje imię!

- Oczywiście, że pamiętam. Jesteś jedyną rudą ciężką...jedyką rudowłosą Merry, jaka tu pracuje.

Nastąpił kolejny atak chichotu. Avery spojrzął na brzuch dziewczyny. Kiedyś był świadkiem porodu w igloo. Mógł oczywiście pozostać na zewnątrz przy temperaturze minus czterdzieści i wściekłej wichurze, co zresztą ochoczo wybrał, dopóki nie stracił czucia w stopach. Następne godziny, już w ciepłym igloo, były wielce pouczające. Nie miał ochoty powtarzać tej lekcji.

Zmaszczył brwi.

- Czego chcesz?

- Panna Bede powiedziała, żebym pana poszukała i spytała, co pan życzy sobie zrobić z zaproszeniami.

- Jakimi zaproszeniami?

- Od okolicznego ziemiaństwa. Na przyjęcia, wieczorki, bale, pikniki i tak dalej.

- Nie mam pojęcia, co zrobić z jakimiś cholernymi zaproszeniami. Daj je pannie Bede - rzucił i minął ją z zamiarem odejścia. Merry ruszyła za nim.

- Dałam - powiedziała. - Ale ona kazała mi dać je panu, sir, żeby pan zdecydował, które przyjąć. Powiedziała, że ma ich już cały stos i trzeba na nie odpowiedzieć.

- Ach tak?

Co za grę prowadzi wobec niego Lily? I gdzie ona jest, u licha?

Wczoraj chodziła za nim jak cień. Gdyby wyglądało, że sprawia jej to choćby odrobinę przyjemności, podejrzewałby ją o nieczne zamiary...

Miała jednak na twarzy wyraz tak bolesnej rezygnacji, że mógł ją posądzać wyłącznie o szpiegowanie. Bała się chyba, że Avery drapnie z Mill House z rodzinnymi srebrami. Najwyraźniej nie lubiła mężczyzn - to tłumaczyło jej sympatie polityczne i listy.

- Merry, uspokój się, dziewczyno - odezwał się oschle, bo znów usłyszał chichot. - Jeśli pomyliłem twoje imię, po prostu powiedz mi.

Nie pomyliłem? No to słuchaj. Nie znam nikogo w promieniu czterdziestu kilometrów od Mill House. Dlatego, pomimo wzruszającej determinacji panny Bede, żeby włączyć mnie do swych rozrywek, poinformuj ją, proszę, że jest mi całkowicie obojętne, w jakich przyjęciach weźmie udział, a w

jakich nie. Z pewnością nie zamierzam jej towarzyszyć... co to znaczy, do diabła?! - zawołał przerażony.

- O mój Boże! - Dziewczyna wytrzeszczyła oczy i zachwiała się lekko. Avery chwycił ją wpół i podtrzymał. Stos prześcieradeł runął

56

z głuchym odgłosem na podłogę. - Znowu będę musiała zanieść to do prania! - jęknęła.

- Dobry Boże, dziewczyno, czyś ty zwariowała? Powinnaś być teraz z akuszerką, a nie biegać bez tchu po domu. Czy panna Bede nie ma krzty przyzwoitości? Jak ona może zmuszać cię do pracy w twoim stanie?

Dziewczyna zmrużyła oczy.

- Panna Bede - powiedziała pewnym tonem - jest świętą osobą.

Gdyby nie ona, nie miałabym dachu nad głową, podobnie jak inne dziewczyny, co tu pracują.

A ona nie miałyby taniej siły roboczej - pomyślał cynicznie.

Im bardziej poznawał metody gospodarowania Lily, tym mniej mu się one podobały. Jadają jak królowie, a równocześnie Lily trzyma tylko trzy ciężarne dziewczyny do roboty, do której przydałoby się ich dwa razy tyle! Francesca ubiera się zgodnie z ostatnim krzykiem mody, a Lily jak uboga... dziedziczka. Mogłaby przynajmniej nosić suknie... Śliczny niegdyś ogród różany zdziczał, zaś w stajniach pożera owies dwadzieścia bezużytecznych koni.

Pobłażliwość i skąpstwo rządziły w Mill House. Skąpstwo w domu, pobłażliwość wobec faworytów Lily. Musiał przyznać, że to było sprytne posunięcie - zatrudnić zdesperowane dziewczyny... Każda z nich pracowała za dwie, szczęśliwa, że w ogóle ma jakieś płatne zajęcie.

Nigdy nie wątpił w inteligencję Lily. Teraz zaczął powątpiewać w jej zasady moralne. Źle mu z tym było, jako że wątpiwości nie chłodziły bynajmniej gorączki jego uczuć. Jakiż to dżentelmen interesowałby się podobną kobietą? A jednak uświadomił sobie z zaskoczeniem, że niechętnie myślał o niej źle.

Z ponurą miną dźwignął Merry i rozejrzał się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby usiąść. Niestety, w zasięgu wzroku nie było żadnego krzesła ani ławki.

- Ojejku! - Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak usta. - Teresa powiedziała, że musi pan być silny jak młody wół.

Młody wół? W pokojach służby był porównywany do młodego wołu? Zacisnął wargi.

- Jak myślisz, zdołasz utrzymać się...

Zanim skończył pytanie, dziewczyna zacisnęła ramiona wokół jego szyi.

Z ust znowu wydobył się jęk. Panie święty, ona chyba nie zamierza teraz...

- Czy to już?! - zawołał. Gdzie jest Lily, u diabła? Musiał przetransportować Merry do jej pokoju.

- To? - spytała tępo Merry. - Ach! To... Nie, sir. To tylko ten mały nicpoń kopnął mnie w pęcherz... To, o czym pan myśli, jeszcze trochę poczeka.

57

Avery wlepił wzrok w ogromny brzuch tuż przed swoim nosem. Zabawne... Jak można normalnie funkcjonować z czymś takim, jeszcze trochę?" Istnieją przecież niepodważalne prawa fizyki, do których nale

ży na przykład prawo ciężenia.

- Jeszcze chwilę, sir, niech no złapię oddech... Zaraz zaraz, ale co to ja właściwie miałam panu powiedzieć?

- Mówiliśmy o zaproszeniach - rzucił w pośpiechu.

- Racja, sir! - rozpromieniła się Merry. - No więc miałam powiedzieć, że wszystkie zaproszenia są dla pana, sir.

- Wykluczone - powiedział niecierpliwym tonem. - Mówię ci, że nie znam tu nikogo.

- Ależ, panie Thorne, pan się nazywa Thorne. Już to by wystarczy

ło, choć pan jest na dodatek Thorne, co to o nim wszyscy dookoła czytają od paru lat. Całe ziemiaństwo umiera z ciekawości. - Merry pokiwała z przejęciem głową. - Wszystkie listy, co do jednego, są adresowane do pana. Czasami do pana i panny Thorne, ale nigdy do panny Bede. W każdym razie te z okolicy.

Nie wiadomo dlaczego podsyciło to tylko jego złość.

- Nic dziwnego - warknął. - Przecież ta kobieta stopniowo zrazi do siebie wszystkich, zważywszy, że paraduje po okolicy w tych komicznych pantalonach i wymachuje rękami jak marynarz. Widziałaś ją wczoraj rano? - spytał z irytacją. Oczy Merry zaokrągliły się. - Szła podjazdem z rozpuszczonymi włosami. Rozpuszczonymi! I cały świat to oglądał, do kroćset!

- Tak jest, sir - powiedziała nieśmiało Merry.

- Na litość boską, przestań się kulić, dziewczyno. Widziałaś kiedy, żeby panna Bede się kuliła ze strachu? Nie widziałaś, prawda? Dlaczego zresztą miałaby się przede mną kulić? Jestem najłagodniejszym mężczyzną na świecie!

- Tak jest, sir - przytaknęła Merry.

- Jestem dżentelmenem - powiedział z naciskiem. - Z pewnością nie miałaś dotąd do czynienia z takim gatunkiem człowieka, będąc pod rządami panny Bede, nieszczęsna istoto.

Dziewczyna spojrzała na swój ogromny brzuch.

- No - mruknęła - raz miałam do czynienia z pewnym dżentelmenem.

- A co do tego, psiakrew, okolicznego ziemiaństwa, które nie zaprasza jej na przyjęcia - podniósł głos Avery - to jeszcze zobaczymy!

- Doprawdy, Thorne - rozległ się od strony schodów znajomy kobiecy głos - powinien pan nauczyć się kontrolować natężenie swoich wrzasków. Słysząc pana nawet na górze.

Na szczycie schodów ukazała się Lily Bede. Jej piękne czarne oczy rozszerzyły się na moment.

- Panno Bede - Avery stanął naprzeciw niej i spojrzał jej w twarz -

ja nie wrzeszczę. Ja tylko mówię wyraźnym, dobrze słyszalnym głosem.

Rozmawiałem z tą młodą kobietą - skinął głową w kierunku Merry -

próbując sprecyzować mój punkt widzenia.

Lily nie zwróciła na pokojówkę najmniejszej uwagi. Podeszła do niego z dumnie uniesioną głową.

- Niektórzy ludzie potrafią przedstawiać swój punkt widzenia, nie wrzeszcząc tak donośnie. Czyżby pańscy towarzysze podróży bywali głusi? A może to pan cierpi na uszkodzenie słuchu? - spytała anielskim głosem.

- Mój słuch jest bez zarzutu - odparł. - I moi towarzysze podróży także słyszeli doskonale. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek podniósł

głos w ciągu ostatnich pięciu lat, jakie spędziłem w ich towarzystwie.

Brew Lily uniosła się w wyrazie niedowierzania.

- A jeśli - ciągnął, pilnując się, by natężenie głosu nie wzrosło więcej niż o decybel - jeśli mówię głośnie, to wyłącznie dlatego, że jestem tu poddawany okrutnym próbom.

Przede wszystkim przez Lily. Znowu miała rozpuszczone włosy, a kołnierzyk rozwarty, tak jakby zapomniała go zapiąć. W rozchyleniu koszuli widać było delikatny dołek między obojczykami u podstawy pięknej, smukłej szyi.

- Czy wolno spytać, cóż to za okrutnych cierpień doznał pan tego ranka? - spytała słodko. - Wczoraj wieczorem ich przyczyną była pań-

ska garderoba.

- Nie chodzi o ubrania - odparł ujęty jej spokojnym tonem. - Wyra-

załem po prostu moje zirytowanie sytuacją.

- Krzyczał pan - powiedziała zdecydowanie. - A dziś rano za

„okrutną próbę” uznał pan moją prośbę, żeby był pan uprzejmy palić ten ohydny tytoń tylko na zewnątrz.

Spojrzał na nią nieprzyjaźnie. Być może zaprotestował przeciwko tej nierozsądnej prośbie zbyt zawzięcie jak na dżentelmena...

- A po lunchu był pan poddany „okrutnej próbie”, bo pogubił pan książki.

- Gazety, a nie książki - warknął. - I wcale ich nie pogubiłem. To któraś ze służących gdzieś mi je zawieruszyła!

- Położyła je na półce! - krzyknęła Lily. - Z pewnością sądziła, że umieszczenie pańskich gazet na pańskiej półce nie stanowi zbyt wielkiego wyzwania dla pańskich zdolności detektywistycznych.

59

- Ja ich nie kładę na półce - odparował. - Kładę je na biurku, bo tam moim zdaniem powinny się znajdować. Będę pani zobowiązany za przekazanie tej informacji kobiecie, która sprząta mój pokój.

- Może pan to zrobić sam - błysnęła gniewnie oczami. - Właśnie trzyma ją pan w objęciach.

Podczas całej tej wymiany zdań Merry, wtulona w ramiona Avery'ego, zachowała całkowite milczenie. Teraz uśmiechnęła się bojaźliwie.

- To się więcej nie powtórzy, sir. Będę zostawiać wszystko dokładnie tam, gdzie pan położy.

Wyglądała tak żałośnie, że nie mógł się dłużej na nią złościć.

- Dobrze już - rzekł uprzejmie. - Z pewnością chciałaś jak najlepiej.

- Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia do Merry? - spytała Lily.

Avery opuścił wzrok na trzymaną w ramionach dziewczynę.

-Nie.

- Więc dlaczego pan jej nie puści? Chyba że - powiedziała, zwracając spojrzenie na dziewczynę - masz coś przeciw temu, droga Merry.

Merry aż się zwinęła.

- Skąd. To nie ja... Może mnie pan postawić, sir.

Avery postawił ją na podłodze i odstąpił o krok, gotowy w każdej chwili złapać ją, gdyby straciła równowagę.

- Już mi lepiej. Dziękuję panu za uprzejmość. - Z zadziwiającą zręcznością przykucnęła, pozbierała pościel i pospiesznie podreptała w stronę wyjścia.

Lily popatrzyła za odchodzącą dziewczyną. Meny była niepoprawna. .. Przez krótki moment,

podchodząc do tych dwojga, Lily myślała, że złapała ich na gorącym uczynku. Dopóki nie zobaczyła twarzy Avery'ego.

Była kompletnie nieświadoma jakiegokolwiek niestosowności. Nawet przy swoim dość ograniczonym doświadczeniu Lily wiedziała, że mężczyźni wyglądają na nieświadomych czegoś, jeśli rzeczywiście nie są.

Nie, Avery po prostu próbował pomóc Marry. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś może źle pomyśleć, widząc go w hallu z ciężarną dziewczyną w objęciach. Avery Thorne, choć tak obstawał przy swoim dobrym wychowaniu, znał się na towarzyskich subtelnościach - i towarzyskich przesądach - równie dobrze jak sroka na łacinie. Zmiłuj się, Boże... Ten fakt tylko sprawiał, że Avery jeszcze bardziej się jej podobał.

A przecież nie mogła sobie na to pozwolić. Avery Thorne przyjechał po to, by zabrać jej Mille House.

Odwróciła się, ale nie był to dobry pomysł. Stał tuż obok niej, tak blisko, że dotykała ramieniem jego piersi. Przenikało ją bijące od niego ciepło, jakaś dziwna moc.

60

8

N

Na szczęście patrzył jakby zaniepokojony za oddalającą się Meny i nie dostrzegał jej zainteresowania. Teraz mogła mu się dokładnie przyjrzeć.

Nie kupił dotąd nowej koszuli i dotychczasowa opinała mocno jego ciało, ukazując muskularne ramiona. Z kołnierzyka zrezygnował w ogóle - żaden nie pasował do wycięcia wokół szyi. Luźne, spłowiałe spodnie w kolorze khaki obejmowały nisko biodra i zwisały wokół nóg, nasuwając myśl o kryjących się w nich potężnych mięśniach.

Lily przygryzła wargę. Pomysł, by trzymać się blisko Avery'ego Tho-re'a nie przyniósł spodziewanych efektów... Wczoraj chodziła za nim krok w krok, czekając, aż ustanie ta gorączka mózgu. Niestety, zaślepienie nie słabło, raczej wprost przeciwnie - rosło. Musiała coś z tym zrobić.

- Czy ona musi pracować, kiedy już wkrótce... już wkrótce... czy musi pracować teraz? - Avery odwrócił się znieacka i wbił w nią oskar-

życielski wzrok.

- Teraz? - powtórzyła jak echo Lily. Właśnie kontemplowała woń jego świeżo ogolonej skóry.

- Tak, teraz. - Pochylił głowę i utkwił wzrok w jej twarzy. - Co się z panią dzieje, u licha? Złe się pani czuje?

Ta odurzająca bliskość... Nie była już w stanie tego wytrzymać.

Odskoczyła i rzuciła się ku schodom tak gwałtownie, że potknęła się o pierwszy stopień. Byłaby upadła, gdyby Avery nie wyciągnął ręk i nie chwycił jej w ramiona.

Stali tak przez moment, pierś w pierś, a jego duże dłonie wtulały się w jej włosy. Powietrze było aż gęste od kłębiących się uczuć i od jakichś sił fizycznych, które przyciągały ich do siebie z niezrównaną mocą.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała wysokim, nienaturalnym głosem. - Proszę mi wybaczyć. Mam coś do zrobienia.

Wysunęła się z jego ramion i uciekła, ścigana świadomością, że Avery Thorne, jedyny mężczyzna, który, do diabła, tak ją pociągał, to jej rywal, jej adwersarz. Czyli -jej najdroższy wróg.

ie obchodzi mnie, co zrobisz z zaproszeniami. Ja z pewnością nie będę na nie odpowiadać. Nie jestem twoją sekretarką.

Słyszac w salonie głos Lily, Evelyn cisnęła rękawiczki na stojący w hallu stolik i uśmiechnęła się do syna, zachęcając, by szedł za nią.

61

Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Lily siedziała na parapecie, Francesca na sofie. Nawet nieoczekiwana obecność tej najeżonej Polly Makepeace, siedzącej w wózku obok sofy, nie była w stanie osłabić jej radości.

Z uśmiechem pchnęła drzwi.

- Zobaczcie, kogo przywiozłam! - ogłosiła zdumionym domownikom. Wzięła Bernarda za rękę i wciągnęła go do pokoju.

- Byłabyś dumna ze mnie, Lily. Byłam naprawdę twarda... - odwróciła się, żeby zamknąć drzwi, i... zobaczyła go.

Gerald.

Gwałtownie chwyciła powietrze, łapiąc Bernarda za ramię. Tamten mężczyzna podniósł się i ruszył w jej kierunku. Jego rysy rozpląwały się jej przed oczyma.

- Evelyn? - odezwała się Lily.

Słyszała troskę w jej głosie, ale nie była w stanie oderwać oczu od zbliżającego się mężczyzny.

- Ognornie się cieszę, że znów panią widzę, kuzynko Evelyn - powiedział.

Kuzynko Evelyn? Zrobił taki ruch, jakby chciał wziąć ją za rękę.

Evelyn przeniknął dreszcz przerażenia. Uchyliła się gwałtownie.

Mężczyzna zamarł na moment, po czym powiedział gładko:

- To musi być trudne, wrócić do domu i zobaczyć najazd gości.

Avery Thorne, łaskawa pani. Dawnośmy się nie widzieli.

- Pan Thorne! - powiedział Bernard z zachwytem. Odchrząknął

i wyciągnął rękę. Avery potrząsnęła nią.

- Miło mi pana poznać, sir.

- Mnie również.

Avery Thorne - pomyślała Evelyn. No tak, to tłumaczy podobieństwo.

- Jednakowoż - ciągnął Avery - muszę zauważyć, że już się wcześniej spotkaliśmy. Ty byłeś w pieluchach, a ja w krótkich spodenkach. -

Skłonił głowę. - Ale, ale... Jakiż ja jestem opieszwały. Może pani usiądzie, kuzynko Evelyn?

- Naturalnie - próbowała się uśmiechnąć. - Obawiam się, że mnie pan zaskoczył. Proszę mi wybaczyć, że nie przywitałam pana jak nale

ży... kuzynie Avery.

- Zdaje się, że wszystkich zaskoczyłem, łaskawa pani.

Zerknął ku miejscu, gdzie siedziała Lily, obserwując ich uważnie.

Biedna Lily... Nieprzywykła do mężczyzn, musiała być przerażona, czując blisko obok siebie tak ogromną bestię.

Evelyn, wykorzystując jego chwilowe odwrócenie uwagi, przemknęła obok i usiadła przy Polly Makepeace.

62

- Jak to miło znowu cię widzieć, ciociu Francesco - Bernard, nachylił się nonszalancko nad ręką ciotki.

- Ja też się cieszę, Bernardzie - odrzekła Francesca. - Skoro nie zanosi się, żeby zrobił to ktoś inny,

pozwól, że cię przedstawię naszemu gościowi, pannie Polly Makepeace. Panna Makepeace wraca u nas do zdrowia po wypadku.

Evelyn załapała się rumieńcem wstydu. Tak była skoncentrowana na Averym, że zapomniała o zwykłej grzeczności wobec gości - nawet jeśli nie był to gość nieoczekiwany.

- Cieszę się, że czuje się pani już na tyle dobrze, iż może pani dołączyć do rodziny, panno Makepeace - powiedziała.

- Wiem, co ma pani na myśli - powiedziała szorstko Polly. - Proszę mi wierzyć, nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie upór panny Bede, żebym została, dopóki nie będę w stanie chodzić o własnych siłach.

- Lily ma absolutną rację - wymamrotała Evelyn. - To, że jest pani wśród nas, to dla nas wyłącznie przyjemność.

- Hmm... - Polly odchyliła się na oparcie wózka, Bernard zaś wykonał nienaganny ukłon w jej kierunku.

Uświadomiwszy sobie nietypowe milczenie Lily, Evelyn przyjrzała się dziewczynie uważnie. Ku swemu zmartwieniu dostrzegła, że Lily ubrana jest, jak to sama nazywała, „rozsądnie”. Na twarzy miała wypieki, oczy lśniły niebezpiecznym blaskiem. Mężczyźni nie lubią, jeśli kobieta nosi męski strój... Zwłaszcza tacy mężczyźni jak Avery Thorne.

A Evelyn wiedziała aż nadto dobrze, jak ważną rzeczą jest schlebianie męskim gustom.

W tej chwili strój Lily był raczej nieroztropny. Spodnie przyciągały uwagę ku biodrom i znajdującym się poniżej krągłościom, bynajmniej nie męskim, a surowa koszula jedynie uwydatniała jej egzotyczną kobiecość.

Tylko włosy, zwinięte na karku w grzeczny węzeł, wyglądały zwyczajnie.

Evelyn przeniosła uwagę na Avery'ego. Wkrótce zostanie on prawnym opiekunem Bernarda... Ta myśl obudziła w niej przerażenie.

Spędziły już prawie pięć szczęśliwych lat w Mill House. Nieczęste kryzysy zawsze były zażegnane dzięki umiejętnemu zarządzaniu Lily, potrzeby domowników zaspokajane dzięki jej hojnej naturze, starcia i konflikty łagodzone dzięki jej dyplomacji. Ich życie można by porównać do podróży piórka dryfującego beztrudnie z prądem rzeki.

Rzadko gdzieś bywały. Francesca - ponieważ z racji swobodnych obyczajów nie akceptowano jej niemal tak samo jak Lily, a Evelyn - bo nie chciała utrzymywać stosunków z ludźmi, którzy Lily pogardzali. Bynajmniej zresztą nie tęskniła do towarzystwa innych ziemian. Ani trochę.

Być może inni uznaliby ich życie za nudne, ale Evelyn je lubiła.

Wystarczająco dużo przeżyła w ciągu ośmiu lat małżeństwa. Tu, przy boku Lily, po raz pierwszy w życiu jej światem nie rządził mężczyzna.

Nie musiała mu się przypochlebiać, żeby zapewnić harmonię w domu, ani kupczyć ciałem, żeby zdobyć jego życzliwość. I nagle pojawił się Avery Thorne i ożywił niemiłe wspomnienia.

Był tak strasznie podobny do Geralda! Te same śmiałe rysy, ten sam niesamowity kolor oczu, duże dłonie, zdolne zadawać ból... Tylko wyraz twarzy był inny. Ale przecież otwartość i prawość mogła być tylko pozorna.

Avery uniósł wzrok, chwytając spojrzenie Evelyn. Jego wargi rozciągnęły się w lekkim, ironicznym uśmiechu. Natychmiast spuściła oczy, przeklinając się w duchu za tchórzostwo.

Jak można tak łatwo rezygnować ze wszystkich odkrytych niedawno przywilejów i swobód? Doprawdy, jak ona zdoła poprosić tego mężczyznę o cokolwiek, skoro nie jest nawet w stanie patrzeć mu w oczy?

- Panno Bede - Bernard podszedł teraz do Lily - mam nadzieję, że ma się pani dobrze.

- Doskonale, dziękuję - odparła Lily. - Ty chyba jeszcze urosłeś, prawda?

Mierząc prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów, Bernard przewyższał swojego drugiego z kolei pod względem wzrostu kolegę w klasie o dobre piętnaście centymetrów. Naturalnie był dużo wyższy również od Lily.

- Tak, panno Bede. Tak mówią.

- Może zaproponuje mu pani trochę czekoladek Franceski? - spytał

Avery. To niewinne pytanie sprawiło, że policzki Lily zalał rumieniec.

Poderwała głowę i przeszła Avery'ego gniewnym spojrzeniem.

Evelyn zagapiła się na Lily, zdumiona jej śmiałością. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że przez cztery lata Lily prowadziła z tym mężczyzną potyczki słowne, w których aż iskrzyło się od ciętych uwag...

Z tęsknym podziwem patrzyła, jak Lily podnosi się dumnie z krzesła i błyska gniewnie oczami. Żaden mężczyzna nie był w stanie jej zastraszyć.

Avery z westchnieniem rezygnacji zrobił to samo co ona.

- Wstaje pani i siada jak pajacyk-zabawka.

- Nikt pana nie zmusza, żeby mnie pan naśladował - zauważyła.

- Wyłącznie maniery - odparł.

- A co do czekoladek, to najpierw dam Bernardowi całusa - powiedziała i wcielając słowa w czyn, cmoknęła go w gładki policzek. - Witaj w domu, Bernardzie.

Bernard uznał to za atak na jego młodzieńczą godność, ale dzielnie zniósł tę zniewagę. Jednakże Lily, wrażliwa na wszelkie sygnały ze stro-64

ny tych, których kochała, dostrzegła zakłopotanie, jakie spowodował jej pocałunek.

- Spokojnie, chłopcze - mruknął od niechcienia Avery. - Panna Bede okazuje po prostu w ten sposób swoją czułość.

Bernard zaczerwienił się. Evelyn z troską nachyliła się ku niemu -

wiedziała bowiem, że gdy w grę wchodzi silne uczucie, Bernard może dostać ataku duszności.

- Nic mu nie jest - szepnęła uspokajająco Polly. - Proszę posłuchać, droga pani, nie może pani wciąż myśleć o najgorszym. - Widząc zdumione spojrzenie Evelyn, wyjaśniła: - Panna Bede powiedziała mi o jego płucach.

- Nie zamierzałam cię obrazić, Bernardzie - rzekła Lily.

- Bynajmniej - odparł Bernard. Głos miał równy, spokojny. Evelyn odetchnęła. - Jak podkreśla kuzyn Avery, została pani obdarzona czu-

łym sercem. Po prostu zaskoczyło mnie pani powitanie. Nauczyciele w Harrows rzadko bywają tak serdeczni.

- Dobrze powiedziane, chłopcze - rzekł z aprobatą Avery. - Nawet jeśli nie zrobiłeś postępów w łacinie, to widzę, że Harrows uczyniło z ciebie dżentelmena.

Bernard, słysząc tę pochwałę, rozpromienił się z radości.

- Czy to wszystko, co powinna robić szkoła, by zasłużyć na pańską aprobatę? - spytała Lily. - Nauczyć go właściwych manier, właściwego sposobu zachowywania się, zaopatrzyć w listę właściwych słów, które powinien mówić w danym momencie?

- Dokładnie tak. - Avery patrzył na nią badawczo, jak kot na świeżo wyklute pisklęta.

Nie wierząc własnym uszom, przysunęła się do niego bliżej.

- Czy nie brzmi to dla pana odrobinę zbyt elitarnie?

- Zachowanie godne dżentelmena to wartościowa cecha i pożądana odmiana elitarności - odparł Avery. - Ufam, że Bernard ma ambicję opanować sztukę właściwego zachowania, które będzie mu dobrze słu-

żyło przez całe życie.

- Tak jak służy panu.

- Mogę jedynie wierzyć, że tak jest w istocie.

Wpatrywali się w siebie nawzajem pełni złości.

Evelyn poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Lily, najwyraźniej nieświadoma niebezpieczeństwa, stała zaledwie o jakieś dwa metry od Avery'ego. Jego oczy lśniły niezgłębionym blaskiem, a Evelyn nie ufała takiemu spojrzeniu. Avery mógł wyciągnąć rękę i uderzyć...

- Panie Thorne - powiedziała Lily - niech pan sobie tęskni za czasami, kiedy można było zażądać pistoletów o brzasku jedynie dlatego, 5 - Mój najdroższy wróg

65

że ktoś powiedział, iż nosi pan zbyt duże rękawiczki, niemniej zapewniam pana, że w nowoczesnym świecie to już nieaktualne.

I trzepnęła go palcami w podbródek. Evelyn wstrzymała oddech.

Avery spojrzał w wymownym milczeniu na smukłe palce Lily, a potem z powrotem w jej oczy.

Lily uniosła czarną brew.

- Uważam, że dla Bernarda znacznie ważniejsze jest nauczyć się matematyki, ekonomii i historii. Któregoś dnia przejmie odpowiedzialność za ogromne dziedzictwo. Słowo odpowiedzialność, na wypadek gdyby pan nie wiedział, wymawia się...

- Zdaje się, że już je kiedyś słyszałem, raz czy dwa - przerwał Avery.

- To dobrze. Wobec tego zrozumie pan zapewne, że Bernard może lepiej wykorzystać swój czas, niż ucząc się na pamięć listy śmiesznych rzeczy, które powinien lub których nie powinien robić dżentelmen.

- Jeśli naprawdę wierzy pani, że ta akademicka gimnastyka umysłu jest ważniejsza niż nauka zasad właściwego zachowania - powiedział

dobitnie Avery - to chyba dobrze, iż za edukację Bernarda wkrótce będę odpowiadał ja, nieprawdaż?

- Przede wszystkim powinien pan...

- Proszę mi wybaczyć, że przerywam - odezwał się Bernard - ale czy mógłbym spytać, skąd pan wie o łacinie, sir?

Avery nie spuszczał oczu z twarzy Lily.

- Och, ja nie traktuję bynajmniej swoich obowiązków tak lekko, jak sądzi panna Bede. Od pięciu lat

utrzymuję z twoimi pedagogami stałą korespondencję.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ich pan informował o adresach, pod jakimi pan przebywał, a mnie kazał siebie szukać? - podniosła głos Lily.

- Sądziłem, że to wyzwanie sprawia pani przyjemność.

Evelyn mogłaby przysiąc, że widzi iskry przeskakujące z oczu do oczu tych dwojga sprzeczących się ludzi.

- Zdecydowanie coś się dzieje między nimi - szepnęła Polly Makepeace, podczas gdy Lily próbowała się opanować. - Sznurowadła w gorsecie mojej starej matki są mniej napięte niż atmosfera między tymi dwojgiem. A mamusia waży ponad sto osiemdziesiąt kilo.

Evelyn stłumiła wybuch śmiechu. Wyobraziła sobie kobietę zasznurowaną jak baleron i na chwilę zapomniała o strachu. Nie spędzała w towarzystwie Polly więcej czasu, niż to było naprawdę konieczne, i na myśl jej nie przyszło, że Polly ma poczucie humoru!

- Dlaczego ona świadomie go prowokuje? - spytała, zniżając głos.

- Czy nie zdaje sobie sprawy, że wzbudza tylko jego w gniew?

66

- Pani Thorne - rzekła Polly - cokolwiek myślę o kwalifikacjach panny Bede, jeśli chodzi o kierowanie Koalicją, nigdy nie wątpiłam w jej odwagę. Ona i ten pan ścierają się ze sobą, odkąd przyjechał, i nie zdarzyło się dotąd, by wyszła z któregoś z tych słownych pojedynków jako przegrana - choć uczciwość nakazuje mi przyznać, że nie wyszła z nich również jako zwyciężczyni.

Zafascynowana myślą, iż Lily daje skuteczny odpór temu silnemu mężczyźnie, Evelyn popadła w zadumę.

- O czym pani tak rozmyśla, pani Thorne? - spytała Polly. Lily tymczasem przypuściła kolejny atak, wciąż stojąc dosłownie o centymetr/

od wysokiego, muskularnego mężczyzny w wyraźnie opiętej marynarce.

- Ta Lily... - mruknęła Evelyn. - Jak ona potrafi radzić sobie z mężczyznami! Nie zlekka się Avery'ego Thorne'a. Zazdroszczę jej odwagi.

- No, no - rzekła Polly dość łaskawie - nie wygląda na to, żeby pan Thorne był człowiekiem porywczym. Jest trochę szorstki i być może za głośno mówi, jego maniere też pozostawiają wiele do życzenia, ale ma dobre serce. I wie, co to honor. Podobnie jak panna Bede... Ja osobiście cenię sobie prostolinijność u mężczyzny.

Evelyn za nic w świecie nie potrafiłaby powiedzieć, co sprawiło, że zaczęła się zwierzać Polly Makepeace. Jakikolwiek były przyczyny tego stanu rzeczy, słowa nagle poczęły wylewać się z jej

ust.

- Byłabym szczęśliwa, gdybym już nigdy nie musiała mieć do czynienia z tego rodzaju mężczyzną - wyznała. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie - żyć pod jego rządami bez Lily, naszej orędowniczki...

- Dlaczego potrzebuje pani innej kobiety, żeby mówiła w pani imieniu, pani Thorne? - Polly uniosła pytająco głowę.

- Panno Makepeace - powiedziała spokojnym głosem Evelyn - chyba nie zakłada pani, że tylko niższe klasy mają monopol na małżeńskie... kłopoty. Moje doświadczenia sprawiły, że niechętnie przebywam w towarzystwie szorstkich, hałaśliwych mężczyzn... a może nawet w ogóle nie potrafię sobie z nimi radzić.

- Rozumiem.

Evelyn uśmiechnęła się lekko.

- Czyżby?

- I myśli pani, że panna Bede jest lepiej przygotowana do radzenia sobie z panem Thorne i podobnymi mu mężczyznami?

- Jak może pani w to wątpić? - spytała Evelyn. - Proszę na nią spojrzeć... Nawet jeśli tym razem nie zwycięży, ileż ma odwagi. Jest wspaniała!

- To prawda - powiedziała w zamyśleniu Polly. - Istotnie, wygląda, jakby sprawiało jej to przyjemność. A on robi wrażenie rozbawionego.

67

B

9

Proszę spojrzeć, jak pożera ją wzrokiem... I jak ona piorunuje go spojrzeniem.

Evelyn skinęła głową.

- Tak... Ja nigdy nie byłam taka dzielna.

Obawa przed niepewną przyszłością wycisnęła jej łzy z oczu. Evelyn sięgnęła do kieszeni. Co za szczęście, że Bernard cały czas przypatrywał

się Lily i Avery'emu. Nagle niewielka, szorstka dłoń Polly wcisnęła jej do ręki chusteczkę i poklepała życzliwie. Evelyn cicho pociągnęła nosem.

- O Boże, jak ja... jak w ogóle mogę mieć nadzieję, że...

- Ćśśś - powiedziała szeptem Polly. - Jeśli będzie pani tak miła, pani Thorne, i wyprowadzi mój wózek do hallu, to być może znajdę rozwiązanie wszystkich naszych problemów.

ardzo mi się podobały pańskie listy, kuzynie Avery - rzekł chłopiec.

- Yhm - odparł Avery z oczami utkwionymi w wyprostowanej sylwetce Lily Bede, która długimi, pełnymi gracji krokami przemierzała przestrzeń o czterdzieści metrów od nich. Pomimo szybkości, z jaką się poruszała, biodra kołysały się łagodnie, a opuszczone ramiona falowały płynnie w rytm kroków. W jej ruchach była jakaś żywiołowość, jaką ma tancerz we śnie - wzruszająco naturalna.

Żar lał się z nieba z nietypową dla tej pory roku intensywnością.

Ważki o smukłych, fosforyzujących na niebiesko korpusikach uniosły się nad ścieżką, którą szli. Zboża na polach szeleściły *sotto voce* w podmuchach suchego, ciepłego wiatru.

Lily zdecydowała, że będą jeść na świeżym powietrzu.

Ledwo ochłonawszy po walce, drżąc jeszcze z napięcia, oznajmiła, że zjedzą posiłek pod gołym niebem, żeby uczcić powrót Bernarda.

- Innym chłopakom też się podobały.

- Proszę? - spytał Avery, podciągając rękawy marynarki. Za gorąco na wełnianą odzież... A właściwie za gorąco na marynarkę. Ściągnął ją pośpiesznie.

- Mówię o chłopakach ze szkoły. Im też się podobały pańskie opowieści.

- Ach tak. Cieszę się. - A jej najwyraźniej nie było za gorąco...

- Zwłaszcza te o Afryce - chłopakowi jakby trochę zabrakło tchu.

68

- Afryka to ciekawe miejsce. - Avery zwolnił nieco, tak żeby Bernard mógł dotrzymać mu kroku. Dystans między nimi a Lily zwiększył się.

Szła po trawie w stronę wielkiego buka, wiodąc za sobą Evelyn i Francescę; jej szerokie spodnie pozostawiały za sobą pas przygniecionej zieleni.

W niewielkiej odległości za nimi kroczył Hob, objuczony niczym muł.

Francesca, której fachowo umalowana twarz ucierpiała na skutek gorąca i potu, z wysiłkiem brnęła

naprzód w swojej koronkowej spódnicy, usiłując nadażyć za Lily. Evelyn, z wyrazem oszołomienia na twarzy, wręcz gnała kłusem.

Lily tego nie dostrzegała. Żeby dostrzec, musiałaby się obejrzeć, ryzykując, że napotka wzrokiem jego, a tego najwyraźniej by nie zniosła. Co za irytująca kobieta!

- .. przyszłością panny Bede.

- Co takiego?

Avery zatrzymał się. Bernard też.

- Mówiłem właśnie, że byłbym panu wdzięczny, gdybyśmy mogli niedługo, w dogodnej dla pana chwili, zastanowić się nad przyszłością panny Bede.

- Jak to nad przyszłością panny Bede? - spytał Avery.

Jasne włosy Bernarda przylgnęły do skroni, spocone. Twarz przypominała kolor białego wosku. Przeguby rąk, wystające z rękawów tweedo-wego żakietu, były otarte, a końce kołnierzyka zwinęły się z gorąca.

- Zdejmij to z siebie, do licha, Bernardzie... No, a teraz co z tą przyszłością panny Bede?

- Sir - chłopak zrzucił żakiet - czy naprawdę sądzi pan, że to wła

ściwe miejsce na rozmowę? To znaczy, czy jako dżentelmeni powinni

śmy rozmawiać o pannie Bede w miejscu publicznym?

- Bernardzie - powiedział Avery, próbując zachować cierpliwość, choć z odcieniem irytacji -ja naprawdę dobrze wiem, jakie zachowanie jest godne dżentelmena. Zapewniam cię, że to miejsce jest równie dobre jak każde inne.

- Tak, sir. - Bernard nie wyglądał na przekonanego.

-No to zaczynaj.

- No cóż, sir... zastanawiałem się, co pan zamierza zaproponować pannie Bede. Mam na myśli jej przyszłość.

Nie sądziłem, że w ogóle muszę w tej sprawie cokolwiek robić -

odparł Avery. - W istocie dowiedziałem się właśnie tego ranka, że może się zdarzyć, iż będę całkowicie - i nie waham się dodać „na szczęście” -

wyłączony z jakiegokolwiek odpowiedzialności za przyszłość panny Bede.

- Jak to, sir?

69

- Skontaktowałem się z bankiem Horatia i... i rzuciłem okiem na rachunki - wyjaśnił Avery. - Jest całkowicie możliwe, że bilans pięciu lat zarządzania majątkiem przez Lily Bede naprawdę wykaże niewielki dochód. Jeśli tak się stanie, panna Bede odziedziczy Mili House.

Chłopak spojrział mu prosto w oczy.

-1 co wtedy?

- W jakim sensie? - spytał z irytacją Avery. Odziedziczenie przez Lily Mill House to nie była najlepsza możliwa sytuacja, ale końcowy rezultat i tak jest z góry przesądzony. - Sprzeda ten dom - oczywiście mnie - a potem wyjedzie i będzie robić, co zechce. Kupi sobie pełną szafę męskich ubrań, jak przypuszczam - zerknął ku ponętnej krągłości rysującej się pod pantalonami Lily.

- Wątpię, żeby sprzedała Mill House panu.

- A to czemu? - spytał Avery zdumiony.

Przemyślał każdą ewentualność, jaka mogłaby stanąć na drodze ku przejęciu przez niego Mill House, nawet tak mało prawdopodobną, że majątek odziedziczy Lily. W takim wypadku przewidywał zaproponowanie jej za niego hojnej sumy, którą ona miała następnie z wdzięczno

ścią zaakceptować i zniknąć. Wątpliwości chłopca postawiły pod znakiem zapytania starannie opracowany plan.

- Komu jeszcze mogłaby go sprzedać? - spytał.

- Przypuszczam, że panu Camfieldowi.

- A kto to jest, do diabła, pan Camfield?

- Proszę nie mówić tak głośno, kuzynie Avery. Pan Camfield to nasz sąsiad. Kupił Parkwood zeszłej wiosny. Jest strasznie bogaty, przynajmniej matka tak twierdzi, i chce rozszerzyć swoje posiadłości. A panna Bede mówi, że to człowiek o postępowym umyśle, który popiera sprawę kobiet.

- Z pewnością popiera. I daję głowę, że dołączył do szeregów postępowych mężczyzn w dniu, kiedy poznał Lil... pannę Bede - mruknął

ponuro Avery.

- Twierdzi, że przynajmniej jednemu przedstawicielowi płci męskiej pomogła dostrzec, gdzie leży prawda.

Avery prychnął z pogardą.

- Jeśli pan Camfield liczy na to, że stanie się właścicielem Mill House, to jest skazany na rozczarowanie. Mill House jest mój. Jeśli jakimś cudem panna Bede go odziedziczy, będzie pertraktować nie z nim, tylko ze mną.

- Być może, niezależnie od tego, co mówi matka, wcale nie będzie chciała go sprzedawać - zasugerował Bernard. - Być może spróbuje sama poprowadzić majątek.

Avery parsknął.

- Mało prawdopodobne. Jakakolwiek jest panna Bede, z pewnością nie brak jej zdrowego rozsądku, a skoro tak, wybierze przyszłość wygodną i bezpieczną, a nie ryzykowną.

- Gdzie miałyby znajdować się ta wygodna przyszłość? - spytał

Bernard.

Avery wzruszył ramionami.

- Gdziekolwiek zechciałyby panna Bede.

Chłopak przecesał dłonią włosy.

- Nie podoba mi się to. Nie może pan tak po prostu zostawić jej samej sobie. To nie wystarczy.

Nie podoba mu się to? Nie wystarczy? No nie... Avery doceniał

stanowczość chłopaka, prawie mężczyzny - sam był kiedyś taki - ale to już trąciło zuchwałością.

- Takie to ważne dla ciebie? - spytał ostrożnie.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał Avery'emu w oczy.

- Wiem, że będzie miała pieniądze, ale jeśli sprzeda posiadłość, gdzie się podzieje? Mill House to jej dom; moja matka i ciotka to jej rodzina. Zostałaby odłączona od tych, którzy ją kochają...

Avery utkwiał w nim wzrok, mimo woli poruszony. Z łatwością mógł

sobie wyobrazić, co to znaczy mieć dom... i stracić go.

- Nikt nie odłącza panny Bede od czegokolwiek. A chociaż twoja troska o nią jest szczerą, pamiętaj o tym, że nawet jeśli odziedziczy majątek, twoja matka i ciotka i tak będą musiały stąd odejść.

Chłopak spojrzał na niego nachmurzony, nie rozumiejąc.

- Chyba się nie spodziewasz, że zostaną tu w charakterze pensjona-riuszek panny Bede?

Bernard potrząsnął głową.

- Natomiast - rzekł pocieszająco Avery - jeśli ja kupię posiadłość, twoja matka nadal będzie mogła traktować ją jako swój dom. Nie martw się, nie przepędzę panny Bede spod drzwi, kiedy przyjedzie z wizytą, jeśli właśnie tego się obawiasz.

- Nie rozumie pan. Panna Bede nie przyjedzie z wizytą.

Jak to nie przyjdzie? Wyobraził już sobie Lily Bede stukającą do jego drzwi. Zaprosiłby ją do środka i potraktował z całą uprzejmością i łagodno

ścią, jakiej zabrakło, gdy ona przyjmowała jego. Ależ by się zirytowała...

- Dlaczego miałyby nie przyjechać? - spytał.

- Ze względu na opinię społeczną!

Znaczenie tych słów uderzyło Avery'ego z obezwładniającą siłą.

Bernard, korzystając z tego, że po twarzy kuzyna przez moment przemknął wyraz bólu, poszedł za ciosem.

71

- Panna Bede jest dumna - powiedział otwarcie. - Bardzo dumna.

Jeśli opuści ten dom, mogę pana zapewnić, że nigdy więcej się nie odezwie do matki ani cioci Franceski. Nie zaryzykuje, że podtrzymując tę znajomość, narazi je na potępienie.

- Bzdura - warknął Avery.

- Naprawdę? - W zielononiebieskich oczach chłopca rysowała się niepewność.

- Oczywiście. Za pieniądze wszystko można kupić. Taki drobiazg jak pochodzenie z nieprawego łóża szybko zostanie zapomniany.

- Być może wśród arystokracji, ale ziemiaństwo jest znacznie mniej skłonne do wybaczenia.

- No to przeprowadzi się do Londynu - rzucił Avery, czując się coraz bardziej zapędzany w kozi róg.

- Z daleka od matki i cioci Franceski? Z daleka od koni? Ona nie cierpi Londynu.

- Psiakość, Bernardzie - powiedział Avery - wymyślasz problemy.

Szansa, że dziedzictwo dostanie się Lily Bede, jest praktycznie bliska zeru. Szkodniki w sadzie albo odrobina zbutwiałego zboża w stodole wystarczą, żeby zniweczyć ten żałosny zysk, jaki zdołała osiągnąć.

Bernard przez długą chwilę stał w milczeniu ze zmartwioną twarzą, wyraźnie dodającą mu lat. Wreszcie Avery położył mu dłoń na ramieniu.

- Obiecuję ci - rzekł - że zawsze będę pamiętał o moich zobowiązaniach wobec panny Bede.

Cokolwiek wyczytał chłopiec w jego oczach, wyglądało na to, że się uspokoił przynajmniej na chwilę, bo westchnął lekko, jakby uwalniając się od strachu. Z niewygodnym uczuciem, że obiecał

znacznie więcej, niż zamierzał, Avery cofnął dłoń i ruszył ku wielkiemu bukowi. Pod drzewem trzy kobiety rozścielały koce, a Hob wbijał kołki w ziemię, zabezpieczając niewielki pasiasty namiot, który uparła się rozbić Francesca.

- A jeśli nie uda jej się odziedziczyć Mill House? Co wtedy pan zrobi?

Avery odwrócił się zniecierpliwiony. Bernard przymrużył oczy. Nie dawał za wygraną, nie poddawał się... Też byłem taki w jego wieku, pomyślał Avery. Najwyraźniej jest to cecha rodzinna.

- Zaopiekuję się nią - powiedział i z powrotem się odwrócił.

- Naprawdę?

Przystanął.

- Naprawdę.

- Przysięga pan?



Cechy rodzinne to ważna rzecz, ale trzeba jeszcze wiedzieć, kiedy skończyć.

- Bernardzie... - zaczął ostrzegawczo.

- A jeśli ona nie zechce, żeby się nią opiekować? - naciskał chłopak.

Avery okręcił się ze złością i ryknął.

- W nosie mam, co ona zechce, a czego nie! Jestem dżentelmenem, do diabła! Dopóki będę za nią odpowiedzialny, zrobię wszystko, co trzeba, żeby zapewnić jej byt. Jeśli oznacza to konieczność trzymania jej w Mill House, zrobię to, nawet jeśli będę musiał przykuć ją, psiakrew, łańcuchem do ściany!

- Naprawdę mógłby pan to zrobić? - spytał Bernard, otwierając szeroko oczy.

Avery posłał mu ironiczny uśmiech i ruszył pełnym godności krokiem.

- Wątpisz w to? - rzucił przez ramię.

Lily uniosła wieko koszyka i sprawdziła jego zawartość. Ser, szynka, duszone przepiórki, pół tuzina chrupiących bochenków chleba, słoje z masłem, a także ciężki maślany tort nasączony rumem, owinięty za-tłuszczonym papierem. Westchnęła.

Musi porozmawiać z panią Kettle na temat tych kosztownych potraw. Nie mogli sobie teraz pozwolić na podobne wydatki.

Każdego ranka Lily obserwowała małą, pomarszczoną kucharkę, która schylała się nad skrawkami papieru i poruszając bezgłośnie wargami, powtarzała sobie na głos zapisane tam tajemnicze składniki. I wszystko to robiła dla niego. W gruncie rzeczy cały dom był zniewolony przez tę bestię.

Łącznie ze mną, pomyślała. Głowę miała odwróconą, ale nic nie mogła poradzić na to, że widzi go kątem oka. Z marynarką przerzuconą przez ramię i rozpiętym kołnierzykiem, ze lśnącymi w słońcu włosami

- wyglądał bosko.

Przerwała rozpakowywanie koszyka. Siedziała w kucki, nasłuchując i mogłaby przysiąc, że przed chwilą słyszała, jak wykrzykuje jej imię.

Nonsens... Byli przecież zaciekłymi wrogami. Przypominali dwa psy walczące o smakowitą kość. Powinna martwić się teraz o ten psi przysmak, a nie o kolor oczu swego przeciwnika!

Była na siebie zła... Nie mogła uwolnić się od oczarowania i miała wrażenie, jakby pogrążała się coraz bardziej.

Kiedy przed chwilą kłóciła się z Averym w salonie, patrząc na jego szeroką, opaloną szyję, poczuła dziwny, przemożny impuls. Pragnęła dotknąć jego ciała, poczuć jego ciepło.

To dlatego uciekła z domu, proponując ten piknik. Sądziła, że świeże powietrze pomoże jej przestać o nim myśleć. Myliła się jednak.

A może dokonałby tej sztuki pocałunek - przemknęło jej przez głowę. Jeden pocałunek i wszystko pryśnie. Zostanie wyleczona. Przesaną budzić ją w środku nocy dręczące tęsknoty za Averym Thorne'em, za jego ustami. I jego ramionami. I jego dłońmi.

Niestety, prawdopodobieństwo, że Avery ją pocałuje i w ten sposób zostanie położony kres tym bzdurom, było mniej więcej takie samo jak to, że rządcą Drummond będzie wobec niej grzeczny. Innymi słowy, żadne. To nie było w porządku. Jak zwykle to mężczyźni decydowali, kogo mają ochotę pocałować... Dlaczego kobietom nie wolno przejąć inicjatywy?

Rzuciła okiem przez ramię. Avery i Bernard nadal byli pogrążeni w rozmowie. Avery odwrócił się, tak że stał teraz przodem do niej. Jego opalona tropikalnym słońcem twarz wyraźnie odcinała się od białej koszuli. Oczy koloru morza mrużył przed blaskiem południa, a wtedy jego twarz zdobiły śliczne wachlarzyki delikatnych zmarszczek...

- Wspaniały, prawda? - szepnęła Francesca.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Lily powróciła do przeszukiwania zawartości koszyka. Gdzieś tu powinny być pomarańcze... Widziała, jak pani Kettle je pakowała.

- A taki nieśmiały - mruknęła Francesca.

- Nieśmiały? - spytała Lily z niedowierzaniem, mimo że sama miała

podobne wrażenie. Francesca skinęła głową. - To najbardziej pewny siebie, arogancki i zaborczy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam.

- Najwyraźniej nie miałaś dotąd zbyt wiele do czynienia z mężczyznami.

- Drwiesz sobie ze mnie - powiedziała zdecydowanie Lily.

- Skądże - zaprzeczyła Francesca. - Mówię zupełnie szczerze. Avery Thorne to bardzo nieśmiały mężczyzna. I przypuszczam, że właśnie twój wdzięk wyzwala w nim jego najlepsze cechy...

- Najlepsze cechy? - zaperzyła się Lily.

- Tak. Błyszczysz dowcipem i intelektem w rozmowie z tobą. Kiedy ma do czynienia ze mną czy nawet z Evelyn, jest lakoniczny aż do bólu.

- Ha! I tu się mylisz. Niechętnie z tobą rozmawia, bo jest mizogini-stą. Jako kobieta jesteś dla niego istotą, na którą nie zwraca się uwagi.

- Mylisz się - powiedziała zdecydowanie Francesca. - Gdyby był

taki zarozumiały i samolubny, jak myślisz, czy nie sądzisz, że spędzałby 74

czas na zabawianiu nas opowieściami o swoich przygodach? Wciąż by akcentował swoją wyższość, opowiadając o odwadze i męstwie.

Lily nie była przekonana.

- Lily - westchnęła Francesca. - Ten człowiek objechał cały świat.

Widział rzeczy, jakich nie oglądał żaden Europejczyk. Jeśli ktokolwiek mógłby mieć powód do dumy, to właśnie on. A mimo to nie mówi o sobie w ogóle. Uwierz mi, on jest nieśmiały, przynajmniej w stosunku do kobiet. Czy można zresztą spodziewać się czegoś innego? Wychowywał się wśród mężczyzn.

- Nie wygląda na to, żeby miał jakiegokolwiek trudności z wygłaszaniem opinii wobec mnie - burknęła Lily. A może uważał ją za kobietę nieprzeciętną i inną od wszystkich, z którą mógł czuć się nieco swobodniej, bardziej swojsko... Ukradkiem rzuciła okiem na swoje spodnie.

- Tak - wyszczerzyła zęby Francesca. - Zauważyłam to.

- Co nie znaczy, że ma to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie - dodała Lily. Francesca zachichotała i musnęła lekko jej policzek.

- Strasznie nieporadna z ciebie kłamczucha, Lily... Żeby nie powiedzieć szczerza, dzielna i wartościowa dziewczyna. Słowo daję, że zanudziłabyś mnie na śmierć, gdybym nie odkryła w tobie tej rozkosznej ma

łej hedonistki, którą tak starannie ukrywasz.

- Cieszę się, że dostarczam ci rozrywki. - Lily znalazła w końcu jedną z pomarańczy.

- O, tak - rzekła Francesca. - A nawet więcej - intrygujesz mnie. Te mieszczańskie skrupuły krępujące twoją artystyczną duszę... Wyglądasz jak uciekinierka z pałacu sułtana, a zachowujesz się jak kapłanka.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. - Lily oparła się o pień drzewa i wbiła paznokcie w skórę pomarańczy. Obrała owoc, pilnie zważając, by nie patrzeć w stronę nadchodzących mężczyzn.

Francesca wytwornym ruchem rozpostarła spódnicę i usiadła na trawniku obok niej. Sięgnęła do koszyka i też wyjęła pomarańczę.

- Chodzi mi o to, że gdybym była na twoim miejscu, nigdy bym nie pozwoliła, żeby mężczyzna doprowadził mnie do takiego stanu.

- Nie jestem w żadnym stanie.

- Och, kochanie - Francesca potrząsnęła głową, rozbawiona. - Jesteś właśnie w tym stanie.

- Wcale mi się to nie podoba! - wybuchnęła Lily.

- To oczywiste.

- Uważam, że być tak zauroczoną jakimś... to głupota!

-No...

- To nie w porządku!

- Zdecydowanie.

- To tylko strata czasu!

- Nie bluźnij, moja droga.

- Co ja mam robić? - spytała w końcu. Francesca upuściła pomarańczę i z uśmiechem, który zdawał się mówić, że oczekiwała, iż Lily zada właśnie to pytanie, przysunęła się bliżej i powiedziała jej, co ma robić.

r

sparty na łokciach, z jedną nogą zgiętą w kolanie, a drugą wyciągniętą przed siebie, w rozpiętej kamizelce, z rozchylonym kołnierzykiem koszuli, Avery uniósł głowę i wydmuchał wonny obłok tytoniowego dymu. Poprzez błękitną mgiełkę widział, jak Lily, siedząca o co najmniej cztery metry od niego, marszczy nos kaszląc. Tuż obok Polly Makepeace maglowała biednego Bernarda na temat jego „życia w szkolnej instytucji”. Hob zdołał dopchać tu jej wózek.

Nigdy dotąd nie miał okazji cieszyć się towarzystwem kobiet, kiedy są rozluźnione i beztroskie, i był zdziwiony, gdy odkrył, że właściwie lubi je słuchać. Zauważył, że mają o wiele bardziej złożoną psychikę, niż przypuszczał. Tylko Lily Bede zawsze umiał właściwie ocenić. Ale ona była wyjątkiem

Odwrócił głowę, by lepiej ją widzieć. Z profilu miała wręcz nieprzyzwoicie długie rzęsy, zgrabny nos, piękne, powabne usta...

Niesamowita istota. Skora do kłótni. Cięta. Drażliwa. Wyobrażał sobie, że leżąc nocą w łóżku snuje intrygi, jak by go tu sprowokować... Jej determinacja, żeby zdobyć Mill House, była niemal tak wielka jak jego własna.

Odkrycie podobnej stanowczości u istoty, która powinna być uległa i posłuszna, zburzyło jego spokój. Pewnie stąd ta wielka fascynacja jej osobą.

- Co planujesz na jutro, Lily? - spytała Evelyn.

- Nic szczególnego - odparła Lily. - Mam się spotkać z Drummondem, jak w każdy trzeci

poniedziałek miesiąca.

- Powinna pani powiedzieć swojemu rządcy, żeby jak najszybciej wykopał owce - odezwała się Polly, przyciągając ku sobie zdumione spojrzenia całego towarzystwa. - Widziałam je ostatnio całe oblepione gliną. Znosi się, że lato będzie okropnie gorące. Chyba nie chce pani, żeby chorowały z przegrzania?

76

- Dobrze, wspomnę mu o tym - odparła Lily.

- Ojciec panny Makepeace był rządcą w jednym z majątków księcia Hintona - wyjaśniła Evelyn.

- Jakież to okropne - zauważyła Francesca, a usłyszawszy, że Evelyn z przerażeniem chwyta powietrze, dodała szybko: - Och, nie, nie mam na myśli zajęcia pani ojca, panno Makepeace, tylko jutrzejsze plany Lily. Nigdy nie mogła się dogadać z Drummondem.

Lily wolałaby, żeby Francesca nie wspominała teraz o jej problemach z rządcą. Avery mógł uznać kłopoty z Drummondem za dowód jej bezradności. Dlaczego jednak tak bardzo liczyła się ze zdaniem Avery'ego, nie mogła pojąć.

- Nasze kontakty są w miarę poprawne - powiedziała.

- Ależ, Lily! - wykrzyknęła Evelyn. - Zawsze mówiłaś, że ten człowiek nie ma dla ciebie szacunku. Kiedy ostatnio byłaś z nim umówiona, nie wpuścił cię do kancelarii.

Lily zaśmiała się nerwowo.

- Och, to był po prostu taki drobny żart z jego strony.

- Podejrzewam, że nie pozwalałby sobie na podobne żarty, gdyby u twego boku stał Avery - powiedziała niewinnie Evelyn. Lily rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

- Nie będzie takiej konieczności - zerknęła na Avery'ego, który le

żał beztrosko niczym basza pośród swoich konkubin.

- Pamiętam starego Drummonda - rzekł leniwie. A więc to tak...

Avery chciał odkryć, jak Lily rządziła gospodarstwem. Księgi rachunkowe zawierały jedynie wydatki na mydło, zboże, odzież i żywność. Urzędnicy bankowi nie wiedzieli, w jaki sposób zdołała uzyskać dodatni bilans, wiedzieli tylko, że go uzyskała. Może zysk pochodzi z wyprzedaży sprzętu albo nadmiernego wypasu? Drummond mógł mu o wszystkim powiedzieć. - Uczył mnie polować na króliki.

- Cóż to za skarbnica wiedzy ten Drummond zauważyła Lily z przekąsem.

- Och, zdziwiłaby się pani - powiedział Avery. - W gruncie rzeczy jest dosyć miły.

Lily otworzyła usta.

- Drummond? Miły?

- No cóż, być może „miły” to nieco przesadne określenie dla jego powabu. - Avery nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Ciemne oczy Lily rozszerzyły się, brwi uniosły, kąciki ust wygięły leciutko - i dziewczyna roześmiała się. Gardłowy, głęboki, ujmujący śmiech zawładnął jego sercem.

- Powab Drummonda jest raczej nieuchwytny - powiedziała, chichocząc.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Lily pochyliła się ku niemu, tak jakby chciała coś dodać, szepnąć. Odrzucił cygaro i usiadł, żeby lepiej słyszeć. Wciąż się uśmiechała, twarz miała łagodną i bezbronną. Kruczoczarny kędziorek, który uwolnił się z upiętych włosów, tańczył beztrąsko pośrodku gładkiego czoła.

Wystarczyło tylko objąć dłonią jej smukły kark, przyciągnąć jej usta ku swoim i...

O czym on myśli, do diabła? Nagle zdał sobie sprawę z milczenia, jakie zapadło wokół. Rozejrzał się - wszystkie oczy skierowane były na nich. W powietrzu wisiało oczekiwanie. Lily, potrząsnąwszy głową, jakby obudził ją ktoś gwałtownie ze snu, z powrotem oparła się o drzewo.

Evelyn westchnęła, Francesca przymknęła oczy z wyrazem niesmaku, Polly Makepeace parsknęła, a Bernard omiółł wszystkich zaniepokojonym spojrzeniem.

Instykt Avery'ego znowu próbował go ostrzec. Działo się coś bardzo dziwnego. No cóż, Avery nie zamierzał go słuchać. Miał swoje plany.

- Drummond to chyba ostatni z ludzi, którzy pracowali w majątku, kiedy byłem mały. Ciekawe, czy mnie pamięta... - zrobił pauzę. - A gdybym tak poszedł jutro z panią?

Lily spojrzała na niego badawczo.

- To chyba nudne zajęcie.

- Istotnie. Ona ma na głowie prowadzenie majątku, wie pan - powiedziała Polly z powściąganą dumą. - Nie może cały czas grać roli gościnnej gospodyni. Zresztą jestem pewna, że nie zrozumie pan połowy z tego, o czym będą mówić.

- Ufam, że zdołam wyłapać z ich rozmowy istotę sprawy - odparł

z wymuszonym spokojem. Prawda była jednak taka, że niewiele wiedział o rolnictwie. Świadomość, że Polly Makepeace ma znacznie rzetelniejszą wiedzę, była w najwyższym stopniu irytująca.

- Lepiej będzie, jeśli odwiedzi pan Drummonda później, kiedy zakończą już z Lily swoje interesy - ciągnęła Polly zniechęcającym tonem. - Będziecie wtedy mogli spokojnie powspominać sobie wasze króliki. ... Nie ma powodu, żeby przeszkadzać w poważnej pracy. Nie sądzi pani, pani Thorne?

Evelyn zakrztusiła się i skinęła głową.

Avery spojrzał na Polly Makepeace kamiennym wzrokiem. Przekroczyła granicę między doradzaniem a przesadną troskliwością - a to było niewybaczalne.

Evelyn wzięła głęboki oddech.

- Jeśli będzie się pan nudził, panie Thorne, to może pani Kettle zapakuje panu coś smacznego na lunch i zje pan nad rzeką. Może nawet trochę połowi... Jestem pewna, że Bernard z chęcią pomoże panu jutro rano kopać robaki - zakończyła bez tchu swoją krótką kwestię i opadła na krzesło, niemal bez siły.

- Ojej - Bernard obracał głowę to w tył, to w przód, patrząc raz na Polly Makepeace, raz na matkę. - No pewnie! Z przyjemnością pomogę.

Połowy. Pikniki. Kopanie robaków. Pomyślała nawet, żeby znaleźć bezużytecznemu mężczyźnie towarzysza zabaw w osobie starego Drummonda... Niedługo zaproponuje mu partię badmintona, żeby dobrze spał

w nocy!

- A więc ustalone! - Lily klasnęła w dłonie i zaczęła szperać w ogromnym wiklinowym koszu. - A teraz, co byście powiedzieli na partyjkę badmintona?

Francesca wzruszyła ramionami. Bernard z zapalem pokiwał głową.

Nawet Evelyn z rozpromienioną twarzą podniosła się z ziemi.

-Nie.

Kobiety zamarły na chwilę bez ruchu. Spojrzały na niego i zmrużyły oczy.

- Ależ to bardzo miła gra, panie Thorne - rzekła Polly. - Na pewno z łatwością opanuje pan zasady.

Z trudem opanował się, żeby nie podnieść głosu.

- Nie chodzi mi o badmintona. Chodzi o to, że nie zostało ustalone.

- Co nie zostało ustalone? - spytała Lily.

- Czy idę z panią jutro do kancelarii Drummonda, czy nie. O ile nie ma czegoś, o czym nie chce pani, żebym wiedział, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym pani towarzyszyć.

Lily głośno wciągnęła powietrze.

- Czyżby sugerował pan, że ja...

- Sugeruję, że nie ma żadnego powodu, bym nie miał słyszeć, o czym rozmawia pani z Drummondem. Zaplanowałem już, że jutro rano jadę do Londynu.

- Tak? Po co? - spytała.

- Żeby zamówić trochę - spojrzał na swoją przyciasną koszulę -

nowych rzeczy. - Chyba że ma pani coś przeciwko temu.

Brawo, Avery! Lily patrzyła na niego z trudnym do odczytania wyrazem twarzy - może szczura zahipnotyzowanego przez kobrę? Choć powód tego nagłego strachu wciąż wydawał się jej niezrozumiały.

- Nie - powiedziała dziwnym, nienaturalnym głosem. - Nie mam nic przeciwko temu. Proszę robić, co panu odpowiada.

79

Francesca, która podczas całej tej wymiany zdań zachowywała nietypowe dla siebie milczenie, roześmiała się.

- Mogę chyba darować sobie tegoroczne Derby. Rozgrywki w Mili House zapowiadają się znacznie bardziej obiecująco.

- Heeej! - rozległ się od strony domu dziewczęcy głos. W sekundę później ukazała się Teresa, w najbardziej zaawansowanej ciąży ze wszystkich trzech pracujących w Mili House ciężarnych dziewczyn.

Ujrzawszy ich, nagle stanęła jak wryta, a potem przycisnąwszy dłonie do piersi, padła na wznak. Przez chwilę, zanim zniknęła w trawie, widać jeszcze było zadarte w górę nogi.

- O Boże! - wykrzyknął Bernard i nim Avery zdążył coś zrobić, rzucił się przez pole. Długie nogi i trzepocące poły marynarki nadawały mu wygląd wielkiego bociana polującego na ślimaki.

- Och jej - szepnęła Evelyn. Avery podbiegł do Bernarda i próbował pomóc mu dźwignąć Teresę. Nie było to łatwe zadanie. Wreszcie chwycili ją pod kolanami i za ramiona i zaczęli nieść.

Avery poklepał Bernarda po ramieniu. Chłopak odwrócił głowę.

- Wszystko... w porządku... sir.

- Nie, nie wszystko - poskarżyła się Teresa, najwyraźniej w pełni przytomna. - Ten chłopak zaraz mnie upuści!

- Może powinienem sam... - zaczął Avery, ale powstrzymał go wyraz twarzy Bernarda, pełen zranionej dumy.

Teresa była jednak mniej wrażliwa na uczucia Bernarda.

- O tak, sir - powiedziała. - Chyba powinien pan sam mnie nieść. Po co biedny chłopak ma sobie

nadweręzać kręgosłup, skoro pan jest taki silny?

- Hmm - mruknął Avery. Bernard rzeczywiście był już spocony, a jego oddech stawał się coraz szybszy. Jeszcze chwila, a złapie go atak astmy... Jednak Avery dobrze pamiętał z dzieciństwa upokorzenie z powodu własnej słabości. Nie jest miło czuć się nie w pełni mężczyzną.

- Może nie trzeba jej wcale nieść - podsunęła Lily.

Nie słyszał, kiedy do nich podeszła. Stała obok, świdrując go wzrokiem. W ślad za nią pojawiły się Francesca i Evelyn, a mrukliwy Hob podtoczył wózek Polly Makepeace.

Teresa uśmiechnęła się lekko.

- Słowo daję, panno Bede, nie wiem, co mi się stało.

- Czyżby? - Lily objęła wszystkich badawczym spojrzeniem. - A mo

że ja bym zgadła? Bernardzie, postaw ją. Pana usługi, panie Thorne, też nie będą potrzebne. Dziewczyna ma się doskonale. Prawda, Tereso?

Bernard niezgrabnie opuścił Teresę na ziemię. Uśmiechnęła się bo-jaźliwie i nerwowo otarła ręce o fartuch.

80

- Racja, proszą pani. Już się dobrze czuję. To pewnie z gorąca.

- Z gorąca? Coś takiego! Strasznie słabe są kobiety w dzisiejszych czasach - zauważyła Polly. - To chyba z powodu tych nienaturalnych urządzeń, które noszą pod ubraniem. Gorsety, tiurniury i tak dalej. Co pan o tym myśli, panie Thorne?

- Ja? - odpowiedział jak echo Thorne, zmieszany tematem rozmowy. Nigdy nie poświęcił ani jednej myśli kwestii damskiej bielizny. No dobrze... jako chłopiec poświęcał tej kwestii całkiem sporo myśli, ale nigdy w kontekście konsekwencji zdrowotnych. - Ja w ogóle nie myślę.

- Tak też przypuszczałam - mruknęła Lily.

- Chodziło mi o to - wyjaśnił z podziwu godnym spokojem - że nie mam na ten temat żadnego zdania.

- No cóż, ja mam - powiedziała panna Makepeace. - Jeśli kobiety przestaną nosić wszystkie te bzdury, odkryją przed sobą nowe możliwo

ści. Doprawdy, podejrzewam, że gorsety wymyślili mężczyźni po to, żeby uniemożliwić kobietom dojście do wniosku, iż z wyjątkiem pewnych nieuniknionych funkcji prokreacyjnych mężczyźni są w ogóle niepotrzebni.

- Jest to - rzekł Avery - najzabawniejszy idio... najzabawniejszy przejaw pychy, o jakim

kiedykolwiek słyszałem.

- A ja myślę, że panna Makepeace trafiła w sedno - włączyła się Lily. - Z wyjątkiem spraw, do których załatwienia potrzebna jest siła mięśni, kobieta potrafi zrobić wszystko to, co mężczyzna.

- Proszę, niech pani da spokój - powiedział Avery.

- Chce pan, żebym to udowodniła?

- To sprawa niewarta dyskusji.

Odrzuciła do tyłu głowę.

- Ha! Mężczyźni zawsze tak mówią, kiedy brakuje im argumentów.

Nie miał już ochoty się z nią droczyć.

- Skąd może pani wiedzieć, panno Bede, co zawsze mówią mężczyźni? Zdaje się, że dotychczas starała się pani trzymać tak daleko od mężczyzn, jak tylko było to możliwe.

-Och!

- Kobiety zawsze tak mówią, kiedy brakuje im argumentów - mruknął. Francesca przybyła jako ostatnia, położyła się na trawie i wsparła podbródek na dłoni. Evelyn, obrzuciwszy wszystkich niepewnym spojrzeniem, usiadła obok niej z rękami złożonymi na brzuchu. Teresa, zapomniana, szurała niezgrabnie nogami.

- Boi się pan podjąć takie wyzwanie?

6 - Mój najdroższy wróg

81

Przez kilka długich uderzeń serca wpatrywali się w siebie jak zahipnotyzowani. Zdawało się, że nie dzieli ich żadna przestrzeń - żarliwy gniew i namiętność zbliżały ich do siebie coraz bardziej.

- Nie - powiedział w końcu. - Jestem dżentelmenem. Nie będę podejmował wyzwań, które mogą doprowadzić jedynie do tego, że oboje wyjdziemy na głupich. - Odwrócił się.

- Tchórz.

Głowa drgnęła mu lekko, ale nie rzekł ani słowa. Był dżentelmenem.

- Z czym przyszłaś? - zwrócił się do Teresy.

- Ja? Och... No więc przyszłam, żeby powiedzieć panu, że goście przyjechali. Dżentelmen i dwie damy. Wyższe sfery. Do pana Thorne'a.

- Dżentelmen, Tereso? - spytała Lily z udawanym lękiem. - Wyższe sfery? Do pana Thorne'a? Coś takiego!

Z uniesionym wysoko podbródkiem obróciła się na pięcie i ruszyła ku domowi. Avery'emu pozostało postawić na nogi Francescę, podczas gdy Bernard wykonał taki sam gest wobec matki. Hob jak poprzednio popychał fotel Polly.

Kiedy dotarli do domu, Lily witała w salonie młodego, ciemnowłosego mężczyznę z wąsikiem i dwie śliczne blondynki o świeżych twarzach.

- Proszę nam wybaczyć śmiałość, panno Bede, ale ja i moje siostry przejeżdżaliśmy właśnie obok i postanowiliśmy zaryzykować. Mieliśmy nadzieję, jest pani w domu i zechce nas przyjąć - mówił mężczyzna.

Wychuchany, wypielegnowany gość - pomyślał Avery. - Idiotyczny wąsik... zacne buty.

- Pańskie siostry? - Avery'ego uderzyła pustka tego prostego pytania Lily. - Jakież to miłe, jakie uprzejme z państwa strony, że pomyśleli

ście o nas! - ciągnęła, przejęta. - Nawet nie wiedziałam, że ma pan... to znaczy, że ma pan siostry! Coś takiego... Wygląda na to, że czeka nas tydzień nieoczekiwanych - aczkolwiek bardzo miłych - przyjazdów.

Zwrócono nam właśnie Bernarda na lato.

Nigdy dotąd nie słyszał u niej fałszywego tonu. Irytował go teraz akcent wyniosłości w jej głosie.

- Zwrócono? - mruknął. - Brzmi to tak, jakby znalazła pani chłopaka na strychu, w pudle z naftaliną.

Dwie ślicznotki parsknęły, przysłaniając usta urękawiczionymi paluszkami. Lily zeszywniała.

- Pozwolą państwo, że przedstawię pana Avery'ego Thorne'a. - Nie patrząc w jego stronę, machnęła lekko dłonią w bliżej nieokreślonym kierunku. - Jest u nas z wizytą. Panie Thorne, oto nasz sąsiad, pan Martin Camfield.

82

Dwaj mężczyźni przywitali się skinieniem głową.

Camfield... Człowiek, który chce powiększyć swoją farmę, nabywając moją, pomyślał Avery.

Przyjrzał mu się dokładniej. Żakiet uszyty na miarę, oczy jasne, włosy gęste, a wąsik zbyt ekstrawagancki. Nigdy dotąd nie zwrócił uwagi, że zarost może nadać mężczyźnie taki idiotyczny wygląd. Chociaż, sądząc z zalotnych spojrzeń rzucanych przez niektóre kobiety, jego opinia była odosobniona.

Camfield uśmiechnął się, a przynajmniej Avery przypuszczał, że się uśmiechnął, gdyż spod zarostu

błysnęły na chwilę zęby.

- Panno Bede - powiedział - sprawia pani wrażenie osoby pozostającej w wyjątkowo dobrym zdrowiu.

Zdrowiu? Lily wyglądała oszalamiająco! W jej policzku pojawił się dołek. Nie wiedział, że ma dołek w policzku... Niech to lichy.

- Dziękuję, sir.

Mężczyzna po prostu stał i uśmiechał się. Lily także się uśmiechała.

Pośród tego głupiego strojenia min Avery zwrócił uwagę na wyraz twarzy Bernarda. Doprawdy, to było bezduszne ze strony Lily zachowywać się tak przy tym chłopaku - robić cielące oczy do Camfielda.

- Kim są te panienki? - spytał Avery, przychodząc z pomocą Bernardowi, jako że Lily najwyraźniej była zbyt odurzona, by zauważyć zmieszanie chłopaka.

- Hmm... - odpowiedział głucho Camfield - panienki?

- Tak. Panienki, które przyszły z panem. Przypuszczam, że nie znalazł ich pan tak po prostu, na progu.

- Och! - Camfield wykonał gest w kierunku młodych kobiet - proszę mi wybaczyć. Panno Bede, czy mogę przedstawić pani moje siostry, Molly i Mary? - spytał uprzejmie.

Młode kobiety wymieniły chłodne uprzejmości z Lily, po czym Camfield uroczyście poprowadził je ku pozostałym, by w końcu powrócić do Avery'ego. Dokonawszy niezbędnej prezentacji, Camfield pozostawił siostry Avery'emu i ponownie ruszył ku Lily.

- Och, panie Thorne - powiedziała jedna z dziewcząt - takie jeste

śmy szczęśliwe, że możemy pana poznać!

- Hmm... - Wzrok Avery'ego powędrował w kierunku kąta, gdzie Camfield angażował całą uwagę Lily. Nieszczęsny Bernard stał w pobli

żu z miną odtraconego szczenięcia.

- Proszę obiecać, że przyjdzie pani na nasz mały bal w przyszły poniedziałek - powiedział Camfield.

- O, tak!

83

Lily nachyliła się ku Camfieldowi, jak gdyby nasłuchując. Doprawdy, nie było powodu, by ten człowiek mówił tak cicho, żeby Lily musia

ła aż pochylać głowę!

- Proszę! - usłyszał błagalny głos jaśniejszej z blondynek.

- O co chodzi?

- O bal! - Jej siostra pogroziła mu paluszką. - Niegrzeczny chłopiec... Proszę powiedzieć, że pan przyjdzie.

Camfield przysunął się do Lily jeszcze bliżej. Impertynent, psiakrew.

- Jeśli pan przyjdzie, będziemy obiektem zazdrości w naszym ma

łym gronie. - Złoty loczek dziewczyny podrygiwał filuternie.

- Dlaczegoż to?

Zachichotały.

- A fe, sir! - powiedziała jedna z blondynek.

Niech to licha, pomyślał. Niebrzydkie są, ale niechby mówiły z sensem! - Proszę mnie oświecić, panno... panno...

- No cóż, sir, brakuje panu tylko jednego słowa, ostatniego, prawda?

- Panno Camfield - powiedział zirytowany - o czym pani mówi?

Znów rozległ się chichot. Avery rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś sposobu na uwolnienie się od dziewcząt. Lily nie była w stanie mu pomóc - wydawała się zbyt zajęta wdziękami do przyszłego wąsatego właściciela Mill House.

- Nie przyjął pan żadnych zaproszeń! - powiedziała jedna z blondynek. - Nawet od lorda Jessupa! - dodała druga.

- Ach, więc o to chodzi... To nie ja, lecz panna Bede odpowiada na zaproszenia. Jeśli dotąd zwleka, proponuję, by o wszystko zapytać właśnie ją. A swoją drogą, bal to niezły pomysł. Proszę, ja zaraz... - urwał. Dwie małe blond plotkarki patrzyły na siebie zmieszane. - O co chodzi? - spytał.

- No cóż... - młodsza panna Camfield próbowała się uśmiechnąć -

chodzi o to, że... rozumie pan... nie jestem pewna, czy panna Bede miała okazję zwlekać.

- Proszę?

Druga z dziewcząt skrzywiła się.

- Zaproszenia mogły nie być skierowane konkretnie do niej.

Jego twarz nabrała nagle twardych, groźnych rysów. Dwie młode kobiety odstały o krok, nieco przerażone.

Zmusił się do uśmiechu.

- Rozumiem. Z pewnością nie miało to miejsca w przypadku waszego zaproszenia, nieprawdaż?

- Och, no cóż - powiedziała bez tchu jaśniejsza - dyskutowaliśmy tę kwestię podczas naszej przejażdżki. Musi pan zrozumieć, że w sytuacji panny Bede, niezależnie od jej nieszczęsnego pochodzę...

- Radzę nie kończyć - syknął Avery.

Przełknęła i rozejrzała się za bratem, zmieszana. Jednak mimo wszystko nie zamierzała zrezygnować z kąską, jaki reprezentował sobą młodzieniec Avery.

- Z przyjemnością wezmę udział w państwa balu. - Twarze blondynek rozjaśniły się. - Naturalnie mogę w nim uczestniczyć jedynie wraz z kuzynostwem.

- To oczywiste - zgodziła się natychmiast jedna z nich.

- I panną Bede.

Tym razem nie było nawet sekundy wahania.

- O, tak. Nie zgodziłybyśmy się na jakiegokolwiek inne rozwiązanie.

- To dobrze - powiedział. - Bo ja też bym się nie zgodził.

o ci się stało w policzek? - Lily uniosła palcami podbródek Bernarda i przyjrzała się brzydkiemu czerwonemu otarciu.

W świetle, które wpadało do hallu przez oszklone frontowe drzwi, zobaczyła, jak Bernard gwałtownie oblewa się rumieńcem.

- Nic - odparł. - To znaczy... włąziliśmy wczoraj wieczorem na cedr i trochę się podrapałem.

- My? - cofnęła rękę.

- Kuzyn Avery i ja.

- A po co włąziliście na cedr z panem Thorne'em?

Bernard jeszcze bardziej spłoszował.

- Pokazywał mi, jak się zazwyczaj wydostawał z domu, kiedy wszyscy już spali.

- Hmm... Chciałeś powiedzieć, wykradaliście się.

Zmieszanie Bernarda ustąpiło nagle miejsca łobuzerskiemu uśmiechowi.

- Tak - rzekł chłopak zuchwale. - Chyba to właśnie robiliśmy.

Za tę zuchwałość Lily podziękowała w duchu Avery'emu Thorne'owi.

Avery nie traktował Bernarda jak równego sobie, ale też starał się go doceniać. Wczoraj parę razy widziała, jak uważnie słuchał Bernarda, 85

a nie tylko mówił do niego. Chłopak dostawał skrzydeł, gdy ktoś obdarzał go taką uwagą.

Zawsze sądziła, że przy wychowywaniu dzieci niewielki jest pożytek z mężczyzn. Jej ojciec, choć kochający, mało czasu spędzał z nią sam na sam. Po pocieszenie, pomoc i wsparcie zwracała się zawsze do matki.

Teraz, widząc Bernarda i Avery'ego, zaczęła wyobrażać sobie możliwe korzyści, jakie daje obcowanie z ojcem.

A może ojcu tak dalece zależało na dzieciach, że zabrał je matce, nie mogąc znieść rozłąki z nimi?

Pierwszy raz przyszło jej do głowy coś takiego. To było straszne, bluźniercze... Przecież ojciec nieznanego jej przyrodniego brata i siostry zabrał je matce, żeby ją dręczyć. I udało mu się to - Lily może za

świadczyć.

- Panno Bede? - W głosie Bernarda była troska. - Czy coś jest nie tak? Wygląda pani na niezadowoloną. Jeśli martwi panią, że wdrapuję się na cedr, to mogę tego więcej nie robić.

- Nie! - wykrzyknęła Lily. - Wspinaj się, ile chcesz, tylko bądź

ostrożny. I chciałabym też zasugerować, żebyś... no... nie mówił matce o swojej nowej rozrywce. Chyba że zapyta cię o to wprost.

Usta Bernarda znowu rozciągnęły się w tym urokliwym łobuzerskim uśmiechu. Skinął głową.

- Co pani dzisiaj robi?

- Dzisiaj? - opuściła wzrok na stertę listów spoczywających na stole w hallu. - Idziemy z panem Thorne'em do Drummonda.

-Aha.

Wzięła do ręki plik kopert. Bernard, najwyraźniej niemający pilnych zajęć, spojrzął jej przez ramię. Słyszała, jak wciąga głęboko powietrze.

- Pięknie pani pachnie.

W głowie Lily włączył się alarm.

- Dziękuję, Bernardzie.

Odsunęła się, dbając, by wyglądało to na przypadkowy gest. Ruszył za nią, znowu wciągając mocno powietrze.

- Co to za perfumy?

- Mydło - odstąpiła kolejny krok i z jeszcze większą determinacją pochyliła się nad listami.

- Przyszło coś ciekawego? - spytał zza jej ramienia.

- Nie... Po prostu kolejne zaproszenia dla twojego kuzyna. „Pan Avery Thorne, pan Thorne, pan Avery Thorne, Avery Thorne, panna Bede...”

Urwała i utkwiała wzrok w grubej welinowej kopercie zaadresowanej do niej. Spokojnie, tak jakby otrzymywanie zaproszeń była zwykłą, 86

codzienną sprawą, wsunęła nóż, przecięła kopertę i niedbale wyjęła wytłaczaną kartę.

- To od Camfieldów.

- Camfieldów? - Głos Bernarda, wciąż drżący, rozbrzmiewał o wiele za blisko. Gdyby się odwróciła, ich twarze niemal by się zetknęły.

- To ci ludzie, którzy byli wczoraj.

- Ach, ten gość z wąsami i te dwie ładne dziewczyny!

Bernard uważał panny Camfield za ładne? A więc mógł to być wła

ściwy obiekt jego młodzieńczych fantazji, pomyślała Lily uradowana.

Przydałyby się jakieś słowa zachęty...

- Pod koniec miesiąca urządzą bal - powiedziała.

- Zamierza pani pójść?

Pójść? I znaleźć się w sytuacji *persona non grata*?

- Wątpię.

- W takim razie ja też nie idę - oznajmił Bernard.

- Och, daj spokój, Bernardzie. Ty to co innego. Jesteś im równy.

Twoja rodzina włada Mill House od pokoleń...

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie ich sens.

Wszystko przemawiało za tym, by Mill House należał do Thorne'ów.

Wszystko z wyjątkiem... jednej małej klauzuli w testamencie... Tak, to była jej szansa...

- Poza tym zabawisz się. Będą tam ładne dziewczęta, smakowite jedzenie... Będą tańce, szarady, wspaniała muzyka...

- Pójdę, ale tylko wtedy, gdy pani też pójdzie - odparł z uporem.

Nie było wyjścia. Jeśli chciała podtrzymać zainteresowanie Bernarda pannami Camfield, musiała iść na bal.

- Wiesz co, Bernardzie? - powiedziała żywo. - Zmieniłam zdanie.

Jeszcze dzisiaj napiszę, że przyjmuję zaproszenie.

- O, idą. - Polly Makepeace odchyliła brokatową zasłonę. Za oknem widać było Lily i Avery'ego idących zdecydowanym krokiem wzdłuż alei. - Muszę przyznać, że to było genialne posunięcie - upuszczenie niechcący w błoto przy rozwieszaniu prania wszystkich spodni Lily. -

Posłała Evelyn pełen admiracji uśmiech. - I schowanie jedynej pary, jaka jej została. Pięknie wygląda w tej falbaniastej spódnicy...

- Owszem ładnie - przyznała ostrożnie Evelyn, ale na jej twarzy, gdy patrzyła w ślad za oddalającą się parą, pojawił się ciepły uśmiech. -

Bardzo jej dobrze w różowym. No, ale wielu kobietom do twarzy w ró

żowym.

- Yhm - mruknęła Polly. - I to nasze małe przedstawienie wczoraj na pikniku też nam się udało - rozjaśniła się.

- Tak pani sądzi? - Evelyn sięgnęła po jedno z pasm bawełnianej przędzy, wiszących na poręczu krzesła, i zaczęła dziergać serię skomplikowanych węzłów. - Czy, zdaniem pani, najlepszym sposobem na wspieranie ich... no... wzajemnych względów jest zachęcanie ich do walki?

Polly, rzuciwszy jeszcze raz okiem za okno, podtoczyła swój fotel bliżej Evelyn.

- O, tak - stwierdziła. - Oni uwielbiają się spierać. Oboje mają walkę we krwi. Gdyby chodzili wokół siebie na paluszkach, nigdy by nie przyznali się do tego, co jest zupełnie oczywiste.

- A co jest takie oczywiste? - spytała Evelyn. Cóż ta prosta, kłótniwa kobieta mogła wiedzieć o namiętności?

- Seks.

Evelyn zamrugnęła.

- Aż wibrują im ciała, ilekroć znajdą się o dwa metry od siebie.

Gdybym była dystygowaną damą, tak jak pani, pani Thorne, byłabym absolutnie zgorszona takim ekstrawaganckim zachowaniem. Na marginesie, muszę przyznać, że pani umysłowa otwartość mnie zdumiewa.

A wracając do Lily, niemal czuje się, jak trzeszczy powietrze, nie zauważyła pani?

- Zauważy teraz, kiedy uczuliła ją pani na tę sprawę - powiedziała Francesca, wchodząc do pokoju z delikatnym poszumem szyfonu w odcieniu orchidei. Wyglądała na nieco rozkojarzoną. Na skroniach zwisały jej kosmyki włosów, a kreza wokół głębokiego dekoltu była przekrzywiona.

- Czy mogę dać wam dobrą radę? - spytała.

Evelyn spojrzała ze skruchą na Polly. Czym innym było umówić się co do tego, jak wmanewrować bardzo bliską jej osobę w uczuciowe zaangażowanie wobec człowieka, którego szczerze mówiąc się bała - macierzyńska troska o przyszłość syna usprawiedliwiała tak nadzwyczajne środki - ale zupełnie czym innym zostać rozszyfrowaną.

- Nie wiem, o czym mówisz, Francesco - wymamrotała.

Polly, ani trochę niezmięszana, patrzyła badawczo na Francescę.

Francesca zatrzymała się przed stojącą pośrodku kredensu ogromną wazą z Sevres pełną dorodnych róż i ostróżek.

- Ta waza to jeden z najładniejszych przedmiotów w Mill House -

mruknęła do siebie. - Dziwne, że stary Horatio nie kazał jej gdzieś wywieźć...

- Jaką radę ma pani dla nas, panno Thorne? - spytała Polly.

Francesca wyjęła z bukietu podwiędły kwiat i upuściła go na stół.

88

- Powinnyście być bardziej subtelne. Na szczęście panna Makepeace trafnie ocenia swoje ofiary... W porządku, Evie, jeśli nie podoba ci się określenie „ofiary”, co powiesz na słowo „obiekty”? No, ale jakkolwiek chcesz ich nazywać -nie lekceważ ich inteligencji. Łatwo mogą odkryć, że się nimi manipuluje. - Zostawiła wazę i poszła nalać sobie porto do kryształowego kieliszka.

- Trafna uwaga - rzekła Polly.

- Polly! - wykrzyknęła Evelyn.

- Daruje pani, pani Thorne, ale po co temu zaprzeczać? Panna Thorne nie prezentowałaby tu nam pomocnych sugestii, gdyby zamierzała ujawnić nasz spisek, prawda? Pozostaje tylko pytanie, dlaczego chce nam pomagać.

Francesca posłała im najbardziej tajemniczy z uśmiechów.

- Och, wciąż mogę ujawnić wasz spisek, panno Makepeace. Lily jest mi bardzo bliska. Bardzo.

- Mnie też! - wykrzyknęła ze skruchą Evelyn.

- Oczywiście, pani Thorne - uspokajała ją Polly. Spojrzała na Francescę. - Wyłóżmy karty na stół, panno Thorne. Chociaż zarówno pani Thorne, jak i ja mamy interes w tym, żeby pan Avery i panna Lily zaangażowali się uczuciowo, przyczyny są zupełnie odmienne.

- Tak też sądziłam - rzekła Francesca, wznosząc ku Polly kieliszek.

- Chciałabym je poznać.

Polly poprawiła się w krześle.

- Uważam, że pannie Bede brakuje oddania i stanowczości, by zostać kolejną przewodniczącą Koalicji na rzecz Emancypacji Kobiet. Chwileczkę, zanim wpadnie pani we wściekłość, proszę mnie wysłuchać.

Evelyn nachmurzyła się. Chociaż wiedziała, że argumenty Polly słu

żą jej samej, nie mogła kwestionować jej uczciwości.

- Bez wątpienia panna Bede ma cechy, które ją rekomendują - rzekła Polly. - Urok, bystrość, błękitna krew ojca i nie tak błękitna matki... Nawet jej nieprawe pochodzenie wydaje się korzystne, jako że zwiększa jej atrakcyjność u klas niższych. Ale najważniejsze ze wszystkiego jest to, że panna Bede, bardzo piękna dziewczyna, żyje bez mężczyzny, w sposób całkowicie niezależny od mężczyzn, i przysięga, że będzie tak żyła nadal.

Francesca słuchała.

- Proszę kontynuować, panno Makepeace.

- Istnieją w Koalicji osoby, które uważają, że jest nam potrzebna popularna, charyzmatyczna przywódczyni, ktoś taki jak panna Bede. -

Polly odchyliła się na oparcie fotela. - Chciałyby ją obwołać Królową Dziewicą: silną, niezależną, ponad potrzebami fizycznymi.

89

Francesca roześmiała się. Polly czekała, aż chichot ucichnie. Można by niemal pomyśleć, że traktowała tę kobietę z pewnego rodzaju współczuciem.

- Proszę mi wybaczyć, panno Makepeace. - Francesca osuszyła oczy rąbkiem rękawa. - Po prostu jestem zdumiona, że ktokolwiek może w ten sposób... Proszę, niech pani mówi dalej.

- Panna Bede nie jest ponad tymi impulsami. Jej reakcja na pana Thorne'a świadczy o czymś zupełnie odwrotnym - rzekła Polly. - Jeśli stworzy związek z panem Thorne'em, formalny czy nie, przestanie być odpowiednią kandydatką na Królową Dziewicę. Koalicja będzie mogła wtedy wybrać prawdziwą przywódczynię. - Uderzyła dłońmi w kolana.

- I to jest mój powód, dla którego robię to, co robię.

- W porządku - rzekła z namysłem Francesca. - Motywy panny Makepeace, by zagrać rolę swatki, są jasne - powiedziała, zwracając cyniczne spojrzenie na Evelyn. - Przyznam jednak, Evie, że nie pojmuję, co ty spodziewasz się w ten sposób osiągnąć.

Robótka wysunęła się z dłoni Evelyn i upadła na podłogę.

- Och, co za gapa ze mnie...

- Evie? - powtórzyła cicho Francesca.

Evelyn podniosła druty i pochyliwszy głowę, usiłowała połapać zgubione oczka.

- Robię to ze względu na swoją przyszłość - szepnęła. - I przyszłość Bernarda.

- Proszę? - spytała bezradnie Francesca.

- Francesco - Evelyn przeszła ją spojrzeniem - ty wszystko wiesz.

Widziałaś, jak to było, kiedy żył Gerald. Mieszkałaś z nim pod jednym dachem - wyszemrała. - Wiesz, jak on... Nigdy bym nie mogła...

Umilkła. Wiedziała, że Francesca nie da za wygraną, ale czuła, że Polly jej współczuje, więc wyznała bez wahania:

- Jestem tchórzem.

- Nie, pani Thorne - rzekła Polly. - Pani jest osobą, która wyszła cało z kataklizmu.

Evelyn potrząsnęła głową.

- Nie, jestem tchórzem. Przeżyłam dziesięć lat jak tchórz... - Urwa

ła. Małżeństwo było dla niej *sacrosanctum*, czymś najświętszym. Przez całe życie w to wierzyła. Godność rodowego nazwiska, nazwiska Bernarda, musiała pozostać nienaruszona bez względu na wszystko.

Polly odwróciła taktownie głowę i utkwiała wzrok w oknie. Delikatność zawarta w tym geście wzruszyła Evelyn. Szybko się pozbierała i rzekła:

- Nie umiem radzić sobie z Averym Thorne'em. Nie potrafię... Skoro nie jestem w stanie poprosić go o najprostszą rzecz dla siebie samej, 90

to jak będę mogła prosić go o coś ze względu na syna? A gdyby - czuła do siebie złość - gdyby okazało się, że naprawdę muszę zażądać czegoś od Avery'ego Thorne'a? Co wtedy? Wątpię, czy potrafiłabym się zdobyć na odwagę.

- Z pewnością, Evie - powiedziała Francesca. - Gdyby stawką było bezpieczeństwo Bernarda...

Evelyn uniosła głowę.

- Czyżby, Francesco? Chciałabym móc tak myśleć. Faktem jednak jest, że ja się boję, a Lily nie. Ona nigdy nie będzie się bała - ciągnęła. -

Jeśli tu zostanie - a tak czy inaczej musi zostać - będzie działać na rzecz Bernarda. Ona nigdy się nie wycofa, kiedy trzeba będzie się przeciwstawić. A gdyby Avery się nad nią znęcał, będzie miała odwagę odejść.

- Och, Evie - powiedziała Francesca znużonym głosem -jaka szkoda, że nie dane ci było poznać prawdziwego uczucia. Może być takie piękne...

- Czyżby? - Ten cyniczny ton w ustach Evelyn brzmiał równie nienaturalnie jak miauczenie psa.

- O, tak - szepnęła Francesca. Cienka jak bibułka skóra wiotczejąca pod ślicznymi oczami, nierówna

linia zbyt czerwonej szminki na wargach, delikatne fioletowe żyłki splecione na gładkiej marmurowej skroni

- wszystko to były oznaki wieku, od którego odwracała uwagę jedynie jej radość życia. - O, tak... To może być takie piękne! Przez jeden wspaniały moment, który wart jest każdej ceny, myślisz, że odnalazłaś pragnienie swego serca, swoją nirwanę... swój Eden, i jesteś tak czysta i niewinna, przyjmując rozkosz, jak byłaś nikczemna w jej poszukiwaniu.

Zatrzepotała powiekami. Zamknęła oczy, odchyliła głowę na oparcie sofy i roześmiała się. W tych dźwiękach była odrobina zagubienia, jakby cień poczucia zdrady...

- Oczywiście to nie jest Eden. To nie jest nawet Ziemia Obiecana.

Ale choćby najmniejszy ślad iluzji sprawia, że wciąż szukasz, wypatrujesz... wyczekujesz...

Otworzyła oczy i przez sekundę Evelyn mogła dostrzec, jak gorąco, jak rozpaczliwie Francesca tego pragnie i jak zgrabnie potrafi się ukryć pod maską bez troski. Francesca pociągnęła długi łyk porto.

- Niektórzy ludzie przysięgają, że to istnieje - ciągnęła. - Że od

świeża duszę. Ze trwa wiecznie. Rzecz jasna - parsknęła - mam podejrzenia, że ci, którzy tak twierdzą, nadużywają alkoholu. Niemniej, jako romantyczka, zawieszam swoje wątpliwości.

Ale bez względu na to, czy to istnieje, czy nie, mam absolutną pewność, że nikt nie powinien przejść przez życie, nie zaznawszy choćby odległego echa tego, co ja znam tak dobrze. No - zakończyła - czy

12

W

sformułowałam swoje myśli wystarczająco delikatnie, Evie? Przysięgam, że ojciec byłby ze mnie dumny.

- Francesco...

Francesca wstała, ignorując wyciągniętą rękę Evelyn.

- I to jest, panno Makepeace, odpowiedź dla pani.

- Dla mnie, panno Thorne? - spytała Polly. Jej zazwyczaj ostry głos tym razem był przytłumiony.

- Odpowiedź na pytanie, dlaczego pomogę wam w swataniu Lily i Avery'ego. - Francesca poprawiała krezę przy dekolcie. - Jak powiedziałam, Lily jest mi bardzo bliska. Chciałabym wierzyć, że jest

jedną z tych, którym dane jest znaleźć... Eden.

normalnych warunkach Lily cieszyłaby się z tego półtorakilometrowego marszu do kancelarii Drummonda. Zwłaszcza takiego dnia jak ten, pełnego słonecznego blasku i ciepła, zapachu dzikich róż kwitnących w żywopłotach i unoszącej się w powietrzu woni zieleni. Dziś jednak zanadto była świadoma przyjęcia, jakie najprawdopodobniej zgotuje jej Drummond. Czowała się też dziwnie, mając obok siebie Avery'ego Thorne'a.

Wciąż miała w pamięci, jak upierała się niczym dziecko, że kobiety potrafią zrobić wszystko to co mężczyźni, oraz wysiłki Avery'ego, żeby zignorować jej prowokacyjne sądy. Zamiast spróbować rozładować jakoś sytuację, wciąż dolewała oliwy do ognia.

Avery był typem mężczyzny, który zna odpowiedź na każde pytanie, potrafi zapanować nad każdą sytuacją, choćby najbardziej nietaktowną czy niebezpieczną, który po prostu nie pozwoli, by sprawy wymknęły się spod kontroli. Zręczny, śmiały, nieustraszony i pewny siebie, był

uosobieniem męskości.

I właśnie ta siła, która wzbudzała w niej tyle niechęci, czyniła go atrakcyjnym. Niczym sugestia hipnotyzera wciąż rozbrzmiewały w jej głowie słowa Franceski, wypowiedziane podczas ich *tete-a-tete*: „Dzia

łaj. Bierz to, na co masz ochotę. Dlaczego masz być bierna? Czy jesteś martwym przedmiotem?”

Jej ton był tak żywiołowy, tak pełen optymizmu... „Czy twoje pragnienia są choćby odrobinę mniej realne, bo jesteś kobietą, Lily? Zapewniam cię, że są dokładnie tak samo prawdziwe jak mężczyzny”.

92

Lily wydłużyła krok, nie mogąc stłumić w sobie głosu Franceski.

„Po co się zastanawiać, jak to jest, skoro najlżejszym wysiłkiem możesz poznać to, czego pragniesz?”

- Czy jest pani spóźniona na spotkanie?

Lily z trudem zwolniła kroku.

- Nie, skądże. Przepraszam.

Avery zatrzymał się obok młyna i zmierzył wzrokiem groble, prawdopodobnie zastanawiając się, dlaczego ich nie naprawiła, by zapobiec powodzi, która zniszczyła pszenicę tej wiosny. Odpowiedź była prosta: nie miała pieniędzy, a nie chciała prosić o kredyt.

Kiedy stał, obserwując okolicę, ona ruszyła w kierunku stajni. Wrota były otwarte i ze środka rozchodził się ciepły zapach koni. Zwolniła kroku. Powitało ją łagodne rzenie. Lily uśmiechnęła się. Czyżby wyczu

ła już ją India?

Nie była w stanie się oprzeć. Weszła do stajni, wdychając ziemną woń odchodów i słodki aromat siana - siana, które zmuszona była kupować za swoje skromne rezerwy pieniężne.

Cicho ruszyła wzdłuż długiego szeregu boksów. Stopy bezgłośnie grzęzły w warstewce piasku, jakim wysypana była świeżo zagrabiona alejka. W górze przez szpary przesączało się słońce, kładąc na alejce świetlne smugi. Szła, a szmer przebierających kopyt narastał niczym chóralna melorecytacja.

To było jej ulubione miejsce. Stało tu dwadzieścia koni, niemal bezużytecznych. Avery musiał uważać za głupie trzymanie ich aż tylu.

Nieduży, delikatny pysk wysunął się przez szparę pomiędzy deskami najbliższego boksu. Lily zatrzymała się i pogładziła miękki, aksamitny nos.

- Jak się masz, India, moje kochanie?

Obejrzała się przez ramię. Avery nie wszedł za nią; jego wysoka, barczysta sylwetka odcinała się na tle rozświetlonego słonecznym blaskiem majowego nieba. To niemożliwe, żeby nie lubił koni... Każdy je lubi.

Z zalem porzuciwszy boks Indii, podeszła do niego.

- Nie kosztowały dużo. Prawie nic.

- Co? - spytał.

- Konie. To niemal prezent.

Pociągnął nosem.

- Rozumiem.

Odwrócił się, ona jednak chwyciła go za rękaw. Zaskoczony, spojrział na nią z góry ostrzegawczo. Normalnie powinna by się obrazić za to lekceważące pociągnięcie nosem, ale ta sprawa była zbyt ważna. Jeśli 93

nie uda jej się odziedziczyć Mill House, on będzie musiał zaopiekować się jej końmi.

- Nie sądzę, by pan rozumiał - powiedziała. - Gdybym ich nie kupi

ła, zostałyby zarżnięte albo sprzedane do pługów czy przeładowanych wozów w mieście. A to konie wyścigowe. Delikatne. Padłyby w ciągu miesiąca.

Znowu pociągnął nosem.

- To nie fair. One oddają nam swoje serca i dusze. To nie ich wina, jeśli nie wygrały jakichś

przeklętych wyścigów.

Wzrok wciąż miał utkwiony w palcach, ściskających rękaw jego żakietu. Zaczerwieniła się i cofnęła dłoń, wygładziwszy pomięty rękaw.

- Trzyma pani wyścigowe konie, które przegrywały - jego głos brzmiał dziwnie szorstko.

- Nie wszystkie przegrywały - odparła. - India zwyciężyła w wielu zawodach w hrabstwie. Jest tam też wałach, który ściagał się z samym Gladiatorem.

- Moje gratulacje.

- Proszę nie traktować mnie protekcyjnie - powiedziała. - Doskonale wiem, jakie obciążenie dla moich finansów stanowią te konie.

No, ale przynajmniej na razie są to moje finanse.

- Nic innego nie sugeruję. - Odchrząknął.

Spróbowała znaleźć ślad drwiny w jego niesamowitych błękitnozielonych oczach. Nie znalazła. Były dziwnie zaczerwienione, a wilgoć nadawała tęczówkom blask brylantu. Wielkie nieba! Avery Thorne był

poruszony... nie, głęboko wzruszony opowieścią o koniach. Patrzyła na niego w niemym zdumieniu.

- Czy możemy stąd iść? - burknął.

Z pewnością uważał wydatki na utrzymywanie koni za marnotrawstwo pieniędzy... Mimo to w ogóle nie wyraził w tej sprawie sprzeciwu.

I ten smutny wyraz twarzy...

- Czy chciałby pan... - zawahała się - czy chciałby pan je zobaczyć?

Ściągnął brwi, tak jakby podejrzewał ją o jakiś nieczyny cel.

- Nie - odparł i znowu odchrząknął. - Nie, może lepiej już chodźmy.

Skinął, by szła przodem, sam zaś ruszył za nią ścieżką wiodącą do sadu. Stare, sękaty gałęzie jabłoni gięły się pod ciężarem kwiatu. Pszczo

ły, jak mali dworzanie wystrojeni w złote pantalone, skarżyły się sennie, krzątając się wokół swoich spraw w różowym, cienistym cieple. Przelotny wietrzyk posłał im na głowy garść delikatnych płatków. Wirując, opadały jak konfetti na ziemię.

- Myślałem, że sad jest większy - powiedział Avery.

- Jest dokładnie taki sam jak pięć lat temu - odparła szybko Lily. Tu, w cieniu, jego oczy wydawały się ciemniejsze, głębsze, niczym dymny błękitnozielony nefryt.

- Chodziło mi tylko o to - rzekł, podnosząc z ziemi patyk - że kiedy byłem mały, myślałem, że ten sad ciągnie się aż do morza. To była ogromna puszcza, miejsce niezwykłych przygód. Smok, Robin Hood, Lancelot, wszystkich ich tu spotkałem.

Zrobił gwałtowny wypad do przodu, jak gdyby trzymał w ręku rapier i po krótkiej paradzie zsalutował jej. Niewiele myśląc, złapała gałązkę z pęczkiem liści na końcu i uniosła ją pionowo na wysokość twarzy.

- *En garde!*

Na sekundę jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Korzystając z tego, zrobiła wypad i zatopiła liściasty szpic w jego żołądku.

- Punkt!

Oczy mężczyzny zwęziły się. Czy to zachwyt, czy obietnica odwetu? - pomyślała. Prawdopodobnie jedno i drugie.

- Thorne'owie nie giną tak łatwo, moja droga. - Z tymi słowy wytrącił jej gałązkę swoim patykiem, po czym zakręcił nim błyskawicznie parę razy tak, że zaczęła się cofać.

- To nie fair - wydyszała. - Jest pan śmiertelnie ranny.

- Zwykle draśnięcie - odparował, strącając listek po listku z czubka jej leśnej szpady. - Niech pani nigdy nie lekceważy siły czystej determinacji.

- Albo czystej przekory? - spytała, chowając się za pień starej sękatej jabłoni i uśmiechając się od ucha do ucha.

- To też - zgodził się i zniknął za następnym drzewem.

Odczekała chwilę, by złapać oddech, po czym wysunęła głowę zza pnia. Jeszcze się nie pokazał. Z triumfującym uśmieszkiem zaczęła się skradać ku niemu. Z lewej strony dostrzegła brzeg jego żakietu - już się jej nie wyminie.

Z okrzykiem triumfu wyskoczyła naprzód ze zgiętym przepisowo nad głową ramieniem. Jej oczy lśniły.

- Rzucić broń!

Żakiet zwisał mu na zgiętym ramieniu.

- Tak, ja bym sugerował to samo.

Okręciła się. Avery stał za nią, nonszalancko wsparty ramieniem o pień, ze skrzyżowanymi nogami, kręcąc patykiem niby buławą. Uniósł

ciemną brew.

- Używając języka popularnego melodramatu, jest pani w mojej mocy.

95

Te słowa zdawało się zabarwiać głębsze znaczenie. Przez moment niezwykle oczy Avery'ego pociemniały od namysłu... i czegoś więcej.

Potem wszystko wróciło do normy.

- Tak jest, sir. Jestem do pańskiej dyspozycji - odpowiedziała zuchwale i cisnęła mu gałązkę pod nogi.

- Och, szczerze mówiąc, wątpię w to - powiedział. Uśmiech wyrzeźbił mu głęboki dołek w opalonym policzku. Schylił się i odtrącił jej liściastą szpadę na bok.

-1 słusznie - zgodziła się lekko zdyszana. „Jeśli kobieta tylko siedzi i czeka na to, czego pragnie, wówczas nie może uskarżać się na nadmiar wrażeń”. Przeklęta Francesca!

Lily odchrząknęła.

- Proponuję... żebyśmy już poszli. - Nie czekając, odwróciła się i poszła spiesznie przodem, dopóki nie wyszli z sadu na łąkę otoczoną żywopłotem. W gęstym różanym szpalerze widniała przerwa, dawno temu załatana wysokim drewnianym przełazem. Gdyby była sama, wspięłaby się na poręcz i poszła na przełaj ...

- Przywykłem iść na przełaj, kiedy udawałem się w odwiedziny do starego Drummonda. Oszczędzałem sobie w ten sposób piętnastu minut wędrówki - rzekł Avery. Zerwał purpurową różę i okręcił ją w palcach.

Szczupłe ręce sprawiały wrażenie silnych, paznokcie były starannie obcięte i czyste, a koniuszki palców stwardniałe. Mimo to wprawiał różę w taniec dotykiem równie zręcznym co niedbałym.

- Naprawdę? - mruknęła.

Uniósł różę, przymknął jedno oko i spojrzał na Lily poprzez płatki.

Pewnie porównywał ich kolor z rumieńcem, który wypływał na jej policzki. Czowała to. Swoją drogą niech licho porwie Francescę, że posiadała w jej głowie takie myśli...

- Tak - wyciągnął ramię i wetknął jej różę we włosy przy skroni.

Była tak bardzo zaskoczona tym gestem, że otworzyła usta. - A pani też czasem chodzi na przełaj?

-Ja... No cóż... Ja...

Położył rękę na górnej poręczy i przeskoczył przełaz, lądując lekko po drugiej stronie.

- Proszę - wyciągnął ku niej dłoń.

Chciała ująć ją, poddać się - choćby w tak błahej sprawie - jego trosce, ale nie zrobiła tego. Stała na dolnym drążku, wdrapała się niezdarnie na górę i przycupnęła na poręczy. Potem długo wpatrywała się w nierówny grunt, szukając miejsca do wylądowania.

- Wciąż trzyma się pani swojej zasady „zrobię to sama”, tak?

96

- A jakże.

Znajdowała się tuż powyżej linii jego wzroku. Wspaniale było znajdować się na tym poziomie... Dostrzegła, że jego brzytwa nie była chyba zbyt ostra, bo szczękę już pokrywał cień zarostu. Z jakiegoś powodu dodało jej to ducha. Był jakby bardziej ludzki, mniej władczy. Brzytwa go pokonała... I dosyć przyjemnie było być wyższą od Avery'ego Thorne'a.

Zamachała nogami. Nie chciało jej się rezygnować ze swojej przewagi.

- Traktuję poważnie moją niezależność - powiedziała. - Pan też by traktował, gdyby był kobietą.

Nadal trzymając rękę na górnym drążku tuż obok jej biodra, nachylony nad nią w poufalej pozie, powiedział leniwie:

- Na szczęście nie jestem kobietą.

Nie... Z całą pewnością nie był kobietą.

- A będąc mężczyzną, nie potrzebuję tak gorączkowo bronić mojej niezależności. To musi być strasznie męczące - cały czas być w pogotowiu, bo a nuż ktoś zakwestionuje pani prawo do wspinania się na płot bez niczyjej pomocy.

- Łatwo się panu wyśmiewać - zauważyła. - Gdyby pan był kobietą, wiedziałby pan, że należy celebrować każdy akt samostanowienia.

Małe zwycięstwa to preludium do większych.

Jak na przykład równe prawa w małżeństwie, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- Proszę czuć się bezpieczną, panno Bede, bynajmniej nie pragnę stawać pani na drodze do niezależności. Po prostu zaproponowałem pomoc, jaką dżentelmen może zaoferować damie.

- Panie Thorne - powiedziała - mój ojciec miał wprawdzie szlachecki rodowód, ale pradziadkowie mojej matki byli wędrownymi robotnikami. Może pan ich nazwać Cyganami, jeśli nie wręcz włóczęgami.

Ściągnął brwi.

- To by wyjaśniało...

- Przypuszczam, że ma pan na myśli moją bezceremonialność. Czuje się pan obrażony, prawda? - rzekła bez cienia satysfakcji, jaką powinna czuć, skoro zaszokowała Avery'ego Thorne'a.

- Bynajmniej - odparł z wyniosłą prostotą. - Moja uwaga odnosiła się do odkrycia, skąd się bierze niezwykle odcień pani cery. Jest pani snobką, panno Bede. Spotkałem już wcześniej ludzi pani pokroju.

- Mojego pokroju? - wykrztusiła.

- Tak. Osoby mające przesadne wyobrażenia na temat swojego pochodzenia i znaczenia tego pochodzenia dla innych. Zapewniam panią, 7 - Mój najdroższy wróg

97

że to bez znaczenia, w jaki sposób pani przodkowie zarabiali lub nie zarabiali na życie. Zgodnie z teorią pana Darwina, wszyscy nasi przodkowie chodzili po drzewach. Pani gatunek zawsze ma chęć dyskutować, kto siedział na wyższej gałęzi.

-Och!

A więc wszystkie jej lęki i niepewności wziął za snobizm?

- I choć nie lubię sprzeciwiać się pani, panno Bede...

- Uwielbia pan mi się sprzeciwiać. W każdym liście, jaki pan do mnie napisał...

- ..choć nie lubię się pani sprzeciwiać - podniósł głos, zagłuszając jej protesty - twierdzę z całym przekonaniem, że potrafię rozpoznać damę, kiedy ją mam przed sobą. Pani jest damą.

Stwierdziwszy to, skinął głową, jak gdyby sprawa została załatwiona, odwrócił się i wsparty na łokciach utkwiał pogodny wzrok w łące, najwyraźniej gotów zostać tu tak długo, jak długo dama będzie miała ochotę. On, džentelmen.

Był taki władczy, naturalny, tak wspaniale męski, a ona... ona... jak to powiedziała Francesca? Ona była w „tym” stanie.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej dobrotliwie. I to była ta ostatnia kropla.

- Czy tak robi dama?

Nachyliła się, chwyciła jego głowę w obie ręce i pocałowała go.

Szarpnął się do tyłu. Chwyciła go za ramiona, żeby nie upaść na ziemię, nieuchronnie pogłębiając pocałunek. Pod jej wargami jego usta były ciepłe jak nagrany słońcem aksamit, miękkie i jędrne. Jej własne rozbudzone usta stały się zachwycająco wrażliwe.

Ręce popęzły z jego szerokich barków na kark i w końcu na policzki, obejmując twarz niczym klamrą. Zarost drapał wewnątrz jej dłoni, a skóra grzała opuszki palców, gdy poznawała lekkie wcięcie pod wysokimi kośćmi policzkowymi, łuk szczęk i wreszcie kąciki ust. Z głębokim gardłowym jękiem poddawała się nieznanemu dotąd potokowi doznań, od którego niemal stawało jej serce.

Zatraciła się całkowicie w tym pocałunku. Ledwie zdawała sobie sprawę, gdzie jest i co robi. Jedyne, co istniało, to jego usta.

Avery nie miał tyle szczęścia.

Był świadomy, zbyt świadomy, psiakrew, każdego centymetra ciała Lily, a większość tego ciała znajdowała się wcale nie tak blisko, jak by chciał. I nic nie mógł zrobić, do kroćset, w tej sprawie.

Bóg jeden wiedział, dlaczego go całowała... Avery z pewnością nie wiedział. W jednej chwili gratulował sobie, że potrafił tak umiejętnie 98

poradzić sobie z jej poczuciem zagrożenia i zdołał nawet powiedzieć jej dość zgrabny komplement - a w następnej już go całowała i więcej w tym było gniewu niż namiętności. Przynajmniej na początku, bo już po paru sekundach gniew przerodził się w coś o wiele gorętszego.

Niemal w panice zdał sobie sprawę, że to musi być trick. Nie mógł

jednak myśleć, prawie w ogóle nie funkcjonował na poziomie świadomo

ści. Jedyne instynkt samozachowawczy powstrzymywał go od ściągnięcia jej z przełazu, rzucenia na ziemię i zawładnięcia jej ciałem. Pragnienie, by ją wchłonąć, poczuć, jak roztopia się pod nim, jak jej miękkie krągłości dopasowują się do jego twardych płaszczyzn, niemal zwała go z nóg.

Chciał mieć ją pod sobą, z otwartymi ustami, na Boga, a nie błędzącymi po jego ustach w szarpiącej duszę torturze... Zadrzał.

Ale wola, którą wytężał, by kontrolowała kończyny, nie była w stanie kontrolować warg. Jej pocałunek rozdrażnił go, obudził głód i jak u człowieka umierającego z pragnienia na pustyni jego usta otworzyły się, by wchłonąć więcej i więcej z tego strumienia rozkosznych doznań. Przechylił głowę i obwiodł miękkim aksamitem jej warg koniuszkiem języka. Usta rozchyliły się z westchnieniem. Z gardłowym jękiem wsunął język do ich wnętrza, poznając jej ciepły, łagodny aromat. Języki połączyły się.

Zbyt wiele... A jednak nie dość.

Postąpił naprzód. Wystarczył krok, by poczuł dotknięcie jej piersi, Szarpnięcia żądy przebiegły rykoszetem jego ciało. Z każdym drżącym oddechem jej twarde jak kamyki brodawki rysowały linię ognia na jego ciele.

Uda rozluźniały się coraz bardziej... Wcisnął się pomiędzy nie, przysuwając się coraz bliżej, aż sprężysty ciężar jej sutków spoczął na nim w pełni.

Głowa opadła jej do tyłu, szyja wygięła się w łuk. Boże, zmiłuj się, musiał powieść wargami wzdłuż tej smukłej kolumny, zlizać sól z niewielkiego zagłębienia u jej podstawy, leciutko ssać delikatne płatki uszu... Jej gardłowe pomruki sączyły się w jego umysł jak narkotyk.

Nie wolno mu jednak było jej dotykać. Nie, nie dotykał jej. Rękami, Przynajmniej tyle miał samodyscypliny. Ale na jak długo? Narastała w nim panika i pożądanie. Chciał mieć ją pod sobą, na Boga, a nie po prostu stać tutaj i poddawać się torturze, która mełła na pył jego duszę... Mimo to nie ośmielił się na więcej.

Ponieważ jakąś małą cząstką umysłu, która nadal funkcjonowała przytomnie, podejrzewał, że gdy tylko jej dotknie, ona natychmiast po

śle go do diabła.

Stał więc, z mięśniami napiętymi jak gruzły od trzymania rąk z dala od niej, z ciałem stwardniałym od niezaspokojonego pragnienia, dysząc 99

ciężko, przyjmując w zaślepieniu jej usta i chłonąc własnymi jej smak i żar. Nie dotykaj jej. Nie dotykaj jej. Na miłość boską, nie dotykaj jej!

Nagle jej oczy otworzyły się gwałtownie. Z jękiem przerażenia oderwała usta od jego warg.

- O mój Boże!

Szarpnęła się do tyłu i runęła z przelazu, padając na plecy. Przez chwilę nie mógł się ruszyć. Stał z zamkniętymi oczami, zawiedziony i zły. Wreszcie przeskoczył poręcz i pochylił się nad nią. Wpatrywała się w niego dzikim wzrokiem.

- Nie dotknąłem pani! - krzyknął.

- Wiem! - odkrzyknęła, usiłując się podnieść.

W tej szamotaninie spódnica zadarła jej się wysoko powyżej kolan, ukazując koronkową bieliznę - Lily Bede i koronki? - i haftowane jedwabne pończochy. Szpilki wypadły jej z włosów i kaskada lśniących czarnych loków rozsypała się po karku i ramionach.

Stała już niemal na nogach, gdy wtęmem zaczepiła butem o rąbek spódnicy i z powrotem padła jak długa. Leżała na plecach i ze złością waliła piętami w ziemię. W końcu, po długiej chwili tej całkowicie bezużytecznej aktywności, uspokoiła się.

Wzięła długi, głęboki oddech, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na Avery'ego.

- Cóż - powiedziała głosem, w którym słyhać było gorączkowe pragnienie, by nad nim panować - jeśli wciąż opowiada pan o potrzebie bycia dżentelmenem, proszę pomóc mi wstać!

- Aha. No tak. - Patrzył na nią ostrożnie. - Naturalnie. - Z wahaniem wyciągnął rękę. Wzięła ją i z pomrukiem czy łkaniem - nie potrafił

powiedzieć, co to było - wstała na nogi.

- Być może chciałaby pani poprawić swoje... halki.

Gwałtownie obciągnęła spódnicę i zaczęła otrzepywać się z trawy i listków.

-1 włosy.

- Co włosy?

- Są rozpuszczone.

- Och! - Zebrała je dłońmi i wetknęła parę szpilek. Wyglądały już schludnie i porządnie, gdy jeszcze przed chwilą można je było wziąć za talizman rozpusty.

Potem wzięła kolejny głęboki oddech, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Zafascynowany czekał, co będzie dalej.

- Przepraszam. - Jej twarz spłonęła ognistym rumieńcem.

100

Wszystkiego się spodziewał, ale najmniej takich słów.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zachowywałam się jak kompletna... jak jakaś...

- Jak łajdaczka? - spytał, wykorzystując termin, którym w myśli sam ją określił.

- Tak! Jak łajdaczka! - podchwyciła entuzjastycznie. - Proszę o wybaczenie i proponuję, żebyśmy zapomnieli o tym nieszczęsnym incydencie.

Powiedziała to tak oficjalnie, że zrobiło mu się ciemno w oczach.

Już wcześniej odpierał pokusy, ale były one niczym w porównaniu z tą, jakiej stawił czoło przed chwilą. Całe ciało bolało go z niezaspokojenia.

Wciąż czuł jej zapach, smak, czuł jej dotyk... O, nie. Nie uda jej się tak łatwo wymknąć. To, że gierka, jaką wymyśliła, nie przyniosła rezultatów, nie oznacza, że nie jest obowiązana za nią zapłacić.

- Pani może zapomni. Ja z pewnością nie.

Wpatrywała się w niego badawczo.

- Ale... jak mogę to panu zrekompensować?

- Zrekompensować? - To, że Lily mogła być mu coś dłużna, miało niewątpliwy urok. - Nie wiem, czy jest mi pani w stanie zrekompensować - zrobił pauzę dla uzyskania efektu dramatycznego - napastowanie mnie. No, ale skoro jest pani kobietą, to nie mam innego wyjścia, niż przyjąć pani przeprosiny, prawda? Mój Boże, a gdyby role były odwrócone, natychmiast zaczęłoby się ściganie zbrodniarza... Proszę nie zawracać sobie głowy tym, że mnie trudno będzie zapomnieć ten incydent.

Jej wspaniałe ciemne oczy zwęziły się podejrzliwie.

- Nie potrafi pan zapomnieć?

O Boże! Gdyby tylko wiedziała... Nie potrafi. Ale nie z przyczyn, które podał.

- Dlaczego jest pani taka zdziwiona? Kobiety nie mają monopolu na wrażliwość. To, że jestem mężczyzną, nie oznacza, że nie można mnie znieważyć. No, ale ponieważ zniewaga pochodzi od pani, kobiety, zostanie doraźnie anulowana.

- To nie fair - wyrzuciła z siebie i natychmiast na jej twarzy pojawił

się taki wyraz, jakby chciała odwołać te słowa.

Uśmiechnął się z irytującym zadowoleniem.

- Zgadzam się z panią. Ale niewątpliwie wie pani przecież, że sprawy między naszymi płciami rzadko bywają fair. Najwyraźniej nie brała pani dotąd pod uwagę, że nie zawsze kobieta jest stroną, która cierpi wskutek tych nierównych szans.

- Ale przecież musi być jakiś sposób rekompensaty? Gdyby to mężczyzna znieważył pana w taki sposób...

101

- Moja droga panno Bede - powiedział. - Gdyby mężczyzna znieważył mnie w taki sposób jak pani, natychmiast połałaby się krew. Co najmniej.

- Nie to miałam na myśli! Chodzi mi o to, że gdyby mężczyzna obraził pana, a potem przeprosił, czy nie przyjąłby pan jego usprawiedliwienia?

- Jednakże - rzekł Avery tonem sprawiedliwego - pani mnie nie tylko obraziła, panno Bede. Dodatkowo nadużyła pani mojego przekonania, że w pani towarzystwie nie grozi mi niestosowne zachowanie.

Przez moment obawiał się, że posunął się za daleko. Jej oczy zwęzi

ły się, brwi zmarszczyły, usta zacisnęły. Potem jednak wyciągnęła błagalnie rękę i zdał sobie sprawę, że to, co brał za podejrzliwość, było upokorzeniem. Niemal zrobiło mu się jej żal... Jej strapienie było takie prawdziwe! Powiedział sobie jednak, że jakkolwiek prowadziła grę, niewątpliwie zaplanowała ją tak, że to on miał być stroną przegraną.

- Musi być jakiś sposób, żeby sobie z tym poradzić! - wykrzyknęła.

-No cóż, gdyby mężczyzna strzelił z nienacka do innego mężczyzny...

- Strzelił z nienacka?

- Tak. Strzelił z nienacka. Strzelił do wroga, gdy był on odwrócony plecami albo w sytuacji zaskoczenia. Uważa się to za bardzo niesporto-we zachowanie.

Pod wpływem jego surowego tonu poblądła.

-Tak?

- No więc, gdyby mężczyzna postrzelił mnie z nienacka, bez uprzedzenia, po prostu ostrzegłbym go, że może w przyszłości spodziewać się podobnego potraktowania z mojej strony. Chodzi o fair play, rozumie pani - wyjaśnił. - W każdym razie my, dżentelmeni, tak postępujemy.

Obserwował ją, gdy rozważała jego słowa. Choć starał się mówić uprzejmym tonem, jego myśli dalekie były od życzliwości. Mógłby sądzić, że zna tę kobietę... Przybliżyły mu ją te cztery i pół roku korespondencji. Psiakrew, zwłaszcza ten jeden list, jaki napisała po śmierci Karła, przemówił mu do serca! Nie cierpiał się mylić. Spodziewał się, że jest dziewczyną nieprzywykłą do męskiego towarzystwa, tak samo jak on nie przywykł do damskiego. Jej namiętny pocałunek sugerował jednak doświadczenie. Z iloma mężczyznami? Nie wiadomo dlaczego rozzłościło go to jak diabli.

- A zatem? - spytał.

Krótkim, zdecydowanym ruchem kiwnęła głową.

- Doskonale - rzekła dzielnie. - Przyjęłam ostrzeżenie.

102

13

L

ily była zdruzgotana. Czuła na karku wzrok Avery'ego i upokorzenie paliło ją jak ogień. Przycisnęła

pięści do warg, żeby stłumić jęk. Z każdym krokiem musiała się siłą powstrzymywać, żeby nie rzucić się do szaleńczego biegu. Uniosła błagalny wzrok ku niebiosom.

Co ją opętało, na litość boską? A wydawało się, przynajmniej przez chwilę, że to taki dobry pomysł. Taki wyzwolony. Teraz wydawał się jej tani, pozbawiony smaku i... och! Obrażliwy dla niego.

Jak to on powiedział? Że fakt, iż jest mężczyzną, nie oznacza, że nie może odczuwać zniewagi. Co prawda, on też nie był bierny. Nawet przy jej zapamiętaniu nie sposób było nie dostrzec, że odwzajemnił pocałunek...

Przez całe życie walczyła, by kobiety miały takie same prawa jak mężczyźni, a teraz sama zniewoliła fizycznie Avery'ego Thorne'a. Co za niegodziwość, co za hipokryzja... Tym razem nie udało jej się całkowicie stłumić jęku.

- Czy coś pani mówiła, panno Bede? - dobiegł ją jego głos skądś z tyłu. Trudno się dziwić... Musiał się obawiać, żeby nie znaleźć się zbyt blisko, w zasięgu jej ręki.

- Nie. Nic nie mówiłam.

Dobrze przynajmniej, że zgodziła się z tym, iż ma on prawo do uzyskania rekompensaty. Zaciśnęła palce, zastanawiając się, jaką formę może przybrać ten „strzał znieńcka”. Jednego była pewna - strzał będzie oryginalny.

Pocałunek Avery'ego był najprawdopodobniej wynikiem popędu seksualnego, który rządzi ponoć zachowaniem osobników płci męskiej.

Mężczyzna nie sprzeciwił się jej stwierdzeniu, że postąpiła jak łajdaczka. Jeśli w jego pocałunku był głód, pożądanie, namiętność, wszystko to wynikało z popędu. Jeżeli zaś chodzi o nią to wcale nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś obudził w niej odruch świadczący, że włada nią mniej szlachetna strona jej natury... Prawdopodobnie tylko jego osławiona dżentelmeneria - która zdawała się pojawiać i znikać stosownie do wymogów sytuacji - powstrzymała go od odtrącenia jej siłą. Biorąc pod uwagę jego wzrost i mięśnie, powinna mu chyba być wdzięczna.

Nie była wdzięczna. Właściwie nie była pewna, czy nie wołałaby, żeby ją dotkliwie skarcił... Może nawet bardzo mocno uderzył. Tak mocno, by straciła przytomność.

Dręczyła się tak, dopóki nie dotarli do starej kamiennej mleczarni, w której mieściła się obecnie kancelaria Drummonda. Weszła na samotny 103

schodek i głośno zastukała w sfatygowane, ledwie trzymające się zawiasów drzwi. Najlepiej pozostawić cały ten katastrofalny antrakt za sobą.

Zastukała jeszcze raz.

- Dobra, dobra, już idę! Niech cię diabli, ty... - Drzwi uchyliły się i jedno z zamglonych niebieskich oczu Drummonda spojrzało na nią z wściekłością. - Och, przepraszam.. Nie wiedziałem, kto to.

Dobrze wiedział, stary łotr... Zawsze przychodziła punktualnie na ich comiesięczne spotkania i zawsze witał ją potokiem przekleństw.

Dzisiejsze i tak były łagodne w porównaniu z tym, co zdarzało jej się nieraz słyszeć.

Powłócząc nogami, Drummond wycofał się do mrocznego wnętrza.

Drzwi pozostawił niedomknięte. Tym razem przynajmniej nie zatrzasnął

jej ich przed nosem, by narzekać później na swoją „starczą amnezję”.

Lily pchnęła drzwi i ośmieliła się postąpić parę centymetrów do przodu. Drummond z głuchym kłapięciem padł na krzesło za biurkiem zawalonym papierami, ogryzkami ołówków i obszarpaną księgą. Pomimo duchoty panującej w zamkniętym pomieszczeniu, jego zgarbione plecy okrywał szal.

Udawał, że jest słaby, komediant! Wiedziała, że udaje. Wszak niedawno ten starzec dźwigał na rękach przez półtora kilometra cieleń ze złamaną nogą.

- Dzień dobry, panie Drummond - powiedziała. - Z pewnością pamięta pan, że jesteśmy na dzisiaj umówieni?

Rzuciła okiem na Avery'ego, który podejrzanie się jej przyglądał.

Prawdopodobnie zastanawiał się, czy nie udałoby mu się wcześniej objąć Mill House, gdyby doprowadził do uznania jej za obłąkaną... A ponieważ wciąż był dla niej tak diabelnie atrakcyjny - od samego spojrzenia przebiegła ją fala gorąca - nie była wcale pewna, czy nie wyświadczyłby jej w ten sposób łaski.

- Ma pani zamiar stać tak dalej jak ogłupiała krowa czy wejść do środka? - zagderał Drummond. - A co to za młody czort wygląda zza pani pleców, do stu diabłów? Nowy rządca? - przyjrzał się Avery'emu zmrużonymi oczami. - Nie... Nie mam chyba tyle szczęścia. Zresztą musiałyby pan być babą, żeby paniusia pana zatrudniła.

Wstrętny, złośliwy stary dziwak... Postąpiła naprzód parę kroków.

- Proszę posłuchać, panie Drummond, nie przyszedłam tutaj...

- A może jest pan na tyle głupi, że chce ją poślubić? - spytał z nadzieją Drummond, dźgnąwszy kciukiem w jej kierunku. - Tak też by było nieźle. Może by się panu wtedy udało utrzymać ją z dala ode mnie.

Chociaż przez parę dni - przymrużył dwuznacznie oko.

104

- Nie zamierzam przejąć farmy - rzekł Avery - i nie zamierzam się z nikim żenić, staruszk.

- W takim razie co pan tu robi? - Drummond spojrział na niego spode łba wściekłym wzrokiem. Nieliczne siwe włosy sterczały jak druty na jego spalonej słońcem głowie.

- Przyszedłem zobaczyć, jak długo człowiek może żyć samą nikczemnością.

- Słuchaj no, chłopcze! - Drummond zerwał się z krzesła, zrzucając z siebie szal i ton zrzędzącego, słabego starca niby wąż skórę. - Może i jesteś duży, ale nie na tyle, żebym nie mógł wbić ci trochę manier do głowy!

Przechylił się przez biurko i utkwiał w Averym groźne spojrzenie. Nagle wyraz niedowierzania błysnął w pokrytej zmarszczkami starczej twarzy.

- Avery Thorne, tak? Wciąż ten sam nieokrzesany smarkacz... Tyle że teraz nabrał pan trochę ciała.

- Nigdy nie byłem nieokrzesany.

-Ha!

Coś na kształt uśmiechu - o ile można było tak to nazwać, gdyż nigdy dotąd Lily nie widziała, żeby Drummond się uśmiechał - przemknęło po jego pomarszczonej twarzy. Wyskoczył zza biurka, odsunął ją ramieniem, chwycił rękę Avery'ego i zaczął nią potrząsać z przejęciem.

- Przyjechał pan, żeby uwolnić mnie od jej nieuctwa i wścibstwa, prawda, synu? Nie byłbym taki szczęśliwy, nawet gdybym zobaczył samego świętego Piotra!

- Tak jakby istniała na to jakakolwiek szansa - mruknęła Lily.

- Poddała się wcześniej, prawda? - spytał Drummond, uśmiechając się niczym złośliwy siwowłosy gnom.

O Boże, jak nie cierpiała, kiedy mówił o niej w trzeciej osobie...

Czasem robił to nawet wtedy, kiedy byli sam na sam.

- No tak, tak będzie najlepiej dla wszystkich. - Drummond puścił

w końcu rękę Avery'ego. - Któż to słyszał, żeby kobieta prowadziła farmę! Przez całe swoje życie nie widziałem podobnej głupoty...

- Wcale się nie poddałam - oświadczyła sztywno Lily. - A pan Thorne przyszedł ze mną wyłącznie po to, żeby przywitać się ze starym przyjacielem, czyli z panem.

- Co? - Drummond przeszył Avery'ego pytającym wzrokiem.

Avery skinął głową.

- O, psia krew. - Wyraźnie zawiedziony Drummond odwrócił się do nich tyłem i powlókł z powrotem

za biurko, następując po drodze Lily na nogę.

- Auu!

105

Drummond opadł na krzesło, mamrocząc z niezadowoleniem:

- To na pewno oznacza, że mam się spodziewać następnych wizyt, tak? No dobrze, miejmy to już za sobą. Czego pani chce?

- „Chce”, panie Drummond? - Lily wysunęła się naprzód i chwyci

ła rękami biurko, ściskając je tak mocno, że była pewna, iż wycisnie na blacie ślady. Nachyliła się i spojrzała z gniewem na Drummonda. - Chcę, aby to gospodarstwo było przedsiębiorstwem dochodowym. I muszę wiedzieć, kiedy zamierza pan zmyć z owiec graż. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zapowiadają, że to lato będzie szczególnie upalne, i...

- Jakie znaki, paniusiu Wszystkowiedząca? Znowu czytała pani rolnicze pisemka? Niech no pani posłucha. Myję owce od pięćdziesięciu lat i nie potrzebuję, żeby mi ktoś mówił, kiedy to robić, a kiedy nie!

- To pan niech posłucha, panie Drummond. Jeśli wełna nie jest sucha i gotowa do strzyżenia, zanim przyjdą upały, wówczas owce chorują. W naszym przypadku oznaczać to będzie znaczne straty finansowe.

Twarz Drummonda pokryły purpurowe cętki.

- Wiem o tym, ty głupia...

- Co to jest graż?

I Lily, i Drummond odwrócili się gwałtownie. Po raz pierwszy, odkąd ujrzała Avery'ego Thorne'a, była przez chwilę wolna od myśli o nim.

- Co? - spytał Drummond.

- Co to takiego ta graż, o której mówicie? - powtórzył Avery. - My

ślę, że powinienem wiedzieć, skoro wywołuje ona tak gorące uczucia.

- To glina - powiedziała Lily, niepewna, czy z niej nie żartuje. -

Czerwona glina używana do znakowania owiec.

- Rozumiem. A dlaczego je znakujecie?

- Żeby je odróżnić od innych owiec - powiedział z niesmakiem Drummond. - W tej okolicy jest dużo owiec. Pasą się na tych wzgórzach. Musimy wiedzieć, która owca jest czyja, no nie? - Potrząsnął głową. - Nie był pan specjalnie głupi jako wyrostek, o ile pamiętam...

- Rozmawiajcie dalej - rzekł Avery. - To bardzo pouczające.

- Naprawdę nie wiedział pan, co to jest graż? - spytała Lily podejrzliwie, zaskoczona, że Avery mógł tak łatwo przyznać się do ignorancji. Z jej niewielkiego jednak w tej dziedzinie doświadczenia wynikało, że mężczyźni nigdy nie ujawniają swoich ograniczeń. Nawet ojciec, najbardziej oświecony mężczyzna, jakiego znał świat, nigdy nie wypowiedział w jej obecności tych dwóch słów: „nie wiem”.

- Nie - odparł spokojnie Avery. - A dlaczego miałbym wiedzieć?

Spędziłem w Mill House zaledwie parę tygodni i to dawno temu. To nie był w ścisłym znaczeniu mój drugi dom.

106

Z tego, co mówiła Francesca, wynikało, że nie był to jego pierwszy dom... O mało nie powiedziała tego na głos, ale jakieś ostrzeżenie bijące z jego twarzy kazało jej trzymać język za zębami. Ze zdumieniem poczuła w sobie odruch współczucia. Co za nonsens! Avery'emu Thorne'owi przysługiwały wszelkie przywileje jego płci i klasy społecznej.

Znalazł nawet sposób na obejście swoich ograniczonych zasobów finansowych, bazując na własnej pomysłowości. Czego mu brakowało?

Przyjrzała mu się z namysłem. Być może Thorne wcale nie był taką zadufaną w sobie, samolubną kreaturą, jak jej się wydawało?

Drummond prychnął lekceważąco.

- Najpierw baba, teraz ten, co to ani be, ani me... Cóż to, musi pan przejść jakiś głupi sprawdzian, żeby spełnić wolę Horatia? Ale wolę już pracować dla nieuka mężczyzny niż nieuka baby. A najlepiej żeby wróciły te złote dni, kiedy pracowałem dla pana Horatia...

- O tak, jestem pewna, że świat stracił Damona i Pytiasza, kiedy Opatrzność rozdzieliła was z Horatiem - powiedziała sucho Lily, mając na myśli dwóch mitycznych greckich przyjaciół.

Avery parsknął śmiechem. Odwróciła się ku niemu zaskoczona.

Unikał jej wzroku, ale jego uśmiech był szczery i pełen aprobaty.

- To brzmi całkiem jak bluźnierstwo, paniusiu. - Na twarzy Drummonda znowu pojawił się ten odstręczający cień. - Jeżeli myśli pani, że będę stać i słuchać pani bezbożnych...

- No no, Drummond, przejdźmy do rzeczy - przerwał Avery.

Lily utkwiała w nim wzrok. Nie przypuszczała, że Avery będzie chciał

jej pomóc. W każdym razie nie teraz. Teraz, kiedy... no, po tym.

- Mówisz tak, jakbyście stali z Horatiem ramię w ramię po pas w gnoju, walcząc z hordami nieprzyjaciół hodowli... Prawda jest taka, że Horatio niewiele czasu spędzał w Mill House, a już z pewnością nie zajmował się sprawami gospodarstwa.

- Racja - powiedział Drummond z nostalgiczną mgiełką w oczach.

- Święta prawda. Pan Horatio nie włączał się w żadne gospodarskie zajęcia i nikt się po nim tego nie spodziewał. Nie to co paniusia...

- A co jest złego w moim sposobie zarządzania? - spytała Lily.

- Paniusia chce być „zaangażowana”. - Drummond dźgnął palcem powietrze. - Ba! Albo się należy do ziemiaństwa i nie wtrąca, jak pan Horatio, albo się jest gospodarzem, co to pracuje na ziemi razem ze swoimi robotnikami. Albo-albo. A paniusia myśli, że jak przeczytała parę książek i zadała parę pytań, to już może być „zaangażowana”. No, chciałbym ja widzieć, jak się paniusia angażuje w mycie stupięcdziesięcioki-lowej owcy.

107

14

F

- Raczej nie należy oczekiwać po panie Bede, że będzie kąpała owce - zauważył Avery.

- Tak? - Oczy Drummonda zdawały się zapadać jeszcze bardziej.

Spojrzał na Lily niczym bazyliżek. - Nie jest pani ziemianką i nie jest pani gospodarzem - powiedział. - Nie potrafi pani kierować wszystkim zza biurka i nie będzie pani pracować w polu. A to na mój rozum znaczy, że nie ma z pani żadnego pożytku. Spodziewam się, że jak teraz młody pan Thorne przejmie majątek, to rzeczy wrócą na właściwy tor.

- Właściwy tor to ten, który ja wprowadziłam! - wybuchnęła Lily.

- Chwała Bogu, jeszcze tylko parę miesięcy tej paplaniny - mruknął

Drummond, przetrząsając papiery.

Palce Lily, zaciśnięte na kancie biurka, pobieleły z wysiłku.

- Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że to ja mogę w końcu zostać właścicielką Mill House? Że mogę go odziedziczyć?

Drummond nawet nie podniósł oczu.

- Nie, nigdy. - Machnął ręką jak król, który pozbywa się irytującego dworzanina. - Niech już pani idzie. Jestem zajęty. Nie mam dzisiaj czasu, żeby panią zabawiać. Chyba że... - podniósł wzrok. W jego złośliwych oczkach odbijała się nieżyczliwość. - Chyba że chce mnie pani wyrzucić...

Lily policzyła do dziesięciu, patrząc staremu w oczy. Tak, właśnie to chciałyby zrobić... Ale Mill House potrzebował Drummonda. Nie mogła uczynić czegoś głupiego tylko dla paru ekstatycznych chwil triumfu.

Jednak będzie mogła, jeśli zostanie tu na dłużej. Bez słowa odwróciła się i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Drummond wybuchnął diabelskim chichotem i z zadowoleniem zatarł ręce. Uniósł głowę, by napotkać chłodne spojrzenie Avery'ego.

- Drummond - powiedział Avery - myślę, że musimy chwilę porozmawiać.

rancesco! - krzyknął Avery poprzez korytarze Mill House. W tej samej chwili z oddali dobiegł odgłos grzmotu. Dzień zrobił się nadzwyczaj upalny... Odkąd Lily uciekła z domu Drummonda, widział ją tylko raz, przelotnie, i to doprowadzało go do szaleństwa. Zbyt wiele było niewyjaśnionych spraw między nimi, a on nie przywykł zbroić się w cierpliwość i wypatrywać okazji. Pragnął czegoś innego...

108

Do kata! W tym właśnie tkwił problem... Pragnął Lily Bede. Tak bardzo jej pragnął, że czuł smak tego pragnienia. I coś z tym musiał zrobić.

- Gdzie oni się wszyscy podzieli, do diaska? - mruknął. Nawet wszechobecne zwykle trio dziewczyn służebnych zniknęło gdzieś bez śladu... Bóg jeden wie, dokąd tak się śpieszyła Lily. Pewnie wymyśla kolejny plan, jakby tu... Jakby tu co?

Co ona, na miłość boską, spodziewała się osiągnąć tym pocałunkiem? Co knuła? Musiał to wiedzieć. Musiał to wiedzieć natychmiast.

- Francesco! - krzyknął ponownie.

Usłyszał szybkie kroki i po paru chwilach ujrzał Franceskę. Różowa materia szeleściła wokół jej kolan. Twarz ozdabiały wypieki.

- O co chodzi? - spytała zadyszana. - Czy coś się stało?

- Stało? Nie, nic się nie stało. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Przycisnęła rozpostartą dłoń do szyi.

- Dostałam przez ciebie palpitanie, ty narwańcu. Żeby tak się wydierać na cały dom!

- Wydierałam się, bo nie ma tu nikogo, kto mógłby przekazać ci moją prośbę, żebyś się ze mną spotkała - rozejrzył się uważnie - tutaj -

wskazał jeden z pokoiów. - Nie miałem ochoty biegać dookoła, otwierać kolejno wszystkich drzwi i sprawdzać, czy cię za nimi nie ma.

- Dobrze, dobrze, Avery. - Francesca weszła do pokoju. Usiadła z gracją na ciężkiej sofie pokrytej ciemnokasztanowym brokatem i uło

żyła wdzięcznie stopy.

- Gdzie się wszyscy podzieli? - spytał Avery, rozglądając się dookoła. Teraz już wiedział, dlaczego rodzina nie używała tego pokoju.

Był ciemny, pełen ciężkich, niewygodnych zapewne mebli i zimny jak piwnica.

- Pani Kettle nalewa wino do karafek na kolację - najwyraźniej jest to długi i żmudny proces, który należy traktować bardzo poważnie! -

a Evelyn uczy w salonie pannę Makepeace robić koronki. Zastanawiająca sprawa... Bernard zaś zszedł na dół do końskiej stodoły.

- To się nazywa stajnia, Francesco. Uważasz, że to rozsądne pozwolić mu tam chodzić? Przy tym stanie płuc...

- Niby dlaczego miałyby nie być rozsądne? - spytała.

- Te okropne, pełne przeciągów stajnie... A konie to narwane bestie. Drinka, Francesco? - wskazał kryształową karafkę z whisky.

- Z przyjemnością - powiedziała Francesca. - O Bernarda nie potrzebujesz się martwić. Szkapę Lily dawno przestały być dla kogokolwiek zagrożeniem, a Bernard przepada za jazdą. To jedyna dyscyplina sportu, z jakiej może czerpać radość, o ile wiem.

109

- Gdybym ja też mógł czerpać z tego radość... - mruknął Avery, wyczarowując w wyobraźni obraz Lily Bede, cwałującej przez pole z rozwianymi czarnymi lokami.

Sięgnął po karafkę z trunkiem. A zatem, cokolwiek wyzwalało skurcz płuc u Bernarda, nie była to bliskość koni. Być może, gdyby się wspólnie z Bernardem zastanowili, zdołaliby odkryć, w jakich

warunkach atak jest najbardziej prawdopodobny. Wówczas chłopak mógłby postępować tak, jak nauczył się postępować Avery: unikać miejsc czy sytuacji, które powodowały tę straszliwą duszność.

- Avery - spytała powoli Francesca - czy to konie wywołują u ciebie ataki duszności?

No tak, zapomniał o Francesce... Skulona na ciężkim ogromnym meblu, wyglądała w swoich połyskliwych pastelowych draperiach jak jesienny motyl: przyblakły, nieco wystrzępiony, ale wciąż piękny.

- Czasami - powiedział wymijająco. - Nie warto o tym mówić.

Wystarczy, że nie zbliżam się do tych bestii. No, a teraz o niej.

- O niej? - Twarz Franceski przez chwilę straciła wyraz. Wreszcie rozjaśniła się. - A! O niej. A o co chodzi?

Avery zawahał się. Sam nie był pewien, jak bardzo chciałby otworzyć się przed kuzynką. Nikt inny spośród znanych mu osób nie miał

lepszyc niż Francesca kwalifikacji, by właściwie ocenić skłonności Lily. Jej biegłość w sprawach ciała była niekwestionowana, i to już w czasach, kiedy zaliczał się jeszcze do dzieci.

- Camfield - powiedział w końcu, wręczając jej szklaneczkę whisky z wodą sodową.

- Martin Camfield? - Francesca wzięła drinka. - Co Martin Camfield?

- Jaki jest charakter relacji łączącej go z panną Bede?

Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.

- No cóż... Pan Camfield niewątpliwie ma wielkie poważanie dla inteligencji Lily.

Avery rozluźnił się. Jeśli najsilniejszym uczuciem, jakie zdołał wzbudzić w sobie Camfield dla kobiety takiej jak Lily, było poważanie dla jej inteligencji, to człowiek ten jest albo homoseksualistą, albo eunuchem.

Każda z tych okoliczności nie stanowiła dla Avery'ego zagrożenia.

Uśmiechnął się.

- Bądź też pan Camfield chciałby, żeby ona tak myślała.

Uśmiech Avery'ego zgasł.

- Być może Martin Camfield jest dostatecznie mądry, żeby zdać sobie sprawę, że dla kobiety takiej jak Lily bardziej atrakcyjny będzie 110

mężczyzna, który docenia jej umysł, niż ktoś, kto po prostu strzela za nią oczami.

- Ja nigdy nie strzelałem za nią oczami.

Francesca sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Avery, przecież ja wcale nie powiedziałam, że strzelałeś!

- Chciałem tylko, żeby było jasne, że ja nie należę do tego typu mężczyzn.

- Wielka szkoda - rzekła Francesca i wlała w siebie dobrą połowę zawartości szklanki.

- A co z Lily?

- Z Lily?

- Z nią i z nim.

Francesca westchnęła.

- Wolałabym doprawdy, żebyś nauczył się mówić trochę bardziej opisowo. Trudno zrozumieć coś z monosylab, Avery. Nawet już jako chłopak miałeś ten zwyczaj... To szalenie utrudnia komunikację. A przecież twoja proza jest wręcz natchniona! Język, którego używałeś w listach do Lily, doprawdy aż się skrzył od metafor. No, spróbuj jeszcze raz, mój drogi: cóż takiego chciałbyś wiedzieć „o niej i o nim”?

Avery'emu zrobiło się gorąco.

- Czy ona zachęca Camfielda?

- Oczywiście, że tak. - Francesca postawiła pustą szklankę na pod

łódze. - Co ci się stało, Avery? Źle się czujesz?

Wizja Lily w ramionach Camfielda - albo jeszcze gorzej, Camfielda w ramionach Lily - sprawiła, że Avery poczuł wręcz fizyczny ból. Z wysiłkiem rozluźnił zaciśnięte szczęki.

- Czuję się doskonale. Po prostu niemile zaskakuje mnie odkrycie, że kobieta o takiej inteligencji jak Lily poniża się do manipulowania mężczyzną w tak bezwstydnym i ordynarnym sposób.

- Bezwstydnym? Ordynarnym? - Francesca zmarszczyła brwi. - Sądzisz, że co ja właściwie sugerowałam na temat postępowania Lily?

- Że używa swoich kobiecych sztuczek, aby omamić mężczyznę, tak żeby tańczył, jak mu zagra.

- Rozumiem. - Francesca pokręciła głową. - Mężczyźni są doprawdy fascynujący... Czy wolno mi spytać, do jakiego to tańca miałyby skłaniać Lily Martina Camfielda za pomocą swoich niecznych

sztuczek?

- Nie wiem - odparł Avery rozdrażniony. - Skąd miałbym wiedzieć, do czego on jest jej potrzebny?

Francesca odchyliła się na oparcie sofy z wyrazem głębokiego namysłu.

111

- Cóż - powiedziała powoli - zależy jej, żeby kupować od niego nasiona po dobrej cenie. Przyznam, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że można sprzedawać swoje kobiece względy w zamian za dziesięcioprocentową obniżkę ceny nasion, ale jeśli to właśnie robi, uważam to za szalenie przedsiębiorcze...

- Nie wygłupiaj się!

- Ja? - Francesca wstała. - Myślę, że to ty wyciągasz pochopne wnioski. Powiedziałam tylko, że Lily flirtuje z Martinem Camfieldem, a nie że z nim śpi, ty głupcze. Zdajesz sobie sprawę, że to różnica?

- Jeśli przestaniesz być tak cholernie ubawiona tym, co przeżywają zwykli śmiertelnicy, i zaczniesz odpowiadać zwyczajnie i prosto na moje pytania, wtedy i ja przestanę wyciągać pochopne wnioski - odparował.

Słowa te wywołały potężny efekt. Uprzejmy wyraz twarzy Franceski gwałtownie zniknął. Pod warstewką pudru pojawił się rumieniec gniewu.

- Czy Lily zrobiła coś, co skłania cię do przypuszczeń, że jest ona...

no... swobodna w udzielaniu swoich łask?

- Rozmawiasz z dżentelmenem, Francesco - odparł chłodno.

- Aha. Ale nie rozumiem, Avery, czy ona i ty... dlaczego ty nie... -

przyjrzała mu się bacznie. - Nie ufasz jej... względem?

- O ile - rzekł Avery - istniałyby w ogóle jakieś względy, którym mógłbym nie ufać - a jako dżentelmen nie życzę sobie mówić na ten temat - to tak, nie miałbym do nich ani krzty zaufania. Byłbym szalony, gdybym miał. Jeśli kobieta najwyraźniej mnie nie cierpi, przez cztery lata wymienia ze mną listowne zniewagi, nie czyni tajemnicy z faktu, że próbuje wyszarpnąć mi dziedzictwo, a potem nagle... jest dla mnie przychylna. .. Co mam... hm... to znaczy, co miałbym o tym myśleć?

- Och, biedactwo. - Francesca przyglądała mu się z zafascynowaniem.

- Nie rób z siebie idiotki, Francesco.

- Hmm. No cóż, jeśli nie chcesz mojej pomocy...

- Pomocy? W jakiej sprawie? - spytał z niedowierzaniem.

- W sprawie -jak by to powiedzieć możliwie delikatnie... - zdobycia Lily Bede.

- Ja wcale nie chcę zdobyć Lily Bede!

- Nie ma potrzeby, żebyś podnosił głos, Avery.

- Jest potrzeba! To najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Lily Bede jest zawzięta, uparta, kłótniwa megiera. Nie lubi mnie, a ja nie lubię jej. No, właściwie „nie lubię” to za mocne określenie. Nie ufam jej. Jest zbyt inteligentna i zbyt niezależna. Dlaczego jakkolwiek mężczyzna miałby chcieć zdobyć podobną kobietę?

112

- Nie potrafię na to odpowiedzieć, choćbym się nie wiem jak starała

- odparła z widocznym zadowoleniem Francesca. - Nie jestem mężczyzną. Może ty potrafiłbyś to jakoś ująć w słowa?

- Oczywiście, że potrafiłbym - powiedział ze złością, na pół świadomy, że wyjaśnia tym samym tajemnicę atrakcyjności, którą przed chwilą zanegował. - Pewien rodzaj magnetyzmu między przedstawicielami przeciwnych płci jest normalną rzeczą. To, że odczuwam go w takim stopniu jak obecnie, wcale nie oznacza, że pragnę zdobyć Lily Bede.

Mój pociąg do niej niewątpliwie bierze się stąd, że nagle znalazłem się w całkowicie obcym mi dotąd towarzystwie kobiet, z chronologicznej receptywności i z pewnej chemii ciała. - Nachmurzył się. - I te jej oczy...

- Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz, Avery. Może już lepiej dukaj monosylabami - zasugerowała Francesca.

- Chodzi mi o to - rzekł Avery - iż wiedząc, że to zaślepienie jest po prostu niefortunną mieszanką czynników mentalnych, chemicznych i socjologicznych, wiem również doskonale, jak sobie z nim poradzić.

-O?

- Staw przy młynie - oświadczył zadowolony. - Przyjrzałem mu się bardzo dokładnie podczas spaceru z Lily. Wygląda na dość głęboki i wiem, że będzie dostatecznie zimny.

- Masz zamiar zaaplikować sobie zimne kąpiele? - Francesca wybuchnęła śmiechem.

- A co jeszcze mógłbym zrobić? - Zdawał sobie sprawę, że mówi za głośno, ale nic nie mógł na to poradzić. - Mam obsesję na punkcie tej kobiety. To niezdrowe. Śmieszne.

- Powiedziałeś przed chwilą, że to normalne.

- Nie miałem racji. Nie... Miałem rację. Do pioruna! Nie potrafię nawet sformułować najprostszego sądu, jeśli dotyczy on jej. Zaburzyła moją zdolność racjonalnego myślenia.

Wyciągnął z kieszeni cygarniczkę, otworzył ją z trzaskiem i wyjął cygaro.

- Muszę od niej uciekać. Ta podróż do Londynu dobrze mi zrobi.

Najwyraźniej wszedłem w okres życia, kiedy należałoby rozejrzeć się za żoną. Chyba... chyba spotkam się z paroma przyjaciółmi. Niektórzy z nich mają siostry. Miłe, uległe istoty. Dobry materiał na żony. Do diabła, ona mi nawet nie pozwala palić w domu!

Wściekłym ruchem wrzucił cygaro do pudełka i wepchnął je z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

- Biedaku - ton Franceski nie był zanadto współczujący. - A dlaczego by nie zaakceptować tego, co nieuniknione? Wierz mi, Avery, ja 8 - Mój najdroższy wróg

113

mam ogromne doświadczenie w sprawach takich jak twoja. Niektóre rzeczy są nie do zwalczenia. Próby opierania się nic nie dają. Ten rodzaj pociągu jest tak silny jak przyływ oceanu... Równie dobrze można po prostu pozwolić się zatopić i jeszcze czuć z tego powodu radość.

- Ja nie utonę - powiedział z naciskiem Avery. - Ja będę pływał.

Długie, ożywcze, chłodne kąpiele. Codziennie, jeśli będzie trzeba. Dwa razy dziennie.

- Jesteś głupcem, Avery - westchnęła Francesca. Fakt, że podejrzewał, iż ma ona rację, ale nie mógł pojąć dlaczego, odebrał mu resztki spokoju.

- Do licha, Francesca, ona chce mi odebrać mój dom!

Skrzydółka nosa Franceski rozděły się lekko, jakby wyczuła niezbyt miłą woń.

- Lily - powiedziała z wodniczo łagodnym głosem - oddała temu domowi pięć lat swojej młodości. Przez całe te pięć lat, w ciągu których inne młode damy były wyłącznie pieszczone, hołubione i fetowane, Lily wyteżęła *oczy* nad rachunkami, siedziała do białego rana nad księgami, żeby znaleźć sposób na zaoszczędzenie kolejnego pensa, własnoręcznie czyściła na czworakach podłogi... - widząc zdumienie na jego twarzy, przerwała i zacisnęła z niesmakiem usta.

- Avery, mój drogi - podjęła po chwili - nie rozumiałeś, jak to możliwe, aby trzy nieduże, niedożywione ciężarne dziewczyny wykonywały całą domową robotę, prawda? Człowieku, spójrz na ręce Lily!

- Dlaczego to robiła? - spytał oszołomiony.

Nie rozumiała pytania.

- Ponieważ to jedyny sposób, w jaki może zapewnić sobie upragnioną przyszłość. Myślę, że po tym wszystkim, co zrobiła, Lily uważa Mill House za swój dom. - Francesca spokojnie wzniosła ku niemu oczy.

- I ja z pewnością bym się temu nie sprzeciwiła.

Słowa te znów przypomniały mu z całą siłą o prześladowającym go dylemacie. Odgarnął włosy z twarzy.

- Wiem - powiedział. - Widzę, co osiągnęła. Nigdy bym się nie spodziewał, że to możliwe. - Jego głos stwardniał. - Ale, Francesco, to nie ja postawiłem Lily wobec tego wyzwania. Nie ja spowodowałem, że zaoferowano jej mój dom.

Francesca patrzyła na niego w milczeniu.

- Mill House został mi przyobiecany, kiedy byłem młodszy od Bernarda - mówił dalej. - Marzyłem o nim, snułem dalekie plany. Liczyłem na niego, kiedy nie było niczego, na co mógłbym liczyć. Liczyłem na niego! To miał być mój dom. I ona o tym wiedziała, kiedy zgodziła się

włączyć w intrygę Horatia. Nie mów mi, że nie zdawała sobie sprawy, iż zapewniając sobie przyszłość, pozbawia przyszłości kogoś innego.

- Przyznam, że jej postępowanie może się wydać nieczułe. - Pogarda w twarzy Franceski ustąpiła miejsca zmieszaniu. - Mogę tylko powiedzieć, że pięć lat temu twoja sytuacja wydawała się jej znacznie lepsza niż jej własna.

- W nosie to mam, psiakrew. Zgodziła się podjąć wyzwanie, które w konsekwencji mogło przyczynić się do czyjejś krzywdy. Nieładnie, Francesco. Nieładnie.

- Może nie jest to zbyt dżentelmeńskie, Avery...

- Nie jest, do diabła - powiedział szorstko. - A skoro to zrobiła, to do czego jeszcze jest zdolna? Co jeszcze zechce zrobić, żeby zawładnąć Mill House? I jak ja mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie pociągała?

Zamilkł.

- A jednak - podjął po chwili - kiedy widzę, jak dba o te wyliniące szkapy, zastanawia mnie ta jej troska. Wciąż zadaję sobie pytanie, jak mogła zaryzykować własną przyszłość dla jakichś przechodzonych wy

ścigowych koni? Dlaczego pozbawiona sentymentów oportunistka mogła zrobić coś tak szalonego? A co najważniejsze, blisko rok temu napisała do mnie list, który...

Który uratował mi duszę, pomyślał.

- .. który wiele dla mnie znaczył. Wydaje się niemożliwe, by kobieta, która skreśliła tamte słowa, mogła być tak nieczuła.

Francesca nie potrafiła rozwiązać tej zagadki.

Nagle Avery poczuł się zmęczony. Zmęczony, wyczerpany i gorzko świadomy, że jedyna kobieta, jakiej pragnie, jest tą, której najbardziej nie ufa.

- Doceniam to, że Lily długo i ciężko pracowała, żeby zdobyć coś, na czym jej zależy. Niemniej mam nadzieję, że jej się to nie uda. Fakt, że czegoś chcemy, nie daje nam jeszcze prawa do posiadania tej rzeczy.

- Czy właśnie to sobie mówisz, kiedy na nią patrzysz? - spytała Francesca. - Że nie zasługuje na twój dom? Czy może myślisz o innych rzeczach?

Avery jęknął. Francesca potrafiła zmienić w rozmowę o seksie nawet w debatę o reformie systemu monetarnego... Fakt, że jej słowa z nową siłą ożywiły głód, jaki odczuwał, nie czynił sprawy ani odrobinę mniej ironiczną. Z westchnieniem wstał i ruszył do drzwi.

- Powiedziałem już, Francesco, że znam lekarstwo na swój problem.

Pchnął drzwi... Do pokoju wpadł Bernard. Avery zamknął na chwilę oczy, by zebrać myśli, a kiedy je otworzył, Bernard, czerwony jak burak, przestępował niezręcznie z nogi na nogę.

115

S

15

- Przechodziłem obok i usłyszałem imię panny Bede - wyjąkał.

Chłopak patrzył mu prosto w oczy, niewzruszenie, nawet wyzywająco. -

Nie słyszałem dużo. Te przeklęte drzwi są za grube, do pioruna...

- Nie przeklinaj, chłopcze - złażał go Avery. - Dżentelmen tak nie robi.

- Wiem, sir - odparował Bernard. - Ale jako dżentelmen czułem...

to znaczy... ja mam zobowiązanie wobec panny Bede, obowiązek, żeby dbać o jej dobro. To naturalne, że się troszczę...

Kolejny Thorne we władzy tej czarnowłosej więdźmy? Avery spojrział zmrużonymi oczyma na

rozgorączkowaną twarz chłopca, drżące ciało, rozplamieniony wzrok... Niech to szlag!

Chwycił chude ramię Bernarda, obrócił go w drugą stronę i wypchnął z pokoju.

- Doskonale, Bernardzie. Mam coś odpowiedniego na twoją troskę.

- Dokąd idziemy? - niemal pisnął Bernard.

- Popływać, chłopcze. Czeka nas miła, długa kąpiel.

kacz! - krzyknął Avery. - Tu jest ponad dwa metry głębokości, nie tak płytko jak od północnej strony.

- W porządku. - Bernard zdjął buty i wstał, żeby ściągnąć spodnie.

Avery oniemiał z wrażenia. Zupełnie jakby patrzył na fotografię siebie samego sprzed dziesięciu lat...

Szerokie, kościste ramiona Bernarda sterczały pod lnianą koszulą niczym wieszak na ubrania. Spod koszuli wystawały długie, białe, patykowate nogi zakończone stopami, które wyglądały jak monstrualne kacze łapy.

Mając takie ciało, pomyślał Avery, Bernard powinien pływać jak foka.

- No! - usłyszał ponaglenie.

- Przecież powiedziałem, że w porządku! - zawołał Bernard z irytacją. Avery uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Z zaciśniętymi z determinacji szczękami Bernard cofnął się o krok i odbił od brzegu. Szaleńczo wymachując nogami, leciał chwilę w powietrzu, a potem wpadł do wody i natychmiast się zanurzył. W sekundę później wyprysnął na powierzchnię, parszając dziko. Avery podpłynął

bliżej. Teraz nie był już rozbawiony, teraz był pełen troski.

- Nie pływasz zbyt często, co? - Wciąż mówił lekkim tonem, pamiętając, jak ważne kiedyś było dla niego ukrycie fizycznej niedyspozycji.

116

Nasłuchiwał uważnie, czy nie wyłapie niepokojącego rżenia - słysząc jednak wyłącznie głośnie, czyste wdechy, odwrócił się na plecy i popłynął obok, gotów do pomocy, gdyby zaszła potrzeba.

- Uczyłem się pływać w tym stawie - powiedział miłym tonem.

Oddech chłopca który próbował płynąć, niewprawnie przebierając rękami, był już prawie normalny.

- Tak? A kto pana uczył?

- Nikt - odparł Avery. - Wpadłem raz, kiedy łowiłem ryby. Miałem do wyboru: płynąć albo utonąć.

Wybrałem to pierwsze. A ciebie kto uczył?

- Panna Bede.

Na taką odpowiedź Avery był kompletnie nieprzygotowany. Bernard, właściwie interpretując wyraz jego twarzy, roześmiał się.

- Nie wiedziałem, że spędzałeś z nią tyle czasu - powiedział Avery.

- Nie spędzałem - odparł Bernard. - W ogóle. Matka lubi, żebym był

koło niej, kiedy przebywam w domu. - Brwi zbiegły mu się nad nosem. -

Martwi się o mnie. Gdy odkryła, że panna Bede uczy mnie pływać, tak się wystraszyła, że panna Bede obiecała więcej tego nie robić.

Z westchnienia chłopca Avery wywnioskował, iż dalszych eskapad z panną Bede nie było.

- To piekło, prawda? - powiedział.

Bernard nie próbował udawać, że nie rozumie.

- Tak! - wykrzyknął. - Nienawidzę tego! Ten wzrok, jakim nauczyciele patrzą na ciebie, ledwie zakaszlesz, tacy wystraszeni i niechętni, to prychnanie chłopaków za twoimi plecami, to zastanawianie się, czy będziesz się kiedyś czuł na tyle dobrze, żeby cokolwiek zrobić...

Avery skinął głową. Zazwyczaj małomówny chłopiec odzyskał

głos...

- Albo to uczucie, kiedy cała pierś się zapada, zupełnie jakby siedział na tobie jakiś potwór i jesteś pewien, że nie zdołasz zaczerpnąć tyle powietrza, żeby przeżyć...

Avery skinął głową. Znał to.

- Czasami... - Bernard opuścił głowę, ale po chwili podniósł ją wyzywająco. - Parę lat temu zacząłem myśleć, że to by nie było takie straszne, gdybym naprawdę nie przeżył.

- Bernardzie...

Na twarzy chłopaka malował się gniew.

- Wiem. To było tchórzostwo. Ale byłem taki zmęczony tym, że martwię matkę i pannę Bede i że sam się boję...

- I co się stało? - spytał cicho Avery. Ulżyło mu, kiedy zdał sobie sprawę, że Bernard mówi w czasie przeszłym.

- Nie mogłem już dłużej martwić się, czy przeżyję noc. Wie pan, jest jedna zabawna rzecz.

-Tak?

- Im mniej się martwiłem o to, czy nie umrę, tym było mi lżej. Chodzi o to, że wcześniej przywykłem się dusić. - Spojrzał w bok i zaczerwienił się lekko. - No, wie pan... Leżałem w łóżku i martwiłem się, czy doczekam następnego ranka.

Serce Avery'ego ścisnęło się współczuciem dla chłopaka.

- A potem przypomniałem sobie, jak ciocia Francesca mówiła, że z panem było tak samo - ciągnął Bernard - i myślałem o tym, jaki jest pan teraz, przysiągłem sobie, że też będę taki. Poczułem się lepiej. Nie tutaj -

poklepał się po głowie - tylko tutaj - walnął się w pierś. - Tak mi się wydaje. Proszę mi powiedzieć... czy pan naprawdę miał to samo co ja?

- Tak.

- I to się skończyło? - Ulga w głosie chłopca była wręcz namacalna.

-Nie całkiem - powiedział Avery, starannie dobierając słowa. -

Nadal są sytuacje i miejsca, od których trzymam się z daleka, rzeczy, których nie próbuję robić. Unikam ich jak ognia.

- Pan? - spytał z niedowierzaniem Bernard. - Na przykład czego?

- Koni. Wystarczy parę minut obcowania z nimi i czuję się tak, jakby stalowa obręcz zaciskała mi się wokół piersi.

Bernard podpłynął nieco bliżej.

- Naprawdę?

- Naprawdę. I myślę, że ty też powinieneś unikać tego, co powoduje u ciebie ataki.

Chłopak prychnął.

- Nie ma nic takiego, co powoduje u mnie ataki.

- Nie zgadzam się. Przed chwilą podałeś mi przyczyny. Zmartwienie. Obawa. Strach. Wiem, Bernardzie, że to zakrawa na nedorzeczność

- sądzić, że myśli człowieka mogą tak dalece wpływać na jego ciało, ale ja widziałem rzeczy, które

nie tylko sugerują, że to prawda, ale dostarczają na to niezbitych dowodów.

Chłopiec nie wyglądał na przekonanego, ale Avery wiedział, że nie należy naciskać. Bernard, jak wszyscy Thorne'owie, musi mieć czas na własne przemyślenia.

- Opowiedz mi o swoich lekcjach pływania.

Taktyka okazała się właściwa.

- To było trzy lata temu. Matka i Francesca miały kogoś na herbacie i zostawiły mnie pod opieką Li... pod opieką panny Bede. Było gorąco, a panna Bede spędziła cały ranek w stajniach...

118

- Czy ona naprawdę jest taka przywiązana do tych szkap?

- O, tak. - Bernard przewrócił się na plecy i pozwolił unosić się wodzie.

- Kocha je do szaleństwa. No więc, było jej gorąco, mnie też, i jakoś tak znaleźliśmy się nad stawem. Spytała, czy umiem pływać. Odpowiedziałem, że nie, a ona powiedziała, że powinienem, i tak krok po kroku... - Chłopak patrzył gdzieś daleko z rozmarzeniem. - Była taka piękna - szepnął.

O, tak - pomyślał Avery.

~ Kiedy jest mokra, to włosy jej tak lśnią, i oczy też... Położyła mnie na plecach i podtrzymywała od dołu, i czułem się tak... - Bernard mówił coraz ciszej, aż w końcu zamilkł. Oczy zaszyły mu mgłą.

Avery sam czuł się, jakby spowiła go jakaś mgła. Nic dziwnego, że tak chłopaka oczarowała ta czarnowłosa jędza... Lily Bede, po której spływają krople wody. Na tę myśl poczuł suchość w ustach, a lodowata woda wydała się prawie ciepła.

Odwrócił się i dał nurka w głąb, aż do dna, pokonując opór wody i śliski gąszcz korzeni nenufarów. Chłodna, jedwabista woda wypełniła mu oczy i uszy, tłumiąc dźwięki i rozmywając kształty. Połyskliwe wstęgi słonecznego blasku przebijały ponury zielony przestwór niczym złociste korytarze. Ławice małych rybek rozpierzchały się błyskawicznie i znikwały w podwodnym lesie. Cały oddał się temu spokojnemu, chłodnemu, rozsądnemu pięknu - tak różnemu od innego piękna, gorącego i groźnego. W parę minut później wypłynął na powierzchnię.

- Gdzie pan zniknął? - usłyszał wystraszony głos Bernarda. Odwrócił

się. Chłopak stał po pas w wodzie. - Nie było pana tak długo! Myślałem...

Bernard martwił się o niego. Kiedyż to ostatni raz ktoś się o niego niepokoił?

- Przepraszam, stary - powiedział łagodnie. - Uczyłem się pływać tutaj, ale doskonaliłem swoje umiejętności na wyspach Polinezji. Nigdy nie potrafiłem zatrzymać oddechu na tak długo jak poławiacze pereł, ale mogę stawać w zawody z każdym Europejczykiem. Moi towarzysze przywykli

robić o to zakłady. - Przy czym zwykle stawką był trunek, ale Bernard nie musiał o tym wiedzieć.

- Był pan na wyspach francuskich? - spytał Bernard. - Nie pamiętam, żeby mi pan o nich pisał.

Avery wzruszył ramionami.

- Tylko przez miesiąc czy jakoś tak. Przystanek w drodze do Australii.

- Prawie wcale nie opowiadał pan o swoich przygodach, odkąd pan tu przybył.

- Hmm. - Avery podpłynął leniwie ku chłopcu. Niebo nad ich głowami zastygło w kłębiastych obłokach koloru kości słoniowej. Gdzieś 119



na pobliskim krzaku głogu śpiewał rudzik. Tak tu było pięknie... Takie wszystko było znajome i kojące. Pragnął tego - tego piękna, spokoju, tej prawdziwej angielskości. Bardziej niż cegokolwiek na świecie.

I ona też tego pragnęła.

- Nie ma potrzeby zanudzać kobiet moimi... jak to panna Bede nazywa moje reportaże? Aha, opowieściami przerośniętego dzieciństwa.

- Wspaniała jest, prawda?

- To nie jest określenie, którego bym użył, ale zgadzam się, że to wyjątkowa kobieta.

Nawet jeśli Bernard zauważył brak respektu w jego słowach, nie dał

tego po sobie poznać.

- Chyba nie mówiłem panu, jakie to cudowne, że pozwoli pan tu mieszkać pannie Bede, jeśli nie uda jej się odziedziczyć Mill House.

Mieszkać z Lily? Pod jednym dachem? Ta myśl niemal go sparali

żowała. .. do diabła, ta myśl go przerażała.

- Chwileczkę, Bernardzie. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek mówił, że ona może tu mieszkać...

- Ależ tak, mówił pan - upierał się Bernard. - Powiedział pan, że zadba pan o jej pomyślność. Nigdy w życiu nie wziąłbym pana za człowieka, który wykręca się od odpo...

- Nie kończ - rzucił Avery, wynurzając się z wody. Musiał oddać chłopakowi sprawiedliwość -

trwał przy swoim postanowieniu. Trochę przera

żony, ale trwał. - Powiedziałem, że zadbam o jej przyszłość, i zrobię to.

- Zadbać o przyszłość to nie to samo, co zadbać o pomyślność. Pomyślność oznacza szczęście, a jej szczęście jest tu, w Mili House. Ona kocha ten dom.

- Wiem o tym. I zrobię wszystko, aby panna Bede była zabezpieczona. .. i, owszem, szczęśliwa, chociaż ośmielę się zauważyć, że jeśli to ona odziedziczy Mili House, wątpię, czy zadba o moją pomyślność. Ja też kocham ten dom, o ile dotąd tego nie zauważyłeś.

- Cóż, wobec tego odpowiedź na pytanie, co powinien pan zrobić, jest prosta.

- O? - Avery uniósł ironicznie brwi. - Oświeć mnie, proszę.

- Powinien pan się z nią ożenić.

Lily wróciła późno, spędziwszy całe popołudnie w mieście na wyklócaniu się o rachunki za warzywa. Tłumacząc się bólem głowy, schroniła się w swoim pokoju i spędziła tam cały wieczór, desperacko usiłując wzbudzić w sobie obojętność wobec Avery'ego Thorne'a.

120

Nazajutrz rano splotła włosy w ciasny warkocz i zdecydowanym krokiem weszła do jadalni.

Avery'ego tu nie było. To dobrze. Tak czy owak, wołała go nie oglądać.

Francesca także była nieobecna.

Evelyn spojrzała ku niej ze swego miejsca obok fotela Polly Makepeace i uśmiechnęła się, kończąc nalewać przyjaciółce herbatę. Lily przyjrzała się Polly uważnie. Wyglądała zdecydowanie ładniej... bardziej swobodnie. Nawet miło.

- Dzień dobry, panno Bede. - Bernard zerwał się na nogi i odsunął

jej krzesło.

- Dziękuję, Bernardzie, ale ta ceremonia nie jest konieczna - powiedziała Lily, wślizgując się na swoje miejsce.

- Och, ale chodzi o to, panno Bede... To znaczy, nie lubię się pani sprzeciwiać, ale jako dżentelmen...

- Co się z tobą dzieje i z tym twoim kuzynem? - wybuchnęła Lily. -

Żeby chociaż był w tym naprawdę dobry! Hałaśliwy, apodyktyczny jak dyktator, bezceremonialny, szczerzy do bólu... Nie ma w sobie ani krzty łagodności, czaru czy choćby zwykłej uprzejmości!

Uniosła wzrok. Wszyscy patrzyli na nią oszołomieni.

- A co, może jest uprzejmy? - dodała.

- O kim pani mówi, panno Bede? - spytała Polly.

Lily gwałtownie rozłożyła serwetkę.

- O Averym Thornie! A o kim by innym? - Cisnęła do filiżanki parę kawałków cukru i gwałtownie zamieszała.

Evelyn i Polly wymieniły spojrzenia. Bernard sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skonfundowanego, jeśli w ogóle było to możliwe.

Drzwi od kuchni otworzyły się i weszła Merry. Dysząc, popychała przed sobą wózek. Bez zbędnych ceregieli zaczęła wystawiać na stół półmiski z plasterami szynki i bekonu, jajecznicą, wędzoną rybą, potem koszycki pełne biszkoptów i bułeczek, wreszcie dymiącą wazę z owsianką.

Wszystko to dla Avery'ego Thorne'a. A on nawet nie raczył przybyć, żeby to docenić, niewdzięcznik!

- Przypomnij mi, Merry, żebym porozmawiała z panią Kettle na temat ilości pożywienia, jakie ostatnio przygotowuje.

- Ale panno Bede... Tacy chłopcy jak panicz Bernard - spojrzała szelmowsko na chłopaka, który ze zdumieniem wpatrywał się w jej wystający brzuch - oraz tacy mężczyźni jak pan Avery muszą dużo jeść, żeby urosnąć.

- Bernard być może tak, ale pan Avery, mam wrażenie, urósł już wystarczająco - rzekła Lily.

121

- Co racja to racja! - westchnęła z entuzjazmem Meny i zaczęła nalewać Bernardowi owsiankę do talerza. - Wczoraj wieczorem przez trzy piętra niósł Kathy do jej pokoju, jakby to ona była dzidziusiem, a nie ten berbec w jej brzuchu!

- Niósł ją przez całą drogę aż na strych? - spytała Evelyn.

- No! Przechodził obok, a ta dziewczka przewróciła się jak głupia krowa, no to zaniósł ją do jej pokoju, a ona cały czas szczyrzyła zęby, całkiem jak pijak, kiedy dostanie dzban do ręki - powiedziała Merry z niesmakiem.

- I jeszcze - Lily czuła satysfakcję, że udaje jej się zachować w pełni spokojny głos - przypomnij mi, żebym porozmawiała z tobą, Kathy, i Teresą o tej dziwnej niezdolności do utrzymania pionowej postawy w obecności mężczyzny!

- W porządku. - Merry skinęła z roztargnieniem głową i zwróciła się z powrotem do Evelyn: - A pamięta pani ten wielki stół w kuchni?

Ten z marmurowym blatem, co to zawsze obija się o niego pani Kettle, bo stoi za blisko drzwi?

- Tak. A co z nim? - spytała Evelyn.

- Pan Thorne przesunął go niemal jednym palcem. - Przechyliła się przez ramię Bernarda i zaczęła polewać jego owsiankę melasą. - Ale to jeszcze nie wszystko. Pamięta pani to wielkie kolorowe okno w szczytowej ścianie pod dachem?

- I owszem - powiedziała Francesca, wchodząc do pokoju. - Obawiam się, że to jedna z niewielu rzeczy w tym domu, mająca jakąś wartość architektoniczną.

Bernard zerwał się na nogi i odsunął Francescę krzesło. Usiadła.

- Czy to okno jest naprawdę cenne? - spytał, wracając na miejsce.

- Tak sędzę - odparła Francesca. - Ale żeby ten wyraz sknerstwa nie został ci na zawsze na twarzy, pamiętaj, że Mill House wraz z zawartością dostanie się albo Lily, albo Avery'emu. Ty nigdy nawet nie stawa

łeś do wyścigu.

- Wiem. Byłem po prostu ciekaw, dlaczego zaprojektowano kosztowne okno w zwykłym farmerskim domu.

- Chyba na pokaz - Francesca uśmiechnęła się czule do Bernarda. -

Ale, ale... co z tym witrażowym oknem, Merry?

- Pan Avery je umył.

- Co takiego? - spytała Lily.

Merry, dodając Bernardowi śmietany do owsianki, skinęła głową.

- Spuścił się z dachu na linie. Powiedział, że nauczył się tej sztuki w Hi... Hima... lajach. No, proszę jeść, paniczu Bernardzie - poklepała go przyjacielsko po ramieniu.

122

- Ryzykant! - krzyknęła ze złością Lily. - Mógł sobie coś złamać, zabić się... Żeby zrobić coś tak głupiego!

- Jestem pewna, że Avery przeżył bardziej niebezpieczniejsze przygody niż mycie okna, Lily - powiedziała Francesca.

- A zresztą, kto oprócz niego mógłby to zrobić? - zauważyła Evelyn, odrywając się na chwilę od rozmowy z Polly Makepeace.

Teraz do akcji włączyła się Polly.

- Gdybym nie siedziała unieruchomiona w tym kokonie, z rozkoszą sama bym wam umyła to okno. Nie ma powodu, by kobieta nie mogła zwisać na linie dokładnie tak samo jak mężczyzna.

- Jestem pewna, że potrafi pani zrobić wszystko, co zechce - powiedziała Evelyn i uspokajająco poklepała Polly po ręce. Lily spojrzała na nią ze zdumieniem. Myślała, że Evelyn nie cierpi Polly Makepeace, a tu ostatnio te dwie trzymały się razem jak papużki nierozłączki.

- Zgadzam się z panną Makepeace - powiedziała Lily. - Wszystko, co jest tu do zrobienia, jesteśmy w stanie zrobić same, my albo służba.

Podejrzewam, że Avery Thorne próbował mi po prostu pokazać, o ile lepiej byłoby, gdyby to on zarządzał Mili House, a nie ja. W porządku -

oczy jej się zwęziły - niech pokazuje.

Spojrzeła na zegar. Robiło się późno. Być może uda jej się nie spotkać Avery'ego Thorne'a przez kolejny dzień... Ale nie, lepiej mieć to za sobą. To był zwykły pocałunek. Oczywiście wytrącił ją z równowagi i, trzeba przyznać, spędziła zbyt wiele godzin na przywoływaniu go w pamięci - dotyku jego warg, mięśni twardniejących pod jej dłońmi, żaru jego oddechu... - ale jednak to był zwykły pocałunek...

Odchrząknęła.

- Można by się spodziewać po dżentelmenie, że zatroszczy się o to, żeby nie sprawiać służbie kłopotu, i nie będzie spóźniał się na posiłek.

- Pyta pani, gdzie jest pan Thorne? - podchwyciła Polly.

- Nie - odparła Lily. - To było zwykłe stwierdzenie faktu. W najmniejszym stopniu nie obchodzi mnie, gdzie przebywa pan Thorne, byleby tylko nie dezorganizował mi życia w domu.

- On niczego nie dezorganizuje, bo go tu nie ma - pisnęła Merry. -

Wyjechał.

-O?

Lily czuła jakby leciała w przepaść, o której istnieniu nie miała pojęcia, pograżając się w bolesnej ciemności. Czy budziła w nim taki niesmak, że nie był już w stanie mieszkać z nią dalej pod jednym dachem?

- Wyjechał na dobre? - szepnęła.

- Och, nie - powiedziała Merry, zabierając talerz Bernarda i idąc dalej, by uprzątnąć nakrycie Evelyn. - Po prostu pojechał na parę dni do Londynu, do krawca. Każdy widzi, że potrzebne mu jest parę nowych rzeczy. W tych, które nosił do tej pory, poszły wszystkie szwy, gdy dźwigał mnie i Teresę.

Pojechał do Londynu. Do krawca. Zapomniała... Z trudem uspokoiła oddech, choć nie potrafiła ukryć ulgi, jaką poczuła, i radości, która wypełniła jej serce.

Dobry Boże... Musi zapanować nad tym uczuciem. Avery chce jej zabrać Mill House - ten Mill House, o który walczyła, dla którego pracowała, bo tylko to mogło zagwarantować jej przyszłość, jej bezpieczeństwo... jej niezależność.

- Strasznie jesteś przygnębiona, moja droga - zauważyła Francesca.

- Czy mogę już odejść od stołu? - spytał Bernard.

- Ależ naturalnie - odparła Evelyn. Bernard cisnął serwetkę i ruszył

do wyjścia. W drzwiach zderzył się z Teresą. Musiał się zatrzymać, bo jej wielki brzuch niemal nie mieścił się w przejściu.

- Och, panienko! - jęknęła dziewczyna. - Zdarzyło się coś strasznego. Ta chińska waza, ta co stoi w salonie... Ktoś ją stłukł! Rozleciała się na tysiąc kawałeczków... To nie ja, panienko, przysięgam, że to nie ja!

- Ja też nie! - natychmiast dodała Merry.

- Dość tego - rzekła Lily. - Nie dbam o to, kto stłukł wazę. Ostatecznie nie ma to większego znaczenia.

- Och, Lily! - łzy trysnęły z bladych oczu Evelyn. - Waza z Sevres jest warta setki, setki funtów! Zarząd banku ma listę aktywów Mill House.

Zażądają, żebyś kupiła nową, zanim zaczną podliczać plusy i minusy twojego nadzoru. Jak będziesz mogła sobie na to pozwolić?

Lily spokojnie wstała. Lepiej będzie, jak dopilnuje sprzątnięcia bałaganu w salonie, bez względu na to, kto stłukł wazę.

- To nie jest waza z Sevres - powiedziała. - Parę lat temu, kiedy Bernard po raz pierwszy odwiedził Mili House, zamówiłam kopię u miejscowego rzemieślnika. Prawdziwa waza z Sevres stoi w piwnicy od prawie pięciu lat.

Powiodła wzrokiem po ogłupiałych twarzach.

- Biorąc pod uwagę dawną skłonność Bernarda do przewracania przedmiotów i tłuczenia szkła - z której, dzięki Bogu, wyrósł - każde inne rozwiązanie byłoby nierozsądne. Mam wiele wad, ale głupia

nie jestem.

Może wyłączając sprawę Avery'ego Thorne'a - szepnął urągliwie cichy głos.

124

16

O

wca cuchnie. Nie tak jak, dajmy na to, leniwiec, pomyślał Avery, ale prawie. A mokra owca cuchnie nawet bardziej od mokrego leniwca.

Nie pomogły zimne kąpiele, nie pomogło krzątanie się wokół domu i wyjazd do Londynu, gdzie spędził dwa wieczory w towarzystwie, które zdawało się być wprost zachwycone jego obecnością - zwłaszcza kobiety, szczególnie niejaka wicehrabina Childes. Skoro jednak postanowił, zrobi wszystko, by wyrzucić Lily Bede ze swoich myśli.

Złapał wpół ogromną owcę i rzucił ją z pomostu na głębszą wodę.

Miotła się dziko. Wzburzone brązowe fale zalewały przybrzeżne łopiany i pędy jeżyn. Obok niego inny mężczyzna puścił swoją brankę i pchnął ją ku odległemu brzegowi oraz pastwisku, które czekało jako nagroda.

Drummond stał na posterunku, bacznie oglądając każdą wyłaniającą się z wody owcę. Od czasu do czasu, na przemian klnąc i chichocząc, spychał nieszczęsną ofiarę z powrotem do rozfalowanego stawu.

- Ty, Ham! - wrzasnął. - Ta owca jest bardziej utyłana niż szpunt twojego dziadka! Cob, masz umyć tego barana, a nie go topić! A pan, paniczu Thorne -jego głos zamienił się w świszczące skomlenie - wybaczy pan, sir, ale czy nie byłby pan uprzejmy bardziej ruszyć swój błę-

kitnokrwisty tyłek? Mamy pięćset owiec do umycia!

Avery puścił owcę i złapał następną, o zdumionym wyrazie pyska, która ślizgała się na błotnistym brzegu. Wepchnął ją do wody i zanurzył

ręce w wełnie.

Graż. Cały był umazany tym świństwem... Na ramionach, na piersiach, nawet na twarzy. Spodnie miał porwane w strzępy ostrymi kopytami; koszulę, którą starannie rozwiesił na krzaku, zjadła niemal do ostatniego skrawka jakaś owieczka. A buty - jego wspaniałe, zrobione na zamówienie, marokańskie skórzane buty, w których przewędrował obie półkule - nie wytrzymały pięciogodzinnej kąpieli w brudnej wodzie.

Owca miotała się gwałtownie, ale Avery trzymał ją z uporem. Bola

ło już go z wysiłku całe ciało. Napięte mięśnie paliły, w głowie szumia

ło, a jednak każdej nocy, gdy padał wyczerpany na łóżko, nadal tańczyła mu przed oczami panna Bede. Lśniące czarne sploty prześlizgiwały się między jego drżącymi palcami... I to wspomnienie jej ust...

„Powinien pan się z nią ożenić!” - wciąż słyszał głos Bernarda.

Ożenić się z Lily Bede? Szaleństwo. Musiałby zrezygnować z jakiegokolwiek wyobrażenia o wygodnym, spokojnym, sielankowym 125

szczęściu. Szczęście z Lily Bede było niemożliwe. Choć, trzeba przyznać, istniała szansa jakiejś rekompensaty...

O czym on, do diabła, myśli? To, że jakiś chłopak uczynił śmieszna sugestię, nie oznacza jeszcze, że trzeba się nad nią zastanawiać.

Owca wykręciła się gwałtownie. Błoto zbryzgało mu twarz.

- Auuu! - Puścił zwierzę, klnąc na całe gardło.

- Całkiem często pan klnie jak na dżentelmena - dał się słyszeć kobiecy głos.

Powinien był wiedzieć o jej nadejściu. Coś powinno go ostrzec -

może pioruny albo świerszcze, które nagle zamilkły, albo podmuch wiatru. Wydawało się niezrozumiałe, aby natura mogła stworzyć tak potężnie stymulującą siłę i nie ostrzegać równocześnie słabszych istot o jej zbliżaniu.

Spojrzał w górę, mrużąc oczy. Stała na brzegu, otoczona spokojnie pasącymi się owcami. Wsparłszy ręce na biodrach, przytupywała z irytacją nogą. Na tle ciemniejącego nieba wyraźnie rysowała się jej sylwetka w śmiesznej męskiej białej koszuli i bufiastych spodniach; krągłość biustu i bioder odcinały się od kobaltowej barwy chmur, gromadzących się na horyzoncie. Jego ciało naprężyło się.

Pioruny byłyby zbyt słabym ostrzeżeniem - raczej ptaki powinny spadać z nieba.

- Co pani tu robi? - spytał, aż nazbyt świadomy, że tors ocieka mu czerwonym mułem i takie samo śliskie błoto pokrywa twarz. Przewidując następną rundę ich walki, zaczął powoli brnąć ku brzegowi.

- Co ona tam robi? - zawtórował Drummond z przeciwległego brzegu. Zerwał z głowy kapelusz i uderzył się nim ze złością w udo. - To nie jest, psiamać, jakiś piknik, panie Thorne! Niech pan lepiej

szybko odeśle swoją kobietę tam, skąd przysła!

Avery skrzywił się. Rzecz jasna, Lily również spojrzała z wściekło

ścią na Drummonda. Lekkie podrygiwanie stopą zmieniło się w pojedyncze, wyraziste tupnięcie.

- Po pierwsze, panie Drummond, nie jestem niczyją kobietą. Po drugie, nie przyszedłam tu z obiadem!

- W takim razie niech się pani stąd zabiera - powiedział opryskliwie Drummond. - Najpierw suszy mi pani głowę, żebym mył owce, a jak się staram zrobić to jak najlepiej, to papie mi tu pani, odrywa ludzi od roboty... Nic tylko kłopoty z panią, jak zwykle...

- Zamknij się, Drummond - rzekł Avery.

Zamiast posłania mu pełnego wdzięczności spojrzenia, Lily nachmurzyła się.

126

- Nie potrzebuję pańskiej pomocy, panie Thorne. Sama dam sobie radę - i pan Drummond też.

- Nie ma pani zamiaru iść? - spytał Drummond.

- Nie! - odkrzyknęła Lily.

- W takim razie ja idę. Przerwa na obiad, chłopaki! Teraz, zaraz! -

Drummond uniósł prowokująco głowę.

Jak to jest, kiedy twój autorytet nieustannie ktoś kwestionuje albo -

jeszcze gorzej - otwarcie neguje? - pomyślał Avery, nie mogąc stłumić współczucia na widok pobladłej twarzy Lily. On też przeżywał kiedyś ból spowodowany brakiem szacunku, ignorowaniem jego opinii i propozycji, bo był fizycznie niezdolny do wzbudzania respektu u innych ludzi.

Rzecz jasna, robotnicy, nie spojrzawszy nawet na Lily, ich prawdziwego pracodawcę, puścili owce i zaczęli wchodzić na groblę, kierując się ku odległej kępie drzew na skraju łąki. Tam, w cieniu, stały ich pojemniki z obiadem.

Drummond kroczył niczym zwycięski król w otoczeniu dworu. Swobodny krok i beztraska postawa wyraźnie świadczyły, że uważa się za zwycięzcę w tym starciu. Lily patrzyła, jak idzie, niezdolna ukryć złości i rozczarowania. W końcu zwróciła spojrzenie z powrotem na Avery'ego. Z uniesionym jeszcze wyżej podbródkiem - niech nie waży się okazać jej współczucia! - gotowa była do następnej potyczki z kolejnym przeciwnikiem. Cóż, on także wiedział, co to duma.

Nagle nie pragnął już walki.

- Lily - wyciągnął rękę.

Spojrzała na niego z góry takim wzrokiem, jakby proponował jej kąpiel w błocie.

- Lily - spróbował jeszcze raz, starając się mówić cicho i łagodnie.

Widział, że lekko drży.

Odstąpiła krok do tyłu.

- Przyszłam panu powiedzieć, że ma pan gości.

- Jakich gości?

- Panny Camfield, którym zdarzyło się przechodzić obok z ich drogą przyjaciółką wicehrabiną Childes, którą poznał pan w Londynie, i jej z kolei drogą przyjaciółką, panną Highbridge, oraz jej bratem, Ethanem Highbridge - pana znajomym z Harrows.

-O?

- Tak. Panu Highbridge okropnie, po prostu okropnie zależy na tym, żeby mógł gościć pana u siebie. On i inne chłopaki organizują spotkanie w przyszłym tygodniu.

Avery spojrzał na nią zmrużonymi oczyma.

127

- Nie pamiętam żadnego Highbridge'a. Gdzie on mieszka?

Lily wskazała niedbale południe.

- Parę kilometrów od Camfieldów. Zostałam poinformowana, że dom jest piękny i doskonale wyposażony. Na żadnym meblu nie ma nawet śladu kurzu.

- Ach tak? - powiedział, próbując się upewnić, o co jej chodzi. - Ja jestem całkowicie szczęśliwy w Mili House. Ze śladami kurzu i całą resztą.

Z rozmysłem pozwoliła sobie błędzić wzrokiem po jego ubłoconym ciele.

- Rozumiem.

- A to co ma znaczyć?

- Tylko tyle, że może pan zarówno spokojnie przyjąć zaproszenie, jak i zaniechać dalszych demonstracji swej męskości. Oczywiście próby udowodnienia, o ile lepiej byłoby, gdyby to pan był właścicielem Mill House, nie robią wrażenia na nikim poza panem.

- Jakie próby?! - wybuchnął.

- Wszystkie te działania, które pan podejmuje - podniosła głos, schodząc na sam brzeg. - Proszę nie sądzić, że nie wiem, co pan robi.

Merry i Teresa, i Kathy, i Bernard są każdego dnia karmieni opowieściami o pańskich gimnastycznych wyczynach. Nie wycofam się z prowadzenia Mili House tylko dlatego, że udała się panu wspinaczka na okno, że przestawił pan parę mebli i wyrzucił ze stawu kilka szufli mułu...

- Chwileczkę! - Nie miał pojęcia, o co ona go oskarża... Wiedział

tylko, że jeśli to panna Bede odziedziczy Mill House, cała ta harówka, jaką włożył w dom, ostatecznie pójdzie na jej konto. A tu zamiast nale

życie ocenić ten wysiłek - nie mówiąc już o męstwie, z jakim zwyciężył

brud - ona go gani! - Parę szufli? - wykrzyknął. - Wyrzuciłem chyba ze dwie tony tego świństwa!

- Wygląda pan, jakby większość miał na sobie.

Wziął głęboki, bardzo głęboki oddech.

- Jest pani niewdzięczną, złośliwą jędzą, panno Bede.

Ku jego zdumieniu, zaledwie wypowiedział te słowa, dolna warga Lily zaczęła drżeć, a jej zaskakująco ciemne tęczówki zrobiły się wręcz czarne za zasłoną wilgoci. Przez jedną straszną chwilę myślał, że się rozplacze. Zaraz jednak opanowała emocje.

- A pan, panie Thoraie, jest hałaśliwym, niechlujnym, apodyktycznym gburem i z pewnością nie jest pan dżentelmenem!

Zanim był w stanie odeprzeć ten zarzut, odwróciła się szybko i ...wpadła na stojącą za nią owcę. Zaskoczony zwierzak rzucił gwał-

128

townie ogromnym zadem, zbijając Lily z nóg. Runęła głową naprzód z urwistego gliniastego brzegu i z głośnym plaśnięciem wylądowała w wodzie. Zniknęła w mętnej toni.

Nie wyływała. Czekał. Parę sekund w zimnej, brudnej wodzie poprawi jedynie jej kondycję.

Wciąż nie wyływała. Westchnąwszy, ruszył z pluskiem ku miejscu, w którym zniknęła, i zaczął macać w wodzie, dopóki nie natrafił na jej głowę, kark, wreszcie plecy. Odchrząknął, chwycił ją za kołnierz i wyciągnął na wierzch. Ociekająca wodą, oblepiona niemal całą belą ciężkiego materiału, z którego uszyto jej spodnie i koszulę, ważyła na pewno sporo.

- To nie fair chować się na dnie stawu - powiedział.

- Wcale się nie chowałam - odparła. - Nie mogłam znaleźć oparcia dla stóp i... a w ogóle proszę zabrać ręce!

- Z przyjemnością - puścił ją. Poszła na dół jak tona cegieł. Nasią-

kłę wodą spodnie wydeły się przez chwilę niczym żagiel, po czym pociągnęły ją z powrotem pod powierzchnię. Tym razem policzył do pięciu, zanim zaczął jej szukać w mętnej wodzie.

Nie było jej.

Zanurkował, trafiając rękami w dno, i zaczął zataczać ramionami wielkie koła. Spróbował otworzyć oczy, ale muł kłuł go i oślepiał. Krą

żył, zataczając szybkie, coraz większe koła. Był pod wodą pół minuty.

Minutę.

Panika mąciła mu umysł. Opanował ją wysiłkiem woli, starając się koncentrować na kolejnym ruchu, kolejnym zamachu ramion. Natrafił

na gąszcz nenufarów i zaczął na ślepo przeszukiwać go jak szalony. Jeśli niechcący wpłynęła między nenufary, mogła zostać złapana w sieć o wiele mocniejszą niż rybacka... i utonąć.

Och, nie!

Półtorej minuty... Przez palce prześliznęło się coś jedwabistego.

Włosy. Sięgnął w dół, w chwili gdy jej ramiona uniosły się w słabej walce.

Bogu dzięki.

Na ślepo przesunął rękami po jej ciele, szybko natrafiając na sieć łądyg, które owinęły się wokół jej torsu. Niezdarnie usiłowała mu pomóc, kiedy rozrywał splątane nenufary. Wreszcie, wysliznęła się z ich śmiertelnego uścisku. Chwycił ją pod ramiona i jednym, silnym rzutem wypchnął na powierzchnię.

Wypłynęła, dławiąc się i młócąc rękami. Zapętlil ramię wokół jej talii. Wiergąta słabo, wciąż się krztusząc, drżąc z zimna, gdy holował

ją ku brzegowi.

9 - Mój najdroższy wróg

129

Skoro tylko stopy uderzyły w muliste dno, zagarnął ją w ramiona i poniósł na łąkę. Padł na kolana i opuścił ją na trawę. Oddychała chrapliwie, ostro. Oczy miała zamknięte.

Mokre kosmyki włosów przylgnęły do twarzy. Odsunął je delikatnie, przyglądając się jej baczenie z rosnącą troską. Czy zemdląca?

Unióś biodra i wyciągnął się na niej delikatnie, ujmując dłońmi jej twarz. Ostrożnie usunął muł z

warg, policzków i nosa. Powieki zatrzepotały i otworzyły się. Czarne jak węgiel tęczy wpatrywały się w niego, nieodgadnione, dziwnie spokojne. Jego wyostrzone zmysły rejestrowały wznoszenie się i opadanie piersi, ich kształt, tak wyrazi

ście uwydatniony przez śliskie błoto, jakby były nagie, dotyk bioder w zagłębieniu jego ud, bezbronność otwartych dłoni odrzuconych nad głową...

Nagle zapragnął gorąco tego ciała. Pożądanie przeszło go z bolesną wprost siłą. Lily wyszeptała coś tak cicho, że nie dosłyszał. Pochylił

niżej głowę. Wzrok prześliznął się po zgrabnej, wilgotnej szyi i zatrzymał na pełnych czerwonych wargach.

Z trudem łapał oddech.

- Co? - zdołał wyszeptać chrapliwie. - Co pani mówi?

- Pytam, czy zamierza pan „strzelić z nienacka” właśnie teraz - powiedziała ledwie dosłyszalnie.

Szarpnął się w górę i stoczył z niej na ziemię.

Lepiej by się stało, pomyślała Lily, patrząc, jak twarz Avery'ego traci nagle wyraz, gdyby w jej głosie nie było tyle nadziei. Ale kiedy otworzyła oczy i zobaczyła tak blisko jego usta, zapragnęła, by...

Znowu zamknęła oczy. Upokorzenie, że musiała zostać uratowana przez Avery'ego Thorne'a, stłumiło jej pragnienie. Chciała tylko dać mu nauczkę, pokazać, jak doskonale pływa, kiedy ją wypuścił z rąk. Zanurkowała więc, zamierzając wynurzyć się z szyderczym triumfem po przeciwnej stronie stawu. Musiała jednak zmylić kierunek w mętnej wodzie i trafiła w płataninę nenufarowych korzeni.

Zerknęła na niego spod półprzymkniętych powiek. Siedział obok niej, z jedną ręką nonszalancko przerzuconą przez kolano. Można by pomyśleć, że po prostu podziwia krajobraz, gdyby nie poruszające się w napięciu mięśnie szczęk i szyi.

Właściwie inne mięśnie też poruszały się miarowo - bicepsy pod warstwą śliskiego błota, mięśnie brzucha pod lśniąca, opaloną skórą...

Avery wyglądał jak ożywający na jej oczach piękny posąg z brązu. Ten widok zapierał dech.

- Dziękuję - powiedziała.

130

Nawet nie odwrócił głowy, by na nią spojrzeć. Żyła, a to znaczyło, że spełnił swój obowiązek. Zamiast odpowiadać wstał, z rozmysłem odwracając się do niej plecami. Postąpił krok, ale zawahał się i spojrzał na przeciwległy brzeg. Ona też zwróciła tam oczy.

W oddali zaczęli się już podnosić robotnicy.

- Proszę pozwolić, żebym pani pomógł - Avery wyciągnął ku niej rękę.

Zignorowała ten gest, usiłując podnieść się na kolana. - Chyba... chyba mógłbym zanieść panią do domu, jeśli nie może pani iść - powiedział.

Nie mógł jej zrobić bardziej obraźliwej propozycji. Miałby jej dotykać? Miałby ją nieść? Jak Merry, Teresę, Kathy i Bóg wie ile jeszcze kobiet w tym domu?

Choć bardzo tego chciała - Bóg jeden świadkiem jak bardzo! - nie zniży się do takiego podstępu, nie skorzysta z okazji. Ma jeszcze w sobie dumę.

- Nie - powiedziała i potrzęsnęła głową.

- Niech pani nie będzie nierozsądna - nachylił się nad nią zdecydowanym ruchem.

- Nie! - odepchnęła jego rękę.

- Doskonale - warknął. Nie patrząc więcej na nią, ściągnął z pobliskiego krzaka koszulę i postąpił o krok. Nagle zatrzymał się. Zamarł.

- Niech to wszyscy diabli! - szepnął pod nosem, a potem obróciwszy się na pięcie, nachylił się, chwycił ją za ramiona i postawił szarpnięciem na nogi.

Jego usta spadły na jej wargi niczym jastrząb na gołębia.

W porównaniu z tym ich poprzedni pocałunek wydawał się braterski.

Stanąwszy w rozkroku, opasał ją ramionami i przygniótł do siebie ze stalową siłą, tak że jej biodra wsparły się bezradnie o jego szeroko rozstawione uda. Język wtargnął między jej wargi, pieszcząc je zmysłowo, cudownie.

Nigdy dotąd nic nie wydawało się równie wspaniałe... Otworzyła szerzej usta, pozwalając, by jego język splątał się w namiętym, szalonym tańcu z jej własnym. Na plecach czuła jego dłonie, przesuwane po nich w zaborczej pieszczocie. Desperacko zapragnęła objąć go i pieścić tak samo. Przysunęła się bliżej...

Nagle była wolna. Niemal odepchnął ją od siebie. Przez moment stał z nią twarzą w twarz, oddychając ciężko, z tymi niezwykłymi oczami lśniącymi spod rzęs.

- Rachunki wyrównane - powiedział. Złapał koszulę, odwrócił się i ruszył przez pole w kierunku Mill House.

Oszołomiona patrzyła, jak odchodzi. Wiązka słonecznych promieni, padających ukośnie zza skłębionej burzowej chmury, rzucała blask na jego

tors, podkreślając każdy szczegół długiego smukłego ciała, każde ścięgno, każdy fałd skóry, wyrzeźbione mięskami plecy, jędrne pośladki...

Spojrzała w dół i z przerażeniem zamknęła oczy. Mokra, zabłocona koszula wystawiała na widok publiczny jej własne ciało. Czy ktoś...

Rozejrzała się błyskawicznie.

Mężczyźni wracający z obiadu byli w połowie drogi do stawu. Zakłęła, wygramoliła się na równe nogi, płacząc się w fałdach ciężkiego od błota materiału, i potykając się ruszyła w ślad za Averym. Gdyby go dogoniła, mogłaby okryć się chociaż jego koszulą.

- Avery! Niech pan poczeka! Niech pan poczeka, mówię! - zawołała i obejrzała się przez ramię na przyglądających się jej ciekawie robotników.

Avery nadal pruł powietrze wielkimi krokami, ona zaś nadal za nim biegła.

- Poczekaj! - krzyknęła, słysząc w tyle śmiechy i gwizdy.

Nawet nie zwolnił kroku. Ten pocałunek... to był jego strzał znienacka. Jego rewanz.

Zbliżyła się do domu. Zamierzała obejść budynek dookoła i skorzystać z tylnego wejścia przeznaczonego dla służby. Wtem stanęła. On się nigdy nie może dowiedzieć, ile ten pocałunek dla niej znaczył. Bo dla niego z pewnością nie znaczył nic. Tyle innych kobiet całował w swoim życiu... Nie wolno mu podejrzewać, że to, co miało stanowić dla niej karę, w istocie było czymś wspaniałym, pięknym.

Nie będzie się wślizgiwała ukradkiem przez tylne wejście, jak jego kochanka... jakby zrobiła coś złego.

Pomaszerowała ku drzwiom frontowym, weszła i pchnęła je za sobą śmiałym, zdecydowanym ruchem. Zatrzasnęły się głośno. Uśmiechnęła się ponuro i w tym samym momencie drzwi zawibrowały od gwałtownego uderzenia i trzasku.

Zaniepokojona otworzyła je znowu, by zobaczyć, co się stało. Na granitowych stopniach leżały tysiące odłamków lśniącego kolorowego szkła pozostałości po witrażowym oknie.

to funtów? Tylko tyle? - Francesca pociągnęła łyk porto i z powrotem odchyliła głowę na oparcie otomany.

- Tak powiedział szklarz - odparła Lily ze swego głębokiego, mocno wypchanego fotela naprzeciwko Franceski.

132

Płomyki stojącego pomiędzy nimi kandelabru zamigotały od nagłego przeciągu. Na ścianach salonu zatańczyły niespokojne cienie. Burza, na którą zbierało się cały dzień, nadeszła w końcu, odcinając dopływ prądu. Brak światła sprawił, że Evelyn, Polly, Bernard i Avery udali się do swoich oddzielnych apartamentów zaraz po kolacji.

Lily, nie mając ochoty pozostawać w swoim pokoju sam na sam z my

ślami, postanowiła spędzić wieczór w salonie, gdzie Francesca sączyła powoli podane do kolacji wino. Niedawno napoczęła już karafkę porto.

Nagle parsknęła z rozbawieniem.

- Nic dziwnego, że Horatio nie wyrwał go ze ściany i nie sprzedał, żeby mieć na życie.

- Bogu dzięki, że nie był bardziej kosztowny - zauważyła Lily. -

Sto funtów jakoś zdobędę. Z tysiącem byłby kłopot.

Okiennice uderzyły z łomotem o ścianę w kolejnym podmuchu wichury. Francesca uniosła głowę, nasłuchując zawodzenia wiatru w kominie, po czym sięgnęła po kryształową karafkę.

- Kiedy te bankowe sępy zaatakują i zaczną podliczać twój kapitał?

- Za sześć tygodni.

- Dasz sobie radę? - spytała Francesca, nalewając do kieliszka solidną porcję porto.

- Jeśli nie zdarzy się nic niepomyślnego. Tylko dwie potencjalne katastrofy w ciągu tylu dni skłaniają raczej do wiary w łaskawość bogów.

- Zastanawiam się - Francesca przechyliła kieliszek i pociągnęła długi haust - czy te zdarzenia to naprawdę kwestia przypadku. A jeśli ktoś celowo stłukł wazę i roztrzaskał okno?

Lily potrząsnęła głową. Burza, ciemności i odurzenie trunkiem podsuwały tej kobiecie niestworzone pomysły... Lily widziała już wcze

śniej, jak Francesca potrafi rozwinąć swoją wyobraźnię - zwłaszcza kiedy wpada w sentymentalny nastrój.

- A jeśli ktoś z rozmysłem stłukł wazę, a potem zakradł się na strych i poluzował ramę okna, tak żeby jeden porządny wstrząs, powiedzmy odgłos burzy albo nawet trzaśnięcie drzwiami, spowodował katastrofę?

- powiedziała w zadumie Francesca.

- Dlaczego ktoś miałby robić coś podobnego? - spytała przytomnie Lily. - Kto w ogóle miałby do tego powód?

- A jak myślisz? - spytała Francesca.

- Avery Thorne? - szepnęła z niedowierzaniem Lily i zaraz wybuchnęła śmiechem.

- Absolutnie nie miałam go na myśli - oburzona Francesca osunęła się głębiej w fotel, przyciskając do piersi kieliszek. Chytry, konspiracyjny 133

uśmiezek przebiegł jej po twarzy. - Niemniej jednak Avery Thorne, na wypadek, gdyby udało ci się o tym zapomnieć, jest żywo zainteresowany, aby wydatki znacznie przekraczały twoje zdolności płatnicze. Być może powinnaś się z nim rozmówić.

Lily usiłowała nie roześmiać się ponownie - ostatecznie Francesca mia

ła na uwadze jej najlepiej pojęty interes - ale nie zdołała się powstrzymać.

- Wybacz, Francesco, lecz pomyśl, że Avery Thorne gdzieś się zakrada, jest absurdalny. On nie mógłby tego zrobić niezauważony. Nawet gdy po prostu idzie korytarzem, aż trzęsą się podłogi... Poza tym zakradanie się nie jest doprawdy w jego stylu.

Podniosła dłoń, by powstrzymać słowa protestu, które najwyraźniej cisnęły się Francesce na usta.

- Nie przeczę, że Avery Thorne ma doskonały motyw, żeby demolować ten dom, ale gdyby zdecydował się stłuc okno po to tylko, by odziedziczyć Mill House, mógł po prostu złapać pierwszy lepszy mebel i cisnąć nim w szybę.

- Hmm... Mimo wszystko nadal myślę, że powinnaś z nim otwarcie porozmawiać.

- Teraz? W środku nocy? - spytała Lily. Myśl o Averym Thornie i ciemnościach powodowała napływ zakazanych grzesznych myśli... -

To nie jest odpowiednia pora. A poza tym, mówię ci, Avery Thorne nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Francesca potrząsnęła głową, wzdychając impulsywnie.

- Cóż za zaufanie... Cóż za wiara w honor mężczyzny. Ja nie bywam tak naiwna.

- Znam temperament tego mężczyzny - zapewniła ją Lily.

- I jego serce? - podsunęła Francesca.

Słowa te otrzeźwiły Lily. Nie wiedziała nic o sercu Avery'ego Thorne'a... Znała jedynie własne

serce. Pocałunek zburzył jej spokój i podsycił zmysłowość, której istnienia nawet w sobie nie podejrzewała -

a może i czegoś jeszcze bardziej niezwykłego.

Toczyła z góry przegraną walkę ze swoim zaślepieniem - tyle że nie była pewna, czy można to nadal nazywać zaślepieniem. Jediną jej obroną przed Averym była obecnie obojętność z jego strony oraz agresywna, zaborcza męskość - coś, co w równym stopniu fascynowało ją i oburzało.

Jak to jest - być tak pewnym siebie, tak niezmiennie przekonanym o własnej racji, tak nieugiętym i spokojnym o swoje miejsce w świecie?

Kto mógłby oprzeć się takiej sile? Westchnęła. Wtem spostrzegła, że i Francesca przygląda się jej z ukosa.

- Jesteś romantyczką, Francesco - powiedziała.

134



- Czyżby? - Francesca uśmiechnęła się krzywo.

- Owszem. A w tej chwili nawet zmęczoną romantyczką- dodała Lily.

Francesca uniosła kieliszek pod światło. A potem długo wpatrywała się poprzez jego ścianki w płomyk świecy, jak gdyby kryła się w nim tajemnica wszechświata.

- Czemu nie idziesz do łóżka?

- A ty? - odparła nieobecny tonem Francesca.

Lily wstała.

- Bo mam księgi do zbilansowania, rachunki do zapłacenia i czeka mnie żonglerka liczb.

- A ja mam przeszłość do zbilansowania, długi do zapłacenia i czeka mnie żonglerka wspomnień. - Spojrzała przelotnie na Lily. - Być przegraną romantyczką to kiepski i żmudny interes.

- Nie powiedziałam wcale, że jesteś przegrana - szepnęła Lily.

Francesca uśmiechnęła się.

- Wiem. Ale jestem przegrana. Zmykaj stąd, moje dziecko. Tę noc chcę spędzić we własnym towarzystwie. Rzecz na tyle rzadka, że, jak sędzę, zasługuje na zbadanie.

- Jesteś pewna? - spytała Lily, nie chcąc zostawiać Franceski samej z pełną karafką i pustą

przeszłością.

Francesca machnęła dłonią w wypraszącym geście. Lily zostawiła ją więc w końcu i ruszyła wzdłuż hallu do biblioteki, gdzie czekał na nią stos rachunków.

Avery nie mógł się skoncentrować. Przerzucił magazyn, w którym wydrukowano w odcinkach jego najnowszy reportaż, i utkwiał wzrok w oknie smaganym strugami deszczu. Ona płasała w jego myślach; ona zwyciężała nad jego rozsądkiem; ona burzyła jego równowagę. Po prostu była wszędzie. W jego umyśle, w jego krwi... w jego sercu.

Kiedy leżała dziś pod nim z tymi zniewalającymi jego duszę oczyma, z biodrami bezwstydnie przyciśniętymi do jego ud i spytała pozbawionym tchu głosem, czy właśnie teraz zamierza „strzelić z nienacka”, o mały włos tego nie zrobił. Powstrzymał się jednak - na całe trzy minuty.

Ale potem musiał ją pocałować. Musiał. Jej ciało było niemal nagie.

A jego własne twarde jak skała z pożądania.

I zaraz ją puścił. Gdyby tego nie zrobił, kto wie, do czego by się posunął, co uczynił, co wyszeptał w namiętym szale. Musiał uciec.

Nawet nie zobaczył panien Camfield i ich drogich przyjaciółek.

Był właśnie w trakcie mycia się i czyszczenia ubrania nad kuchennym zlewem, gdy usłyszał potworny łomot, zwiastujący nadejście Lily. Jak strzała rzucił się do głównego hallu, gdzie spostrzegł ją ociekającą mu

łem, z szeroko otwartymi oczami. Za chwilę pojawili się inni.

Przy kolacji unikała jego wzroku. Pochylała nad talerzem swoje śliczne, niewzruszone oblicze, wystawiając na próbę jego cierpliwość.

Owładnęła nim całkowicie. Przyczaiła się w jego krwi jak zarazek malarii, który uspiomy miesiącami, wybucha nagle z ogromną siłą. Nie liczył

na wyzdrowienie, miał jedynie nadzieję, że nie wszystko wymknie się spod jego kontroli.

Wstał i podszedł niespokojnie do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Dwa piętra niżej padał blask z okien biblioteki. Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek Karla. Nawet ten przedmiot, który powinien przywoływać na myśl zmarłego przyjaciela, przypominał pannę Bede.

Zatrzasnął złote wieczko. Któż to może nie spać o tej porze? Bernard? Chłopak wspomniał kiedyś, że lubi czytać późno w nocy. Może pragnie towarzystwa? Avery z chęcią oderwałby się od własnych niespokojnych myśli.

Wciągnął niedbale koszulę, nie zapinając jej nawet, wyszedł i ruszył

w dół po schodach. Nie zapalił świecy. Doskonale widział w ciemności.

Na dole zwróciło jego uwagę inne, słabsze światło dochodzące z salonu. Zmarszczył brwi. Czy cała rodzina markuje po nocy, do pioruna? Może to Lily? Ostrożnie, żeby jej nie przestraszyć, zajrzał do środka.

W kącie otomany, z podłożoną pod policzek dłonią, z uchylonymi ustami, chrapiąc lekko, leżała Francesca. Na stole dwie świece migotały niepewnie w kałuży wosku. Włosy Franceski były potargane, a kosztowna suknia całkowicie wymięta. Na podłodze koło otomany stała do po

łowy opróżniona karafka, a tuż obok spoczywał przewrócony kryształowy kieliszek do wina. Na dywanie widniała ciemna plama.

Avery pochylił głowę i przyjrzał się Francesce. Nawet we śnie wyglądała na zmęczoną życiem. Kiedyś, nie tak znowu dawno temu, dzielnie przeciwstawiła się wątpliwym racjom Horatia. Teraz widział, ile wysiłku ją to kosztowało, i zastanowił się, czy Francesca nie załuje ceny, którą przyszło jej zapłacić.

To dziwne... Przywiedła nieco i może nawet trochę zaniedbana, wydawała mu się bardziej atrakcyjna niż kiedykolwiek wcześniej, kiedy to odgrywała rolę zmysłowej nimfy o nieodpartym wdzięku - obiekcie pożądania wszystkich mężczyzn.

Zbliżył się po cichu, nachylił, dźwignął ją i ostrożnie poniósł korytarzem do jej apartamentu. Jeszcze ostrożniej złożył ją na ogromnym 136

łóżu i zapalił świecę po to, by rozbudzona w środku nocy, wiedziała, gdzie jest. Naciągnął jej na ramiona pled i odgarnął włosy z twarzy.

- Dobranoc, panno Thorne - mruknął i odwrócił się.

W drzwiach stała Lily. Płomyk świecy odbijał się w jej ciemnych źrenicach. Położył palec na ustach, podszedł, ujął ją za przegub i wyprowadził do hallu. Po cichu zamknął za drzwi i poprowadził Lily z powrotem do biblioteki.

- Czy często jej się to zdarza? - spytał.

W jego cichym głosie nie było nic oprócz smutku. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że mężczyzna może mieć tak czułe serce... Widziała, jak patrzył na swoją kuzynkę. Oczekiwała raczej szyderstwa i pogardy wobec kogoś starszego i słabszego niż on sam, w najlepszym razie słów dezaprobaty i rozczarowania. Tymczasem była w nim tylko czułość.

Poczuła dreszcz przerażenia. Siła i czułe serce - czy może być groźniejsza broń, którą włada mężczyzna?

- Często? - powtórzył. Stał blisko, tak blisko, że mogła dostrzec maleńkie miedziane plamki tworzące gwiazdki w tęczęwkach jego oczu.

Potrząsnęła głową - nie tylko po to, by zaprzeczyć; także po to, by ocknąć się z rozmarzenia.

- Nie... Nieczęsto. Wygląda na to, że to letnie burze wpędzają ją w podobny nastrój.

Przeganiał palcami włosy i nagle spostrzegła rozpiętą koszulę i obnażoną pierś. Musiał być bardzo przejęty Francescą, skoro nie zauważył

nawet, że jest nieubrany...

Był piękny. Szeroką pierś porastały delikatne ciemne włosy, układające się w trójkąt. Skóra, ciasno opinająca twarde mięśnie, była gładka i czysta, z wyjątkiem czterech grubych, postrzępionych purpurowych linii, biegnących równolegle w górę lewej piersi i znikających pod koszulą.

Zanim zdała sobie sprawę, co robi, dotknęła blizny. Cofnął się gwałtownie, tak jakby dotknęła go rozpalonym żelazem, i uniósł rękę w ostrzegawczym geście. Zignorowała ten gest i jeszcze raz go dotknęła. Tym razem pozostał całkowicie nieruchomy.

- To naprawdę był tygrys.

- Co? - spojrzał w dół na jej palce przyciśnięte lekko tuż powyżej brodawki i z całej siły pragnąc się opanować, wyszeptał. - Tak. To naprawdę był tygrys.

- I naprawdę pana zranił.

- Tak. Zraniła... To była tygrysica.

Cofnęła rękę, lecz on nie był w stanie już myśleć. Jej zapach, przyjemny, ulotny, przyprawiał go zawrót głowy. Czuł go niemal w swoich 137

ustach... Teraz Avery cofnął się o krok i tym razem Lily nie postąpiła za nim. - Dlaczego pan narażał się na takie niebezpieczeństwo? - spytała.

Wróciła do krzesła przy biurku i opadła na nie ze znużeniem, tak jakby dosłownie przed chwilą poddała się, rezygnując z jakiejś walki.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Nie miałem nic specjalnego do roboty.

Myślę, że to był sposób na wypełnienie czasu. Nie mogłbym siedzieć przez pięć lat w Londynie i czekać na Mill House. Dostyc się już naczekałem.

Zacisnęła dłonie między kolanami i po raz pierwszy od pięciu lat pozwoliła, by tak długo tłumione poczucie winy wypłynęło na wierzch.

Wiedziała oczywiście od początku, że kaprys samolubnego starca odebrał pewnemu młodemu człowiekowi, gdzieś tam w Anglii, dziedzictwo. Nigdy jednak nie pozwoliła sobie myśleć o tym, co

czuł ów człowiek, kiedy dowiedział się o decyzji Horatia. Zrobiła to teraz. Nawet jeśli nadal zamierzała walczyć i ostatecznie odziedziczyć ten dom, swój dom, musiała przyznać, że cała ta historia opierała się na wielkiej niesprawiedliwości. Nie, raczej na nikczemności. Gdyby był jakiś sposób, żeby mogli wygrać oboje...

- Nie mogę... nie pozwolę, żeby go pan dostał. Wie pan o tym -

powiedziała głośno, napotykaając jego wzrok.

- Wiem - odparł. Żadnych sprzeciwów, żadnych inwektyw, po prostu zwykłe stwierdzenie faktu, że stoją po dwóch stronach barykady. -

I gdybym tylko mógł, nie dopuściłbym do tego, żeby pani go miała.

Skinęła głową. Avery zaczął zapinać koszulę, idąc w kierunku biurka. W jego wzroku, gdy błędził nim po meblach i obrazach, był ten sam wyraz czułości, z jakim patrzył na Francescę.

- Pan także go kocha - powiedziała.

- Tak - odparł spokojnie. - Mill House to jak mój przyjaciel z dzieciństwa. Nie jesteśmy pewni, czy nadal jest nam bliski, ale potem spotykamy go ponownie i odkrywamy, że zmiany, jakie czas spowodował u obu stron, zamiast dzielić, jeszcze bardziej nas zbliżają. Kiedy przyjechałem, nie znalazłem domu z moich dziecięcych wspomnień, nie przypominał on tamtego pałacu zanurzonego w zieleni parku. Ale Mill House, jaki odkry

łem po wielu latach nieobecności, jest nawet wspanialszy niż zamek z ba

śni. Jest realny - spojrzał na nią, by sprawdzić, czy rozumie, co ma na myśli. - Jest jak człowiek, ma swoje dziwactwa i słabostki - winorośl, która rozprzestrzenia się uparcie nad głównym wejściem, północny wiatr nieustannie huczący w kominku w salonie... Przybiera nawet czasem sztuczne pozy jak to witrażowe okno w sali balowej na pierwszym piętrze.

138

18

N

Uśmiechnął się krzywo.

- Jest prosty, solidny i wytrzymały, bez zbędnych ozdób i bez nowobogackiego blichtru maskującego usterki. To miejsce, gdzie można żyć, pracować i odpoczywać - wzruszył ramionami. - Po prostu dom. - Nigdy nie miałem domu. Nigdy nie miałem rodziny - ciągnął dalej. Nie litował się jednak nad

sobą, nie o to mu chodziło. - Mill House miał być jednym i drugim. Moim domem i moją spuścizną. Miejscem, gdzie wychowywałbym dzieci, a potem one wychowywałyby swoje.

Nie poczuła się urażona tymi słowami. Ona powiedziałaby to samo.

- Chce pan mieć rodzinę?

- Dziwi to panią? O tak, chcę. Chcę mieć dzieci. Dużo dzieci, tak żeby mogły pościerać kurze we wszystkich sypialniach.

Uśmiechnęła się.

- Każde dziecko powinno mieć starszego brata, żeby miało z kim rywalizować, i młodszego, żeby miało kogo uczyć - ciągnął. - Starszą siostrę, żeby mogło ją podziwiać, i młodszą, żeby mogło się z nią droczyć. I dzidziusia, żeby miało kogo pieścić. Zawsze słyszałem, jak chłopcy w szkole skarżą się na rodzeństwo, i wyzywałem ich od głupców, taki byłem zazdrosny. Tak... Chcę mieć rodzinę, psiakrew. Strasznie.

Spojrzał na nią.

- A pani? Pani też jest jedynym dzieckiem, prawda?

- Nie. Mam brata i siostrę, których nigdy nie widziałam. - Słowa same wypływały jej z ust. Po tylu latach milczenia wreszcie rozbrzmiały w powietrzu.

ie rozumiem - rzekł Avery.

Było już za późno, żeby odwołać te słowa, za późno, żeby złagodzić ból, jaki towarzyszył wspomnieniu matczynej udręki, której była świadkiem przez całe życie.

- Moja matka wyszła za mąż, mając szesnaście lat. - Widząc wyraz twarzy Avery'ego, potrząsnęła głową: - Nie, nie za mojego ojca. Za niejakiego pana Bentona, mistrza sztuki introligatorskiej. Miała z nim dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, Rolanda i Grace. Opuściła go trzy lata po ślubie.

- Dlaczego?

139

- Nie wiem - odparła. Tyle było rzeczy, o których nie wiedziała...

I zbyt wiele tych, o których wiedziała. - Moja matka mówiła tylko tyle, że nie mogła z nim dłużej żyć. Gdyby znał pan moją matkę, jej siłę, jej zaangażowanie i zasady, zgodziłby się pan, że musiała mieć po temu wystarczające powody.

Skinął głową. Nie znał matki, ale znał córkę. Jeśli Lily odziedziczy

ła po niej charakter, to jej matka musiała być kobietą odważną.

- Gdzie jest pani przyrodnie rodzeństwo? - spytał. - Dlaczego nigdy ich pani nie widziała?

- Nie wiem, gdzie są. - Lily poczuła pustkę i smutek. - Kiedy mama opuściła męża, Benton znalazł ją i odebrał jej dzieci. Przysiągł, że nigdy więcej ich nie zobaczy. I dotrzymał słowa.

Avery nie mógł pojąć, by jakakolwiek matka mogła pozwolić na odebranie sobie dzieci.

- Dlaczego nie zatroszczyła się o to, by je odzyskać?

- Nie zatroszczyła się? - powtórzyła jak echo Lily. - Z troski pękło jej serce. Całymi tygodniami stała codziennie pod drzwiami jego domu i codziennie zabierała ją stamtąd policja. Wracała tak długo, aż Benton, z pomocą sędziego, nie umieścił jej w zakładzie dla obłąkanych.

Ostrożnie wsparła się rękami o biurko.

- Mój ojciec był jedną z osób, sprawujących nadzór nad zakładem. Kiedy spotkał matkę, natychmiast zrozumiał, że wcale nie jest obłąkana, lecz udręczona smutkiem i tęsknotą. Poprzysiągł sobie, że ją stamtąd wyciągnie. Ale zanim udało mu się to zrobić, Benton wyemigrował z dziećmi do Australii.

To było straszne, nieludzkie.

- Nie mogli jej umieścić w zakładzie tylko dlatego, że chciała widywać dzieci!

W smutnym uśmiechu, jakim odpowiedziała Lily, było dużo mądro

ści, o wiele za dużo jak na taką młodą kobietę.

- Przepisy się zmieniły - zaprotestował Avery. - Kobieta ma dziś prawo wystąpić o rozwód, zawierać umowy, mieć własny majątek...

- Ale nie ma prawa do dzieci - przerwała mu Lily. Widząc jego niepewną minę, ciągnęła: - Prawowite dzieci są własnością mężczyzny.

Wystarczy, że mężczyzna uzna, iż żona jest nieodpowiednią matką i że należy odebrać jej dzieci, a każdy sąd poprze tę decyzję.

Tak, pomyślał ze smutkiem. Jak mógłby o tym zapomnieć? Długie miesiące roku szkolnego i nawet dłuższe tygodnie wakacji, kiedy to on i inne sieroty z arystokratycznych rodzin snuły się, niepotrzebne nikomu, po pustych dziedzińcach Harrows. Był własnością, to prawda. Lichą własnością. Zbędnym dobrem.

140

Lily zapatrzyła się w swoje dłonie. Ścisnęła je splecione tak mocno, aż pobieleły jej kostki palców.

- Musiało być coś, co mogła wtedy uczynić. Jakieś wyjście - upierał się.

- Nie. Kobieta nie może nawet dochodzić rekompensaty. Nie ma dla niej żadnego wyjścia, poza... - urwała gwałtownie i zaczerwieniła się.

Wtedy zrozumiał, tak dokładnie, jak gdyby Lily wytłumaczyła mu to słowo po słowie. W jej zmieszaniu i zakłopotaniu rozpoznał piętno smutku i goryczy, jakie pozostawiła jej matka, kobieta, której ukradziono dzieci, niesłusznie zamknięta w szpitalu dla obłąkanych. Spojrzał na Lily i wiedział już, jaki rodzaj zemsty wybrała jej matka. Sprawiała, że Benton nigdy więcej nie mógł zawrzeć legalnego związku z inną kobietą.

Na zewnątrz padał cicho deszcz. Wewnątrz światło świec usiało pokój gwiazdami.

- Nigdy nie doszło do rozwodu?

Przytaknęła. Czy matka nie zdawała sobie sprawy, co czyni swojej córce? Egoizm tego postępuku napawał go trwogą.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego nie chciała poślubić twojego ojca?

- Nie miał prawa zadawać tego pytania, nie miał prawa domagać się odpowiedzi.

- Nie rozumie pan? - Lily uniosła wzrok. W świetle świec jej źrenice rozbłysły jak oczy kota. - Niezameżna matka jest jedyną prawną opiekunką swoich dzieci. Moja matka straciła już dwoje. Nie chciała ryzykować, że straci kolejne.

- Ale pani ojciec, z pewnością ojciec chciał...

- Mój ojciec był nadzwyczajnym mężczyzną. Uszanował jej decyzję. On - podkreśliła słowo „on” - rozumiał.

Rozumiał? Zrozumienie nie powinno oznaczać usprawiedliwienia.

Niewłaściwość podobnego postępowania była dla Avery'ego jak zniewaga. On nigdy by nie dokonał takiego wyboru jak ojciec Lily. I ona to wiedziała.

Przemierzył niespokojnie pokój. Płomyki świec zamigotały, poruszone podmuchem.

- Próbowwała potem odzyskać dzieci? - spytał.

Lily nie miała już ochoty walczyć. Czowała się znużona. Chciał wyciągnąć rękę i wygładzić jej czoło, na którym rysowało się strapienie, ale dystans, jaki ich dzielił, zdawał się nie do pokonania.

- Robiła, co mogła - rzekła Lily. - Mój ojciec wysyłał agentów, żeby szukali dzieci. Ale nie był zbyt zamożny. Z braku pieniędzy jego poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

- Musiał bardzo kochać pani matkę.

- Owszem.

Przyglądał się jej pochylonej głowie, głębokim cieniom między szczęką a policzkami, czarnym, lśniącym, falującym niczym jedwab włosom. Niczego w świecie tak nie pragnął jak tego, by ją ochraniać, by się o nią troszczyć. Pragnienie to owładnęło nim, powodując rozterkę.

Przepeliła go złość, że żaden mężczyzna nie zrobił tego wcześniej, nawet jej własny ojciec zawiódł w tej najważniejszej ze wszystkich sprawie... Nie wątpił ani przez chwilę, że ojciec Lily kochał jej matkę i że matka nigdy nie przestała boleć po utracie dwojga swoich dzieci, ale gdzie było miejsce dla Lily w tym trzęsawisku bólu i straty?

- Powinien był bardziej panią kochać - mruknął szorstko.

- Proszę go nie osądzać. Proszę nie osądzać moich rodziców - zabrzmiało surowe ostrzeżenie.

Zignorował je.

- Powinien był postąpić tak, by miała pani zapewnione wszelkie prawa i przywileje, majątek i szacunek ludzi. Zamiast tego pozwolił, by pozbawiono panią należnych z urodzenia praw. Powinien był poślubić pani matkę - podkreślił z naciskiem.

- Tak jak pan by to zrobił? - spytała.

-Tak.

- Czy pan nie rozumie? - Złość w jej głosie zamieniła się w błaganie. - Ona nie mogła ryzykować, że znowu będzie miała złamane serce.

Nie przeżyłaby tego. Ona nie mogła wyjść za mąż - głos jej zadrżał

i zamienił się w szept. - Tak samo jak ja.

Dlaczego miałoby go to obchodzić? Dlaczego poczuł się tak, jakby tym stwierdzeniem odebrała mu duszę? Przecież nie pielęgnował w sobie najmniejszej nadziei... nie wyobrażał sobie u jej boku żadnej przyszłości...

- Nigdy nie wyjdzie pani za mąż, Lily?

- Nie - szepnęła. - W każdym razie dopóki nie zmieni się prawo.

Dopóki bezpieczeństwo, dobrobyt i przyszłość kobiety nie zostaną uznane za równie ważne jak w przypadku mężczyzny. Dopóki żona nie będzie miała takich samych praw odnośnie dzieci jak mąż.

- A jeśli zakocha się pani, czy nie potrafi pani powierzyć swojej przyszłości trosce małżonka? - spytał. - Czy nie na tym polega miłość?

- A pan powierzyłby swoją przyszłość żonie? - spytała gorzko.

- To nie to samo.

- Tak, to nie to samo - zgodziła się z chłodną rozważą. - Pan mógłby okazywać „zaufanie” jedynie do czasu, gdy zostałoby ono zawiedzione. Później prawo gwarantowałoby panu sposób na pozbycie się żony 142

przy równoczesnym zatrzymaniu tego elementu związku, który nadal by pan cenił - pańskich dziedziców. Rzecz jasna, tego, czy dzieciom nie byłoby lepiej pod opieką matki, nawet nie bierze się pod uwagę, nie mówiąc już o dokładniejszym rozważeniu tej kwestii.

- I uważa pani, że lepiej jest dla nich żyć z piętnem nieprawego pochodzenia? - spytał z niedowierzaniem. - Mieć zamknięte przed nosem drzwi? Niepewną przyszłość? Być uważanym z racji samego urodzenia za kogoś gorszego?

- Czy... - uniosła podbródek. - Czy właśnie w ten sposób mnie pan postrzega?

- Do diabła z tym, Lily - powiedział szorstko. - Nieważne, jak ja panią postrzegam. Ważne, jak społeczeństwo będzie postrzegało pani dzieci. Co do mnie, to nigdy nie pozwolę, żeby moje dzieci cierpiały w ten sposób.

- Zapewniam pana, że ja nie cierpiałam. Otrzymałam liberalne, interesujące... nie, wręcz fascynujące wychowanie. Miałam kochających rodziców, którzy uchronili mnie od kontaktu z bigoterią. Mam wykształcenie, którego większość mężczyzn może mi pozazdrościć, i cieszę się szacunkiem wśród moich sióstr...

- Nie ma pani żadnych sióstr, Lily - przerwał jej Avery. - Ma pani swoją organizację, swoje cele, swoje wykształcenie, ale jeśli chodzi o rodzinę, to nie ma jej pani tak samo jak ja. A może nawet ja jestem w lepszej sytuacji niż pani. - Zobaczył, że drgnęła, jakby ją uderzył. Mimo to nie przestał mówić, desperacko usiłując zmusić ją do zrewidowania przekonań.

- Nawet pani obecność tu, w tym domu, jest warunkowa - zauwa

żył. - A ja, mając tak niewiele, mogę przynajmniej dochodzić prawnie własności Mill House. Pomimo tego, co zrobił Horatio, pomimo jego testamentu, mam pewne prawa wobec domu, których pani nigdy nie będzie mogła sobie rościć, bo ojciec nie dał pani nazwiska.

Oddychała ciężko. Przez chwilę myślał, że podniesie rękę i wymierzy mu policzek. Ucieszyłoby go to, gdyż byłby to sygnał, że na pewnym poziomie zgadza się z nim i właśnie dlatego musi użyć siły, by zaprzeczyć.

- To tylko budynek - powiedziała, czując się, jakby zdradzała przyjaciela. - Przedmiot. Coś, co można posiadać. Nie potrzebuję kamiennych ścian ani drewnianych podłóg, żeby wiedzieć, kim jestem i co znaczę.

- Bzdura - warknął. - To nie tylko budynek. To coś, w czym zamknięta jest tradycja rodziny, życie i historia jej członków.

- To dom, nie katedra - upierała się, ale w przyćmionym świetle świec dostrzegł, że policzki jej poróżwiały. - Myśli pan, że jeśli zostanie 143

właścicielem Mill House, to w jakiś sposób zyska pan rodzinę, której nigdy pan nie miał? Cóż, rodziny nie dostaje się na mocy aktu notarialnego, Avery.

Prawda tych słów, bolesna, zraniła go mocno. Wiedziała o tym, że zada mu ból, ale liczyła, że powstrzyma w ten sposób jego język. Jednak nie powstrzymała.

- Rodzina, Lil? - pochylił się ku niej nad biurkiem z drwiną na ustach. - Życzy pani sobie porozmawiać o rodzinie? Cóż, dlaczego nie?

Będziemy jak ci ślepcy, którzy opisywali słonia, nieprawdaż?

Wystraszyła się.

-Nie, ja nie...

- Porozmawiajmy - obstawał. - Być może wspólnie potrafimy sklecić na ten temat coś sensownego. Pani miała zresztą rodziców, którzy panią uwielbiali - tak? Nieważne, tak czy owak rodziców. Ja, nie mając rodziców, miałem za to pozycję, nazwisko, dom, dalszych krewnych...

- Nie chcę o tym mówić - powiedziała niemal w panice.

- Psiakrew, Lily... Nie widzi pani, co pani tu robi? - spytał. - Zaadoptowała pani sobie moją rodzinę, moją, tak samo jak wszystkie te sufrażystki, służące, wszystkich tych ludzi, którzy czegoś od pani chcą, których lojalność kupuje pani w zamian za zatrudnienie, azyl i łapówki.

Lojalność to nie miłość, Lily. Ci ludzie nie są pani rodziną.

-Są.

- Nie - potrząsnął głową i w tym momencie poczuła, że go nienawidzi. Był taki potężny, wszechmocny i stanowczy... A jeśli istniała sprawa, z którą by sobie nie poradził, miał w zanadrzu angielskie prawo.

Najbardziej jednak nienawidziła go za to, że sprawił, iż zaczęła kwestionować racje własnych rodziców. Może to właśnie ojcu nie zależało na ślubie? Tak tęskniła, żeby gdzieś należeć, gdziekolwiek, żeby mieć jakieś prawa...

Wrogość wśliznęła się do jej serca - gniew, że upór jej matki tak nieuchronnie wpłynął... nie, tak straszliwie ją skrzywdził. Wraz z gniewem przyszło poczucie winy za ten gniew. Wiedziała przecież, ile udręki przyniosła samej matce jej decyzja... Wiedziała, że postanowienie, by nie wychodzić za mąż, nie przyszło jej lekko.

- Nie ma pan prawa stać tu nade mną i mówić mi, co powinien zrobić mój ojciec i do jakich poświęceń powinna być gotowa matka - powiedziała cicho, z naciskiem. - Nigdy nie miał pan

dziecka, które panu odebrano! Moja matka umarła, nie wiedząc nawet, czy jej dzieci żyją, czy nie.

Widziałam, co to dla niej znaczy. Słyszałam po nocach jej płacz, słysza

łam, jak zadręczała się pytaniami, na które nie było odpowiedzi...

144

Milczał.

- Może pan to sobie wyobrazić? Pragnęła się o nie troszczyć, chronić, pocieszać, spieszyć z pomocą... Pragnęła całować je i przytulać.

Wyobrażała sobie, jak o nią pytają, i zastanawiała się, co odpowiada im ojciec - czy to, że umarła, czy że po prostu nie wróciła któregoś dnia, bo jej na nich nie zależało...

Jego usta były zaciśnięte, stanowcze. Oczy krył cień.

- A pani, Lily?

- Ja? - Powoli rozplotła palce. - Zastanawiam się, czy w ogóle wiedzą, że istnieję.

- Lily... - Wyciągnął rękę i dotknął wierzchem dłoni jej policzka.

Nawet tego nie zauważyła. Po prostu siedziała i patrzyła na niego niewidzącymi oczyma.

- Gdyby przepisy były inne... - ciągnęła w zadumie. - Gdyby matka miała prawo do własnych dzieci... Ale nie miała. Nic jej nie chroniło

- głos Lily stwardniał.

Avery nie wiedział, co powiedzieć. Czuł wielką gorycz. Ten Benton i ta tchórzliwa matka Lily, i bezwolny, pozbawiony kręgosłupa ojciec...

A mimo to nie mógł ich nienawidzić.

- Musi pan przyznać, Avery, że mam wszelkie powody, żeby nie ufać instytucji małżeństwa. Tylko kobieta szalona mogłaby zawrzeć związek małżeński, wiedząc, że prawo, które go reguluje, traktuje dzieci jak produkty jej ciała, stanowiące własność małżonka.

- A jeśli po obu stronach jest miłość? Jeśli oboje mają dla siebie szacunek i zaufanie...

- Ulotne uczucia - odparła. - Wątpię, czy warto ryzykować dla nich dzieci. To kwestia logiki, Avery. Sądzę, że mężczyźni cenią logikę. Kobieta nie może sobie pozwolić na niepewne, nietrwałe emocje.

Poczuł się urażony i niczym zranione zwierzę zareagował gwałtownie, niemal instynktownie.

- Logika? Nietrwałe emocje? - zaśmiał się szyderczo. - Jest pani istotą o zimnym sercu, Lily Bede.

Mogłaby pani zostać idealnym generałem, który w imię zasad gotowy jest poświęcić dosłownie wszystko.

Chylę czoła... I cieszę się, naprawdę się cieszę, że nie muszę dzielić z panią łóżka, bo naraziłbym się na odmrożenie.

- Tak - uniosła dumnie głowę i spojrzała na niego lśnącymi oczyma. - Może się pan uważać za szczęściarza.

Nagle poprzez szmer deszczu dał się słyszeć odgłos kroków. Za chwilę drzwi do biblioteki otworzyły się z trzaskiem.

- Matko Boska! Pomocy! - wrzasnęła piskliwie Merry.

10 - Mój najdroższy wróg

145

19

T_e

resa rodzi! - wyrzuciła z siebie Merry bez tchu.

Na dworze, gdzieś blisko domu, rozległ się grzmot. W jednej chwili zaczęło lać jak z cebra. Lampa olejna zakołysała się w ręce Merry i na ścianie zamajaczył jej cień.

- Gdzie jest pani Kettle? - spytała Lily, wstając. Pani Kettle nieraz już pełniła rolę akuszerki.

- Poszła na wieś, do córki.

- Szlag by to...

Francesca spała jak kamień na dole - pozostawały więc Merry, Kathy, panna Makepeace, Evelyn i ona sama, Lily. Panna Makepeace była przykuta do fotela, a Evelyn mdlała na widok krwi. Merry zaś wciąż się żegnała i mamrotała pod nosem modlitwy.

- Na litość boską, Merry - zdenerwowała się Lily - ona rodzi dziecko, a nie diabła.

- Nic na to nie poradzę, proszę pani - pisnęła Merry. - Proszę mi wybaczyć, ale nie poradzę. Nie mogę patrzeć na to, co będzie i ze mną, jak przyjdzie mój czas, a to już tak niedługo! Nie chcę wiedzieć, jak to jest... Och, panienko, ona krzyczała, jakby ją obdzierali ze skóry! Niech mnie pani

nie zmusza, żebym tam szła! Proszę!

- Uspokój się, Merry - rozkazał Avery. - Nikt cię do niczego nie zmusza, do kroćset! Rób po prostu to, co mówi panna Bede. Bez hałasu. Stanowczy ton okazał się skuteczny. Merry przyłożyła chusteczkę do oczu i pociągnęła głośno nosem, ale skinęła głową i spojrzała wyczekująco na Lily.

- Gdzie jest Teresa? - spytała Lily.

- W swoim pokoju.

- A Kathy?

- Ostatni raz widziałam ją, jak szła do stajni, panienko.

- W środku nocy, w czasie burzy? - zdziwiła się Lily.

Merry bojaźliwie pokiwała głową.

- Ona... ona... - przełknęła ślinę - martwiła się o konie.

- Chodzi o Billy'ego Johnstona, tak? A w zeszłym tygodniu był ten kołodziej z miasta - rzuciła Lily, już w drzwiach prowadzących na schody dla służby. - Jakby nie było dość, że jest w ciąży... Chyba tylko pomyłona skacze od jednego nieudanego związku do drugiego. Co ta dziewczyna sobie myśli?

146

Była aż nadto świadoma, że tuż za nią idzie w milczeniu Avery, niczym rycerz strzegący jej bezpieczeństwa, Z przodu Merry, również milcząca, trzymając w górze lampę, oświetlała im drogę. Milcząca Merry... Jak to zabawnie brzmi!

-Merry!

- A co ma Kathy myśleć, panienko - powiedziała Merry bojaźliwie.

- Jak się coś zaczyna między mężczyzną a kobietą, trudno się temu oprzeć.

Lily zatrzymała się i spojrzała z niedowierzaniem na drobną sylwetkę służącej.

- I ty też, Merry? No nie! Czy wszystkie kobiety w tym domu postradały zmysły?

- No... Todd Cleary z miasteczka mówi, że nie miałby nic przeciw temu, żeby zamieszkał u niego dzidzius, jeśli jego mamą byłabym ja... -

Merry zarumieniła się i zachichotała szczęśliwa, pochylając z zażenowaniem głowę.

- Ach, nie miałby nic przeciw temu? Rzeczywiście, trudno odrzucić tak wspaniałą ofertę - powiedziała Lily z sarkazmem. Jedynie głośne zawodzenie rozbrzmiewające echem na wąskich

kuchennych schodach uchroniło Merry przed kolejnymi kąśliwymi uwagami.

- Zmykaj do kuchni - rzekła Lily, biorąc lampę z rąk Marry. - Tu jest dosyć światła. Trafisz. Potrzebna mi jest gorąca woda i mydło. I czyste prześcieradła, jak najwięcej. I najostrzejszy nóż, jaki znajdziesz, i wiadro pełne gorących węgli.

- Tak jest, proszę pani!

Gdy Merry zniknęła, Lily zaczęła iść po stromych schodach na górę.

Była w połowie drogi, gdy dopędził ją Avery.

- A pan dokąd się wybiera? - spytała.

- Nie ma pani zbyt wielu pomocników. Mogę się przydać. Ja... -

nie wiadomo dlaczego urwał, a kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał jakoś dziwnie, zapewne z powodu echa. - Ja już kiedyś asystowałem przy porodzie. Mogę pomóc.

- Nie ma potrzeby. Poradzę sobie.

Nie nalegał. Spojrzał na nią trochę zachmurzony, jak gdyby tocząc jakiś wewnętrzny spór i w końcu powiedział:

- Będę za drzwiami. Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, w ogóle czegokolwiek, silnego ramienia, więcej wody, ostrzejszego noża, proszę mnie zawołać.

Jej oczy znajdowały się teraz na poziomie jego wzroku. Ich spojrzenia spotkały się.

147

- Zawołam - powiedziała i ruszyła na górę.

Kolejny, głośny, pełen skargi lament wstrząsnął ścianami. Lily pchnęła drzwi do pokoju Teresy. Kobieta leżała na mokrym materacu, wsparta na łokciach. Niemal nie było widać jej twarzy zza ogromnego brzucha. Włosy, odgarnięte z oczu, sterczały na boki niczym warkocze szmacianej lalki.

- Gdzie się wszyscy podzieli, do diabła? - spytała.

- Proszę?

- Wydieram się tu od godziny, mało nie pęknę - powiedziała z rozdrażnieniem Teresa. - Czy mam urodzić to dziecko bez niczyjeej... -

Słowa zamieniły się w gniewny ryk. Teresa zgięła się wpół, ściskając brzuch.

- Boże święty! - Drzwi uchyliły się i w szparze ukazała się twarz Avery'ego. - Czy ona umiera? Może

pojechać po doktora?

- Nie! - rzuciła Lily niecierpliwie. Złapała ściereczkę wiszącą w nogach łóżka i otarła spocone czoło dziewczyny. - Nie. Najbliższy doktor mieszka w Cleave Cross, dwadzieścia mil stąd, a ona nie umiera, tylko rodzi.

- Umieram! - zawyła Teresa w dzikim proteście. Lily zignorowała to. W ciągu ostatnich pięciu lat była obecna przy paru porodach - wiedziała więc, że należy niepokoić się wtedy, gdy kobieta słabnie, a nie, gdy wydziera się na całe gardło.

- Wydawało mi się, że powiedział pan, że asystował już kiedyś przy porodzie - obejrzała się przez ramię na Avery'ego.

- Asystowałem... - Stał w drzwiach. Jego wysoka, barczysta sylwetka zajaśniała na tle mrocznego hallu. Poły koszuli nadal zwisały, nie-wsuniete w spodnie. - Ale tamta... tamta kobieta zachowywała się o wiele ciszej niż ona - wskazał na Teresę.

- Może by tak trochę mniej gadać - jęknęła Teresa. - Ja tu rodzę dziecko, jakby ktoś nie zauważył! A w ogóle co on tu robi, do diabła?

Jakiś ohydny, sprośny chłop!

Wyrwała wilgotną ściereczkę z rąk Lily i cisnęła nią w Avery'ego.

Uchylił się. Ścierka z plaśnięciem wylądowała na ścianie.

Avery wpatrywał się w dziewczynę z mieszanymi uczuciami, zdezorientowany. Zawsze myślał, że Teresa go lubi... Nosił ją po schodach w górę i w dół, pytał o zdrowie i uprzejmie pozdrowiał, a ona przewierca go teraz z wściekłością oczami, jakby był osobiście odpowiedzialny za jej cierpienie!

- Pan Thorne będzie czekał w hallu - uspokoiła ją Lily.

- Nie - rzekł Avery z nieco mniejszą pewnością, niż by tego sobie życzył. - Podniósł ręcznik, zbliżył się ostrożnie, ułożył go na wyciągnię-

148

tej ręce Lily i z powrotem się cofnął. - Zostanę tu. W każdym razie, dopóki nie przyjdzie Merry, na wypadek gdyby potrzebowała pani jakiejś pomocy.

Teresa wydała kolejny ryk bólu.

Lily spojrzała na Avery'ego. Twarz miał niemal popielatą. Oto sławetna odwaga nieustraszonego zdobywcy kontynentów - pomyślała, nie mogąc stłumić uśmiechu. Oddaliła się od Teresy, która ślubowała włą

śnie straszliwą zemstę na pewnym elemencie męskiej anatomii, i pchnę

ła ku Avery'emu krzesło.

- Równie dobrze może pan siedzieć, jeśli zamierza pan za chwilę zemdleć.

- Nie zamierzam mdleć - powiedział takim tonem, jakby próbował

przekonać raczej siebie samego niż rozmówczynię. - Nigdy w życiu nie zemdlałem, nie zemdleję i teraz.

- Hej! - ożywiła się znowu Teresa. - Powiedziała pani, że on poczeka w hallu!

- Z przyjemnością. - Avery wypchnął krzesło nogą w głąb korytarza i opadł na nie. W ponurej ciemności wyglądał jak wielki, posępny, tajemniczy zwierz, zdobity krawędź rynny.

- No, cicho, cicho - szepnęła Lily, ocierając znowu wilgotne czo

ło Teresy. - Świetnie ci idzie, kochanie. Świetnie. Jesteś bardzo dzielna. - Tak jakbym miała jakiś wybór, do diabła!

Szybkie kroki oznajmiły nadejście Merry. Minęła Avery'ego i wtargnęła do pokoju. W jednej ręce trzymała miedziany czajnik, z którego chlustała woda, w drugiej zaś nieduże, zamknięte wiadro węgla. Górna część ciała spowita była niczym mumia prześcieradłami, a u pasa zwisał

myśliwski nóż do zdejmowania skóry.

- Mam wszystko, panno Bede - powiedziała, zdyszana. - Wszystko. Postawiła u jej stóp czajnik i kosz, nóż okryty skórzaną pochwą upu

ściła w nogach łóżka, zdjęła z siebie prześcieradła i rzuciwszy okiem na Teresę, która znów zaczynała jęczeć, spytała:

- Mogę już iść?

- Tchórz! - kwiknęła Teresa.

- Lepiej sobie pójdę. - Merry pokiwała przymilnie głową. - Tylko ją denerwuję.

- Dobrze. - Lily wyciągnęła z pochwy nóż, uniosła go ku świecy i z satysfakcją przyjrzała się ostremu niczym brzytwa ostrzu. Lśniło jak srebro.

Avery poczuł, że kręci mu się w głowie.

Merry, otrzymawszy pozwolenie, w te pędy uciekła.

- Chyba nie ma pani zamiaru tego użyć? - wyszeptał Avery przerażony.

- Ona nic nie poczuje - zapewniła go Lily i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Godzina, która nadeszła, wydała się Avery'emu wiecznością. Po okresach przekleństw następowała długa, pełna napięcia cisza. Parokrotnie usłyszał w dosadnych słowach, co Teresa zrobi chłopu, z którym zaszła w ciążę, jeśli ośmieli się jeszcze kiedykolwiek stanąć na jej drodze. Wkrótce i te wrzaskliwe przysięgi ucichły i słychać było tylko spokojne, dodające otuchy pomruki Lily, przerywane dźwiękami, które kojarzyły się z ogromnym wysiłkiem. Wyciągnął z kieszeni zegarek Karla i kontrolował upływ czasu, zastanawiając się równocześnie, ilu przodków Karla sprawdzało na nim godziny przyjścia na świat swoich dzieci.

Ciekawe, czy i on będzie któregoś dnia patrzył na wyłaniającą się maleńką rączkę i twarzączkę przy akompaniamencie odgłosów wielkiego wysiłku Li... wielkiego wysiłku swojej żony.

Drzwi otworzyły się. Stała w nich Lily, trzymając w umazanych krwią rękach malutkie zawiniątko. Za nią leżała na łóżku Teresa. Oczy miała zamknięte; pierś unosiła się i opadała, poruszana płytkim oddechem. Zakręciło mu się w głowie.

- Proszę - powiedziała Lily. - Niech pan ją mocno trzyma. Potrzebuje ciepła.

Ją? Avery spojrzał na tobołek, który Lily wciąż trzymała w wyciągniętych ramionach. Nic nie mógł dostrzec. Z pewnością nic, co by przypominało „ją”, czy chociażby załączki jakiejś „jej”...

- Jeszcze nie przygotowałam dla niej wiadra z węglami.

- Jak to? - spytał ze zgrozą. - Co zamierza pani z nią zrobić?

Roześmiała się. Cóż to za słodki, miły dźwięk... - pomyślał.

- Zamierzam umościć im obok wiadra łóżeczko, tak żeby cały czas były w ciepłe. Zazwyczaj kładziemy dzieci do pieca chlebowego, ale dzisiaj piec wystygł.

-Im?

- Tak - rozpromieniła się Lily. - Teresa ma bliźniaki.

Teresa poruszyła się w łóżku. Lily obejrzała się przez ramię.

- Proszę. Niech pan mocno trzyma.

Oniemiały, zdrętwiały, wziął mikroskopijną istotkę, którą złożyła mu w ramionach. Nagrodziła go zachęcającym uśmiechem.

150

- To proste, prawda? Wygląda na to, że następne wybiera się na ten świat - powiedziała poufnym tonem, pochylając się lekko. - Ale wszystko będzie dobrze. Zobaczysz pan.

Dlaczego go pociesza, na miłość boską! Potrafi przecież utrzymać dziecko... Co w tym trudnego?

- Przyjdzie pani wreszcie mi pomóc, czy ma pani zamiar stać tam całą noc i gadać z tyyyym... - Teresa uniosła się gwałtownie i chwyciwszy się dłońmi żelaznych poręczy po obu stronach łóżka, odrzuciła do tyłu głowę. Zawyla przeraźliwie.

- Teresa twierdzi, że jest Irlandką- rzekła Lily i z tym lapidarnym, wydawać by się mogło, niedorzecznym stwierdzeniem zamknęła drzwi.

Avery wpatrywał się w śniadą, purpurową twarzyczkę, pomarszczoną i ściągniętą niczym źle zacerowana skarpetka. Jedną jego dłoń obejmowała główkę i niemal całą górną część ciała. Zdarzało mu się widzieć tej wielkości świeżo urodzone szczenięta...

Ostrożnie odchylił otulające twarzyczkę prześcieradło. Dziecko napięło się i spomiędzy luźnych fałd tkaniny wydobyła się malutka piąstka. Avery patrzył w zdumieniu na maciupęńkie paznokietki zwieńczające miniaturowe paluszki, na pomarszczone wnętrze rączki, na delikatne niczym najsubtelniejszy atlas przeguby...

Nachylił głowę. Rzęsy, nie grubsze niż czułki jętki, raczej złudzenie rzęs, ocieniały smagły, krągły policzek. Zamknął oczy i wciągnął ciepłą woń małej istotki, woń czegoś absolutnie nowego, nietkniętego. Dotknął

buzi. Poczł aksamitne ciepło...

Niesamowitość faktu, że oto trzyma w dłoniach nowe życie, napawała go lękiem, budząc instynktowną potrzebę chronienia i opieki. O ile silniejsza musiałaby być ta potrzeba, gdyby było to jego własne dziecko?

Znowu otworzyły się drzwi. Lily z triumfalnym uśmiechem na twarzy, trzymała w ramionach kolejne maleństwo.

Opuścił wzrok na swoje zawiniątko.

- Gdyby była moja - powiedział - zrobiłbym wszystko, co możliwe, żeby była bezpieczna i szczęśliwa. Nikt by mi jej nie zabrał. Nigdy.

Przysięgam.

Uśmiech zamarł na twarzy Lily. Oczy zgasły. Czas rozejmu się skończył, powróciły wrogość i tęsknota - kamienie węgielne ich wzajemnego kontaktu.

- Ja też - powiedziała.

151

20

N

ad ranem burza się skończyła. Świeży wiatr przegnał poszarpane resztki chmur, odsłaniając nieskazitelnie czystą płaszczyznę nieba. Lily zjadła śniadanie w bibliotece, za zamkniętymi drzwiami.

Ujawniła wobec Avery'ego Thorne'a fakty, o których nie wspominała dotąd nikomu innemu. Zwierzyła mu się z powodów, dla których zaangażowała się w walkę o prawa kobiet, i ze swojej niełatwej decyzji, by nigdy nie wychodzić za mąż. Nie była przygotowana na tak namiętą reakcję z jego strony na oskarżenie, że jej decyzja jest nierozważna, nieodpowiedzialna i egoistyczna - tak samo jak decyzja jej matki. Tak był pewny swoich racji, taki bezlitosny w ocenie postępowania matki, a jednak... rozumiała go.

Pozostała w bibliotece i w porze obiadu.

Niepotrzebnie jednak zawracała sobie tym głowę, Avery'ego i tak nie było w domu. Wyszedł jeszcze przed świtem, udał się do Drummonda i zaoferował mu swoje usługi przy dowolnej pracy - byleby zajęcie było mozolne, wyczerpujące i trzymało go z dala od dworu aż do zmroku. Drummond z przyjemnością wyświadczył mu tę grzeczność.

Posłał go do sianokosów na położoną za stajniami łąkę. Avery wdrapywał się na ogromne stogi siana, odbierał podawane mu z dołu wiechcie i układał je w coraz wyższe stosy.

Przez następny tydzień Mill House był osobliwie spokojny. Francesca, nie siląc się na jakąkolwiek wymówkę czy usprawiedliwienie, kryła się w swoim pokoju. Teresa nieustannie kazała Kathy i skruszonej do łez Merry podziwiać swoje maleństwa. Evelyn, czując się w obowiązku dotrzymywać towarzystwa Polly Makepeace, zanim jej noga nie wydobrze-je, pełniła rolę gospodyni. Dziwne... Obie panie zaczęły wyczekiwać wspólnie spędzanych godzin. Ich starania, by Lily Bede i Avery Thorne byli sobie coraz bliżsi, chwilowo uległy zawieszeniu, jako że trudno było organizować utarczki między dwojgiem ludzi, nieprzebywających w domu o tej samej porze. Bernard chodził własnymi drogami.

Kiedy Avery w końcu zapanował nad emocjami, zdał sobie sprawę, że unikając Lily, skazuje tym samym swojego młodocianego kuzyna na wyłączne towarzystwo kobiet.

W tym stanie rzeczy, w przeddzień przyjęcia u Camfieldów, Avery ruszył na poszukiwanie Bernarda.

Nie było go ani w jego pokoju, ani w bibliotece (uprzejme zapytanie Avery'ego zza zamkniętych drzwi spotkało się ze zwięzłą i uszczypliwą repliką Lily), ani też w salonie. W końcu pani Kettle skierowała go na strych nad skrzydło dla służby.

152

Idąc wąskim korytarzem, zdał sobie sprawę, że aby dotrzeć do drabiny prowadzącej na strych, będzie musiał przejść obok otwartych drzwi do pokoju Teresy. Zbliżał się ostrożnie, niepewny, czy Teresa nie ciśnie w niego mokrą szmatą albo czymś dużo bardziej niebezpiecznym.

Z pokoju dochodziło trio gruchających kobiecych głosów. Kiedy mijał drzwi, wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

- Panie Thorne! - dobiegł go głos Teresy, gdy od drabiny dzieliło go już tylko parę kroków. Nie był to głos osoby szalonej, ale ostrożności nigdy za wiele... - Panie Thorne, niech pan przyjdzie zobaczyć dzieciaczki! Jak by nie było, prawie sam pan odbierał poród!

Nie mógł pozwolić, aby ta pogłoska nie została skorygowana. Zawrócił i zajrzał do środka. Teresa spoczywała wsparta o co najmniej pół

tuzina poduszek, w absurdalnym, matronowatym czepku na głowie, okryta puchatym różowym szalem. Po obu stronach łóżka siedziały Merry i Kathy, każda z dzieckiem w ramionach. Wszystkie trzy panie uśmiechały się do niego promiennie.

Odchrząknął.

- Jak się masz, Tereso?

- Och, doskonale, panie Thorne! - odparła z entuzjazmem Teresa, bawiąc się zalotnie wstążeczkami czepka. - Niech pan wejdzie i popatrz na moje maleństwa. Prawie sam je pan...

- Nie - powiedział zdecydowanie, przestępując próg. - Ja właściwie nic nie robiłem, siedziałem za drzwiami. To panna Bede odbierała twoje dzieci.

Teresa pogroziła mu żartobliwie palcem.

- No no, ja pamiętam co innego, sir... Pan jest po prostu skromny i tyle.

Był pan dla mnie jak twierdza, gdy potrzebowałam pomocy. Wystarczy, że na pana popatrzyłam, i już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, że pan nie pozwoli, żeby mi się stało coś złego - zatrzepotała z uwielbieniem rzesami.

Ależ ta kobieta zmyślała... Ostatnim razem, kiedy się widzieli, groziła, że posieka na kawałki jego intymne części ciała! Najwyraźniej nie było sensu kontynuować tej dyskusji.

- Niech no pan tylko spojrz na dzieciaczki, sir! - zaćwierkała radośnie Merry i wyciągnęła ku niemu w ramionach maleńką istotkę.

Kathy, chichocząc głośno, poszła w jej ślady. Nachylił się i obrzucił niemowlaki pobieżnym spojrzeniem. Wyglądały jak małe żywe rzepki.

- Bardzo miłe - powiedział.

- Chciałby pan potrzymać któreś, sir? - spytała Kathy.

Dziecko otworzyło buzię i zapłakało, wydając długi, zanoszący się ryk niezadowolenia. Wpatrywał się w nie w oszołomieniu. Że też coś tak 153

małego może być takie głośne... I takie wściekłe... I takie czerwone: twarzyczka momentalnie stała się purpurowa. Powietrze rozdarł kolejny wrzask. Wyglądało na to, że niemowlę odziedziczyło płuca po matce.

Nie do wiary, ale Kathy najwyraźniej nic sobie z tego nie robiła, że dziecko zmieniło się w upiora.

- No - podsunęła mu je jeszcze bliżej pod nos.

- Nie... - ściszył głos. - Nie. Ja... ja... moje ręce - wskazał jedną ręką, nienagannie czystą, drugą ręką, równie czystą, i dodał: - Są brudne. Bardzo brudne. Nie wolno dotykać dzieci takimi rękami.

Wszystkie trzy dziewczyny spojrzały na niego ze zdziwieniem.

- Ach tak - powiedziała Teresa i wzruszyła ramionami. - No, trudno... W takim razie wrócimy do tematu kiedy indziej.

- Dobrze - zgodził się ochoczo. - Kiedy indziej. Bardzo... bardzo miłe dzieci. - Skinął Teresie głową i szybko uciekł. W kilka sekund był

już w połowie schodów.

Usłyszał Bernarda, zanim go jeszcze zobaczył. Sapiąc głośno, chłopak taszczył w stronę okna ogromną lornetkę.

Avery rozejrzał się. Zaskakujące - na strychu, gdzie zwykle jest rozgardiasz, panował wzorowy porządek. Znajdowało się tu tylko parę kadłubów łodzi parowych, szafa bez drzwi, potrzaskany kredens i wielkie, lekko już chyba spleśniałe łóżko z baldachimem. Dziwne, ale łóżko sta

ło dokładnie na samym środku strychu.

Bernard, nieświadomy obecności Avery'ego, zdążył już umieścić lornetkę na wprost okna i regulował właśnie soczewki.

- Witaj, Bernardzie - odezwał się łagodnie Avery, podchodząc do kąta, który urządził sobie chłopak. Przewrócona do góry dnem maślnica służyła mu za stół, stosy książek podpierały połamany fotel, a obok niego stała waza, z której unosiła się para i woń rosołu.

Chłopak uniósł głowę. Drgnął zaskoczony, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Kuzyn Avery! Myślałem, że znowu poszedł pan z ludźmi Drummonda. Właśnie próbowałem znaleźć pana za pomocą tego - poklepał

czule starą lornetkę.

- Często tu przychodzisz, prawda? - Avery spojrzał na zeschłe skórki chleba i zmięte, zatłuszczone papiery, jakich pełno było wokół fotela.

- Tak, chyba tak - rzekł Bernard. - To głupie, prawda? To znaczy głupie jest to, że tak czekałem, żeby być z rodziną, a jak już jestem, wszystko jest jakieś inne, nieznane - i muszę czasem gdzieś się ukryć.

Avery rozumiał to. I on, kiedy był dzieckiem, tęsknił nieraz za Mill House, a mimo to potrzebował później samotności, by przeżywać jesz-154

cze raz wydarzenia dnia, odtwarzać w pamięci każdy szczegół, każdy zapach, każdy centymetr kwadratowy tego miejsca. Dopiero kiedy dorósł, nauczył się czuć swobodnie w obecności innych, ale i tak dotyczyło to tylko paru bliskich towarzyszy. Niełatwo się zaprzyjaźniał, a nielicznych przyjaciół, jakich miał, traktował jak skarb... Przez głowę przemknęło mu wspomnienie smutnej twarzy Karla.

Gdyby tak zdołał go wtedy uratować! Tyle razy odtwarzał później po nocach w pamięci dzień jego śmierci, wykreślał od nowa ich ostatnią wspólną trasę przez śnieżne pola Grenlandii, zadawał sobie pytanie, dlaczego Karl był wtedy po jego prawej, a nie lewej stronie, zastanawiał

się, czy powinien był się upierać, by poszli gęsiego...

Potem zaczęło dręczyć go poczucie winy, a wspomnienie o Karlu zamieniło się w bolesny ciężar. Wreszcie przeczytał list Lily, kwintesencję chłodnego współczucia i nieomyślnej mądrości.

Tyle że jej listy, włącznie z tym ostatnim, który znaczył dla niego tak wiele, dawały, niestety, fałszywe świadectwo o tej kobiecie.

Ona wcale nie była taka mądra... Z bólu i cierpienia swojej matki uczyniła pole walki o prawa kobiet. Uśpiła swe serce, zamknęła je. Nigdy nie zajmie w jej życiu takiego miejsca, jakie ona zaczęła zajmować w jego.

- Pan, naturalnie, zawsze będzie mile widziany w Mill House - rzekł

Bernard. - To znaczy, wiem, że to nie moje i że nie powinienem się wyrażać w ten sposób, ale...

Avery spojrzał na niego pytająco. Po chwili zdał sobie sprawę, że chłopak błędnie tłumaczy sobie jego milczenie.

- Czy sprawa własności domu nie daje ci spokoju? - spytał, wiedząc, że chłopak, jako spadkobierca Horatia, miał większe prawo do Mill House niż Lily czy on.

- Co? - Bernard zamrugał, zaskoczony. - A... Nie, skąd!

Avery poczuł ogromną ulgę. Gdyby odpowiedź była inna, musiałby przekonać Lily, aby dała dom chłopcu, o ile by mu na tym zależało...

Ale przecież, gdyby mu zależało, to jako bezpośredni spadkobierca Horatia mógł sobie pozwolić na kupienie domu od Lily.

- Mam na myśli - ciągnął Bernard - że to jest, owszem, szalenie przyjemne miejsce, ale prawdę mówiąc bardziej mi odpowiada życie w mieście. Taka surowa, prymitywna egzystencja to nie dla mnie.

- Naprawdę? - Avery przyjrzał się kuzynowi. Sądził, że chłopak jest trochę podobny do niego: kocha przygody i wyzwania... - Mogłoby się okazać, że odpowiada ci ta „surowa, prymitywna egzystencja”, gdybyś miał szansę naprawdę jej zasmakować.

155

B

21

Avery uśmiechnął się melancholijnie. Nawet kiedy był mały, uwa

żał, że to uroczy przykład marnotrawstwa - sala balowa na farmie. Ciekawe, ile balów się tu tak naprawdę odbyło... Wszedł do środka w momencie, gdy Bernard odsłaniał ostatnią z atlasowych draperii barwy kości słoniowej, które okrywały sięgające od podłogi do sufitu okna.

Rozejrzał się dookoła oszołomiony.

Wypchany hinduski bawół już na zawsze rył nogą lśniąca deski pod

łogi, uwieczniony w tej pozie przez zręcznego rzemieślnika. Tygrys czał

się do skoku pomiędzy manekinem w stroju maoryskiego wojownika, a innym, przyodzianym w szaty Beduina. W lejącym się przez okna słonecznym blasku wygrzewał się krokodyl o złośliwie lśniących szklanych oczach. Gabinet osobliwości... Naokoło sali stały długie stoły, na których spoczywały w rzędach eksponaty, każdy starannie opatrzony etykietą.

Wszystko, co kiedykolwiek przysłał Bernardowi, znajdowało się w tym pokoju. Bardziej kruche okazy zostały pieczołowicie zamknięte w szklanych słojach, a te, które nie potrzebowały takiego zabezpieczenia, były świeżo odkurzone. Etykietki, wypisane znanym, nienagannym kobiecym pismem, informowały o dacie, miejscu i okolicznościach zdobycia danego eksponatu.

Nie mógł wykrztusić słowa. Patrzył na triumfalną minę Bernarda i nie potrafił nic powiedzieć. Chłopak nie zdawał sobie nawet sprawy, co mu zrobił... Żadna kobieta nie poświęcałaby wyłącznie z poczucia obowiązku tyle czasu i wysiłku w sporządzanie kroniki życia mężczyzny, dla którego nie miałyby względów. To był niepodważalny dowód, że Lily Bede zależy na nim - i zawsze zależało.

Ale co to za różnica, psiakrew? Czy on i Lily Bede mieli przed sobą jakąkolwiek przyszłość? On pragnął mieć rodzinę, rodzinę, która nosiłaby jego nazwisko.

Bez słowa wyszedł z pokoju, ścigany poczuciem nieodżałowanej straty.

ernard nie poszedł na bal do Camfieldów. Utrzymywał, że jest bardzo zmęczony, niemniej wymusił na matce obietnicę, że pójdzie bez niego. Pozostali, nie starając się nawet wymyślić żadnej wymówki, zajęli się przygotowaniami do uroczystości.

158

Panie, wchodząc do powozu, który miał zawieźć ich na miejsce, wyglądały na tak przejęte, jakby udawały się co najmniej na inkwizycję.

Ten niepokój udzielił się też Avery'emu. Jechali w milczeniu, jeśli nie liczyć jego napadów kichania. W końcu, gdy kichanie stało się już bardzo uciążliwe, Lily zdecydowała się odezwać.

- Źle się pan czuje? - spytała rozdrażniona.

Równie nerwowa była jego odpowiedź.

- To te przeklęte konie.

- Konie?

Twarz Lily krył obszerny kaptur płaszcza. W świetle latarni, wiszącej za oknem powozu, Avery dostrzegał jedynie jej ciemnoczerwone wargi.

- Tak. Mam alergię na te ohydne kreatury - rzucił bezceremonialnie. Co za różnica, czy będzie wiedziała o jego słabości, czy nie? Tak czy owak, zawładnęła już jego sercem.

Wiadomość ta wytrąciła ją na chwilę z równowagi. Nachyliła się ku niemu.

- A ja myślałam...

Cokolwiek myślała, nie został w to wtajemniczony. Zaciśnęła usta, odwróciła się i uparcie milczała aż do końca drogi.

Kiedy przyjechali, Lily wyskoczyła przeciwległymi drzwiami. Avery pomógł wysiąść Francesce i Evelyn i poprowadził je do wejścia. Lily zdążyła już tymczasem zniknąć we wnętrzu domu.

Avery wszedł i rozejrzał się dyskretnie. Najwyraźniej Camfield przeprowadził gruntowny remont...

Od ułożonej w mozaikę marmurowej posadzki pięły się w górę ozdobne kręcone schody. Ogromne, pełne kwiatów wazony stały po obu stronach podwójnych drzwi prowadzących do obszernego salonu, gdzie pod ścianami stały ku wygodzie gości chyba wszystkie - na ile mógł to ocenić Avery - meble tego domu.

Iluż było tych gości... Chyba ze stu ludzi tłoczyło się, stąpając z wystudiowaną godnością niczym żurawie w godowym tańcu - proste szyje, wysoko uniesione podbródki, oczy starannie oceniające tych, którzy przechodzili obok, choć sami byli tak samo oceniani.

Co dziwne, tłum ten zdawał się doskonale bawić. Twarze rozjaśnione były oczekiwaniem, wargi rozciągnięte w uśmiechu. Od czasu do czasu rozlegał się perlisty śmiech, a szkło i porcelana pobrzękiwały niczym chińskie dzwoneczki na wietrze.

Nigdzie nie było widać Lily. Świadom swoich obowiązków, poprowadził niczym pasterz Francescę i Evelyn przed oblicza gospodarzy.

Skinął głową Camfieldowi, pochylił się krótko nad dłońmi jego sióstr i wreszcie z ulgą dotarł do końca powitalnego szeregu.

159

No, a teraz gdzie jest Lily?

Natychmiast po odprawieniu powitalnej ceremonii obie Camfieldówny uczepliły się jego rękawów. Dopiero interwencja brata uwolniła go od ich względów. Sprawdził czas na kieszonkowym zegarku. Byli tu zaledwie od godziny, a on już czuł znudzenie.

- Muszę przyznać, Avery, że bardzo ci do twarzy w wieczorowym stroju - zauważyła figlarnie Francesca. - Co za szczęście, że znalazłeś krawca, który tak szybko sprawił ci odpowiednie ubrania!

-Yhm.

- No tak... Elokwentny jak zawsze. Kto ci pisał te reportaże, mój drogi? - Nie czekała bynajmniej na odpowiedź. Zarumieniona, o lśniących oczach śledzących z uwagą kłębiący się tłum, przypominała mu kota, którego wpuszczono do gołębnika. - Wiem, że to dla ciebie męczące, ale proszę, spróbuj być miły. Lily będzie łatwiej, jeśli ludzie dowiedzą się, że zyskała twoją przychyłność.

- Ja zawsze jestem miły - powiedział. - A co do Lily, to moja przychyłność nie jest jej do niczego potrzebna. Najwyraźniej w nosie ma ludzi i ich akceptację. Inaczej nie paradowałaby po wsi w spodniach -

nie spieraj się ze mną, Francesco - i nie irytowałaby ich służby swoją ekstrawagancją. Pewnie i dzisiaj ma na sobie coś podobnego... Tyle że w kolorze różowym.

- Hmm... - Franceska uśmiechnęła się podejrzanie.

- A w ogóle gdzie ona się podziewa, do diabła?

- Spokojnie, mój kochany - poradziła mu Francesca. - Mówisz tak, jakbyś był rozdrażniony. Jeśli spojrzysz w tamtą stronę, zobaczysz ją.

Rozejrzał się. Poprzez tłum dostrzegł w głębi sali Martina Camfielda, który z ożywieniem rozmawiał z jakąś czarnowłosą kobietą. Jej smukłe plecy o wdzięcznej linii były niemal nagie. Nic dziwnego, że Camfield zdawał się ożywiony... Dama zaczęła się odwracać. Avery miał

tylko nadzieję, że Lily jest świadkiem, jak Martin pożera wzrokiem...

niemożliwe, czy to była...?

Tak, to była Lily. Lily ubrana - nie, raczej rozebrana - w coś niesamowicie seksownego, z przejrzystego, cienkiego jak bibułka czarnego jedwabiu na połyskliwym atłasowym spodzie w kolorze ciała. W czarnych atłasowych różach zdobiących spódnicę i stanik lśniły dzęty. Szyja i ramiona wznosiły się nad wycięciem sukni jak wypolerowany księżycowym blaskiem bursztyn... A jej spodnie? Gdzie, do diabła, podziały się jej spodnie?

- Uważaj na swoje oczy, mój drogi - mruknęła Francesca ubawiona.

- Bo jeszcze ci wyskoczą...

160

- Skąd ona to ma? Lily nie stać na taką kosztowną suknię!

- Nie. Ale mnie stać. Przerobiłyśmy ją na jej figurę. Przykro mi to stwierdzić, ale przy tych czarnych jak atrament włosach jest jej w tej sukni znacznie bardziej do twarzy niż kiedykolwiek było mnie.

- Nie! Wcale jej nie jest do twarzy.

- Ciszej, mój drogi... Mówisz jak zazdrosny mąż. Obawiam się, że jednak jest. - Francesca uniosła ku niemu twarz i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Wzrok, jakim patrzą na nią inni dżentelmeni, w żadnym razie nie ma w sobie nic z dezaprobaty.

Dżentelmeni? Avery rozejrzał się. Co najmniej pół tuzina mężczyzn spoglądało z zainteresowaniem na Lily.

- Co za zuchwałość... Co za brak wychowania? Jak oni śmiały wpatrywać się w nią, jakby była...

- Kobieta?

Przez chwilę nie był w stanie nic mówić. Ledwo się powstrzymał, aby nie zrzucić z siebie surdutu, nie okryć nim ramion Lily i wyprowadzić z sali. Zbyt pochłaniała go walka z dojmującym pragnieniem, by strząsnąć surdut, rzucić się ku Lily, zawinąć ją weń i wynieść stąd.

- Zachwycająco wygląda, prawda?

Zachwycająco... Niech licho porwie tę Francescę, Lily rzeczywi

ście tak wyglądała. Ciemna, egzotyczna, wspaniała i obca, była jak czarny łabędź w kluczu czapli.

- Nie powinnaś była nakłaniać jej do wkładania na siebie czegoś takiego, Francesco. Musi czuć się okropnie niezręcznie, przyciągając w ten sposób uwagę...

Francesca wzruszyła ramionami.

- Nie wygląda na nieszczęśliwą. Raczej jest zadowolona.

Tak, psiakrew, rzeczywiście. Oczy jej lśniły, usta miała lekko uchylone, tak jakby zamierzała coś powiedzieć, szepnąć... Albo jakby miał

ją ktoś pocałować. Śmieszne, bo przecież stała pośrodku sali balowej, na miłość boską! Przejechał palcami po włosach i gnany pragnieniem, by przerwać ich milczenie, i lękiem, że mu się to nie uda, przeprosił

Francescę i ruszył poprzez tłum.

Muzycy w odległym kącie sali zaczęli stroić instrumenty. Mógłby zatańczyć z Lily. Skorzystał z okazji, żeby wziąć ją w ramiona, objąć mocno... W tej chwili była sama, choć paru mężczyzn spoglądało na nią ukradkiem.

-Lil... panno Bede?

Odwróciła się. Po jej twarzy przebiegł cień ulgi.

- Avery.

11 - Mój najdroższy wróg

161

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej zwracała się do niego po imieniu. Jakież to było wspaniałe, bezpośrednio... Kryło w sobie obietnicę czegoś, do czego rozpaczliwie tęsknił.

- Pani suknia.

- Tak? - uniosła brwi. Milczał, więc ponagliła go: - Co moja suknia? - Jest... - Zachwycająca? Nie był chyba w stanie jej tego powiedzieć. Ładna? Zbyt pospolite. - Francesca powiedziała, że bardziej pani w niej do twarzy niż jej. Myślę, że ma rację.

Iskierki rozbawienia zaślniły w jej ciemnych oczach.

- Och, cóż za pochlebca...

Poczuł, że palą go policzki.

- Miałem tylko na myśli, że wygląda pani dziś bardzo ładnie.

- Jak prawdziwa dama.

Dama? Z tymi nagimi plecami?

- No... bardzo kobieco.

Roześmiała się i cała obawa, jaką czuł dotychczas, gdzieś się rozplynęła. Lily potrząsnęła głową.

- Pan chyba rzeczywiście nie jest zdolny do dyplomacji... To znaczy, zawsze mówi pan dokładnie to, co ma pan na myśli.

Zmarszczył brwi.

- Czy... czy uważa pani, że to defekt w mojej osobowości?

Znów potrząsnęła głową.

- Nie. Niektórzy mogą czuć się z tym niezręcznie i nie jestem pewna, czy podobne zachowanie jest w towarzystwie na miejscu, ale ja wolę słyszeć od pana prawdę niż kłamstwa. - Jej uśmiech stał się nieco gorzki. - Przynajmniej wiemy, na czym oboje stoimy.

Postąpił naprzód, żeby dotknąć jej ramienia, niechcący potrącając stojącą obok kobietę.

-Lily...

- Pan Thorne! - zagruchał kobiecy głosik. - Tak się cieszę, że znów pana widzę! Choć podejrzewam, że uzna pan za niewłaściwe, że się do tego przyznaję...

Avery spojrzał na gęste jasnoblonde loki, a potem w zielone oczy młodej kobiety. Któż to jest, do krośce? Za kobietą stała Francesca z wyrazem skruchy na twarzy, a przy jej boku Camfield.

- Ach... tak, panno...

Różany pączek ust ściągnął się powabnie.

- Pan Camfield przedstawił nas sobie pół godziny temu.

Czekał.

162

- Andrea Moore, córka lorda Jessupa - rzekła dziewczyna z igrającym na twarzy rozbawieniem. Camfield ujął tymczasem urękawiczoną dłoń Lily i poprowadził ją w kierunku parkietu. Szlag by to... Na pewno będą tańczyć.

- Panie Thorne?

Opuścił wzrok na blondynkę. Trzepotała rzęsami w górę i w dół.

Pewnie coś jej wpadło do oka...

- Lorda Jessupa? Ach tak. Czego pani sobie życzy? - spytał.

Spojrzała na niego zmieszana.

-Ja... ja...

Dlaczego ta przekłeta dziewczyna nie może z siebie czegoś wydusić? Spojrzał na Francescę. Wzruszyła ramionami. Wzrok małej Moore powędrował za jego spojrzeniem i z ulgą spoczął na Francescę. - Proszę mi wybaczyć, panno Thorne - powiedziała. - Nie wiedzia

łam, że pani tu jest. Jak się pani miewa?

- Radzę sobie, panno Moore - odparła słodko Francesca. - Czy gratulowałam już pani licznych plakatów w witrynach londyńskich sklepów, na których widnieje pani śliczna buzia? Doprawdy, wyrugowała pani wszystkie inne londyńskie piękności.

Dziewczyna uśmiechnęła się sztucznie. Avery popatrzył w tłum poza nią, tam gdzie poszli tańczyć Lily i Camfield. Nie było ich widać.

- Czy to nie cudowne, Avery? - spytała Francesca.

Gdzie oni mogli pójść, do licha? Wyzwolona czy nie, Lily mimo wszystko dbała o swoją reputację.

- Prawda? - nalegała Francesca.

- Co prawda, Francesco? - spytał niecierpliwie Avery.

- Czy to nie cudowne, że nasza panna Moore z Devon jest najpopularniejszą spośród profesjonalnych piękności?

- Profesjonalnych piękności? Doprawdy, Francesco, zawsze uwa

żałam cię za rozsądną kobietę, ale nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Wybaczą mi panie - wykonał stosowny ukłon w stronę Franceski i stojącej z otwartymi ustami blondynki i poszedł szukać Lily.

- No nie! - rzekła Andrea Moore, córka lorda Jessupa, gwiazda londyńskiego sezonu i najurodziwsza istota, jaką kiedykolwiek wydało hrabstwo Devon. - Co za nieokrzesany gbur. Jest zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam, czytając jego reportaże.

- Szuka Lillian Bede - wyjaśniła Francesca. - Być może ją pani widziała? Lśniące włosy, cera jak śmietanka, oczy czarne jak noc, figura jak u greckiej...

163



- Czy on nie zdaje sobie sprawy, kim jestem? - przerwała brutalnie Andrea. - Jak to możliwe? Przecież co noc piją moje zdrowie w co najmniej pięciu prywatnych klubach dla dżentelmenów w Kensing-ton! - Z pewnością, kochanie. - Francesca poklepała obrażoną dziewczynę po ręce. - Ale Avery rzadko bywa w mieście. Szkoda, prawda?

Avery szukał Lily i Camfielda przez prawie dziesięć minut. W końcu ruszył do hallu i zaczął kolejno otwierać drzwi. Kilka mniejszych pomieszczeń było przewidzianych do gry w karty, jedno zostało przeznaczone na szatnię. Siwowłosa dama dała mu w niedwuznaczny sposób do zrozumienia, że pokój, do którego zamierzał wtargnąć, jest zarezerwowany dla dam. Chociaż zaskoczył co najmniej trzy pary w sytuacjach co najmniej niestosownych, Lily i Camfielda nie znalazł.

Pozostał jeszcze tylko jeden pokój na tym piętrze, do którego nie zajrzał. Spojrzał na eleganckie, ozdobne kręcone schody. To niemożliwe, by mogła być tak nierozważna, żeby tam wejść...

Otworzył drzwi do ciemnego pomieszczenia i zajrzał do środka.

Pewien był, że uchwycił kątem oka jakieś ukradkowe poruszenie. Stał

w drzwiach, wyęzając słuch. Jeśli Camfield i ona, tu, w tej ciemności...

- Pozwoli pan, że zapalę panu światło, stary.

Avery odwrócił się gwałtownie, niemal wpadając na gospodarza.

Camfield wyciągnął rękę ku gazowemu kinkietowi na ścianie. Pokój zalało światło. Była to biblioteka, pełna wyściełanych skórą mebli i ciężkich draperii w kolorze burgunda. Ściany miała wyłożone oliwkową tapetą w paski.

- Wejdzie pan? - Camfield wyciągnął zza niego ramię w zapraszającym geście. Avery wszedł. Camfield wyjął z wewnętrznej kieszeni pudełko z cygarami, otworzył srebrne wieczko z jakąś inskrypcją i wyciągnął cygarniczkę ku gościowi.

- Cygaro? Kubańskie.

Nie było źdźbła niechęci w twarzy tego człowieka... Gospodarz w każdym calu, wyglądał jak uosobienie życzliwości. Gdyby to on przy

łapał jakiegoś typa, jak myszkuje po Mill House, otwiera pozamykane drzwi i tak dalej, z pewnością

nie potraktowałby go tak łagodnie... Najwyraźniej mieli zachowywać się jak dżentelmeni. Po raz pierwszy Avery przeklinał tę rolę.

- Dziękuję - powiedział, przyjmując cygaro i ogień. Zaciągnął się paroma krótkimi, szybkimi pyknięciami. Dobre cygaro.

164

- Brandy? - spytał Camfield.

- Nie, dziękuję.

- Sądzę, że po pańskich przygodach towarzyskie spotkania, szczególnie tego rodzaju spotkania, wydają się raczej monotonne i nudne? -

wyraził przypuszczenie Camfield, zapalając własne cygaro.

- Skądże znowu.

- Moje siostry, na wypadek gdyby pan nie zauważył, zadurzyły się w panu.

- A pan chciałby mnie ostrzec? - spytał z nadzieją Avery w przewidywaniu jakiejś przyjemnej kłótni. W końcu jest powód, dla którego prowadzą z Camfieldem tę grzeczną rozmowę w bibliotece.

- Na Boga, nie! - wykrzyknął Camfield. - Absolutnie. Szczerze by mi ulżyło, gdyby przynajmniej jedna wpadła w małżeńskie pęta. Nie przychodzi mi na myśl ani jedno zastrzeżenie. Dobre nazwisko, porządna stara rodzina... Ależ naturalnie, proszę działać, jeśli jest pan zainteresowany.

- Och. - Avery poczuł się tak, jakby uszło z niego powietrze. -

Cóż... nie jestem zainteresowany.

- Nie - powtórzył ze smutkiem Camfield. - Tak też myślałem... -

Po chwili podjął: - A jak podoba się panu mój dom?

- Bardzo przyjemny.

- Należy do rodziny już... cztery lata - uśmiechnął się. - My, Cam-fieldowie, pochodzimy z Derbyshire. Nasza rodzina plebania przeszła na własność starszego brata i w ten sposób zmuszony byłem zapoczątkować moją własną dynastię. Muszę powiedzieć, że idzie mi nie najgorzej ... Gotów jestem rozszerzyć moje posiadłości. Cały problem w tym, że ziemia w tej okolicy ma już właścicieli. Z wyjątkiem Mili House.

- Mill House również ma właściciela.

- Tak - zgodził się Camfield. - Ale kto nim właściwie jest? Panna Bede czy pan? Sądzę, że za parę

tygodni będą wiedział, z kim mam ubijać interes.

- Skąd pan ma takie dokładne wiadomości? - spytał Avery.

- Od panny Bede.

- Przyjaźnicie się, prawda? - Avery wyjął cygaro z ust i strząsnął od niechcienia popiół do srebrnej popielniczki.

- Przyjaźnimy?

- Pan i panna Bede. Zwierzacie się sobie i tak dalej...

- Och! - Camfield zamrugał, tak jakby obrót, jaki przybrała rozmowa, zaskoczył go. - Tak. Jest bardzo inteligentna i całkiem na bieżąco, jeśli chodzi o nowoczesne metody uprawy ziemi.

165

Avery nie dał się oszukać. Z drugiej jednak strony, pomyślał ze zło

ścią, nie miał żadnego prawa wypytywać Camfielda na temat jego stosunków z Lily... Nie miał też prawa go powstrzymywać.

Jeden tylko był powód, dla którego mężczyźni mogło zależeć na przyjaznych stosunkach z kobietą, o której wiedziałby, że nigdy nie zamierza wyjść za mąż - lepiej więc, żeby Camfield dla własnego dobra nie poznał poglądów Lily na małżeństwo... Niech go szlag!

- Jakie są pańskie zamiary wobec panny Bede? - wyrzucił z siebie, zniecierpliwiony całym tym owijaniem w bawełnę.

- Moje zamiary wobec panny Bede? - Camfield zrobił okrągłe oczy, a usta mu się skrzywiły. Cygaro zwisło na dolnej wardze. - Nie rozumiem.

- Do rzeczy, człowieku. Panna Bede nie ma nikogo, kto by dbał o jej interesy, skoro więc mieszka z moją rodziną może pan,.. - zawiesił głos.

- Z panną Bede nic mnie nie wiąże - rzekł Camfield, wciąż sprawiający wrażenie oszołomionego. - Podziwiam ją i szanuję, to wszystko.

- Czemu zatem przyjechał pan do niej w odwiedziny z całą rodziną?

Camfield poczerwieniał.

- Moje siostry przyjechały, żeby... no... poznać pana, a to wymaga

ło również spotkania z panną Bede. Zwróciłem im uwagę, że były okropnie wyniosłe - pospieszył z wyjaśnieniem. - To znaczy, nikt nie wymaga od nich, żeby wchodziły w bliską zażyłość z tą

dziewczyną, prawda?

Ale okazjonalna wizyta, zaproszenie na jakieś większe, bardziej egalitarne przyjęcie... Tego rodzaju rzeczy raczej im nie zaszkodzą, a mnie z pewnością pomogą.

- Pomogą panu? - spytał Avery zwodniczo łagodnym głosem.

- Tak - rzekł Camfield. - To właśnie miałem na myśli. Sądzę, że domyślił się już pan, iż zamierzam wystąpić z ofertą względem Mili House. Podtrzymywanie przyjaznych stosunków z właścicielem majątku, na który mamy apetyt, to po prostu dobry interes. - Uśmiechnął się do Avery'ego. - Ta sama zasada obowiązuje w stosunku do innych potencjalnych właścicieli. Może jednak trochę brandy?

- Nie. - Avery cisnął cygaro do stojącej za nim kryształowej popielniczki. - A zatem pańska uprzejmość wobec panny Bede to wyłącznie kwestia korzyści materialnych?

- Tak - przyświadczył pogodnie Camfield. - Dobry Boże, człowieku, chyba nie przypuszczał pan choćby przez chwilę, że może chodzić o coś innego? To znaczy, panna Bede jest oczywiście przystojną niewiastą, w pewien szczególny, nietutejszy sposób, ale z pewnością nie należy do kobiet, do których można by się poważnie zalecać! Na litość boską, 166



człowieku, ja jestem dżentelmenem, i stworzę z kobietą jedynie szanowany związek. Nawet taka dziewczyna jak Lillian Be...

Nie dane mu było wymówić do końca jej nazwiska.

Zanim Lily opuściła pokój wypoczynkowy dla kobiet, przygładziła włosy i uszczypnęła się w policzki, żeby poróżowiały. Na szczęście jedna ze służących Camfieldów przyniosła igłę i nitkę, za pomocą których Lily zdołała przymocować na powrót oberwaną koronkę do sukni Evelyn - pamiątkę po pewnym właścicielu ziemskim o krowich nogach, który przed chwilą nastawał, by Evelyn z nim zatańczyła.

Wychodząc, spojrzała na ścienny zegar. Szycie trwało dłużej, niż się spodziewała. Co nie znaczy, by się gdzieś szczególnie spieszyła...

Z wyjątkiem paru egzaltowanych matron, które dopadły ją wcze

śniej w kącie i prosiły, by przesłać im wiadomość o kolejnym spotkaniu Koalicji na Rzecz Emancypacji Kobiet, prawie z nikim nie rozmawiała.

Pewien młody człowiek poprosił ją do tańca, ale triumfalne spojrzenia, jakie rzucał przy tym swoim towarzyszom, szybko odebrały jej przyjemność, którą mogłaby czerpać z tej rozrywki. Kiedy poprosił ją następny, odmówiła.

Evelyn, po przywróceniu stanu jej sukni do poprzedniej świetności, dostała okropnej migreny i przyjęła propozycję Camfieldów, by odpocząć w jednej z sypialni. Francesca płasała z tłumem dżentelmenów niczym świętojański ogień na nocnej łące. A co do Avery'ego, to ostatnim razem widziała go pochylającego się ku wspaniałej, zgrabnej sylwetce Andrei Moore.

Na progu sali balowej zatrzymała się. Nagle zawahała się. Nie chcia

ła widzieć, jak Avery trzyma w ramionach inną kobietę, choćby w tańcu... Co za głupota! Przecież nie ma wobec niego żadnych oczekiwań.

Wszystkie te jej sentymentalne fantazje na temat jego dobrego serca, skłonności do współczucia, rozculeń do łez... Szło o zwykły przypadek alergii! Zebrała się w sobie, by wejść do sali, gdy wtem zza wpół-

otwartych drzwi tuż obok dobiegł ją głos Martina.

- ...z pewnością nie należy do kobiet, do których można by się poważnie zalecać. Na litość boską, człowieku, ja jestem dżentelmenem i stworzę z kobietą wyłącznie szanowany związek. Nawet taka dziewczyna jak Lillian Be...

Słowa zostały gwałtownie ucięte. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia.

Każdy centymetr kwadratowy skóry Lily zapłonął żywym ogniem.

Okręciła się w miejscu i niemal wpadła na jedną z Camfieldówien -

167

22

N

chyba Molly? Przez ułamek sekundy na twarzy dziewczyny gościł wyraz niesmaku, który natychmiast ustąpił miejsca pełnemu towarzyskiej gościnności uśmiechowi.

- Ach, panna Bede. Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi? Czy rozgląda się pani może za jakimś miejscem do odpoczynku? Mamy tu...

W tym momencie sąsiednie drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich Martin Camfield, trzymając się za prawy policzek. Nawet spomiędzy palców widać było pod okiem ciemny obrzęk. Przeniósł zdumione spojrzenie z siostry na Lily, tam i z powrotem... i jego bladą cerę zabarwił gwałtowny rumieniec.

- Martin! - wykrzyknęła Molly. - Co ci się stało w oko?

- Yyyy... to głupie, ale wpadłem na drzwi - mruknął. - Pójdę lepiej do kuchni i poszukam trochę lodu.
- Skinął głową i pośpieszył wzdłuż hallu.

- Nigdy nie widziałam, żeby Martin był taki niezgrabny! Zastanawiam się... - Cokolwiek miała zamiar powiedzieć, zamilkła, gdy w drzwiach ukazał się Avery, który wyszedł z biblioteki z nachmurzoną miną. Kostki prawej dłoni miał czerwone.

- Panie Thorne! - jęknęła Molly. - Co się panu stało w rękę?

Nawet się nie zatrzymał. Przeszedł obok.

- Przytrzasnąłem sobie, psiakrew, drzwiami.

ie sądzi pan, że powinniśmy się upierać, żeby Francesca wróciła razem z nami? - spytała Lily, gdy cisza w powozie trwała tak długo, że stało się to nie do zniesienia.

- Mogliśmy się upierać - odparł krótko Avery, patrząc przez okno na mijany krajobraz - ale to by i tak nic nie zmieniło. Miała powodzenie. - I jest pan pewien, że Evelyn wyjechała wcześniej?

Zaledwie była w stanie dostrzec jego skinięcie.

- Tak. Podobno któryś z sąsiadów odwiózł ją do domu. Nie sądzi pani chyba, że zostawiłaby Bernarda dłużej niż na godzinę, nieprawdaż?

Nie miała na to odpowiedzi. Siedziała w milczeniu, zadowolona, że ciemny kąć pojazdu krył ją dostatecznie, by mogła obserwować swego rozmówcę.

168

Księżyc oblewał jego twarz lodowatym blaskiem; to sprawiało, że na tle sztywnego białego kołnierzyka i śnieżnej bieli krawatu jego opalona skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza. Włosy, rozwiane nocnym wiatrem, opadały mu na czoło.

Należał do najbardziej męskich istot, jakie Lily mogła sobie wyobrazić. Wytworny strój nie był w stanie zniweczyć tego wrażenia; podkreślał jedynie jego wzrost, szerokość barków i siłę mięśni.

I czy traktował ją życzliwie, czy nie, jakkolwiek byłoby to irracjonalne czy chybione, miało to dla niej znaczenie. Przyjemnie jej było na niego patrzeć i tym razem nie wzbraniała się przed tym uczuciem.

- Nie musiał go pan uderzyć - odezwała się.

- Kogo? - odpowiedział tak szybko, że wiedziała, iż oczekiwał, że prędzej czy później ona poruszy tę kwestię. - Nie wiem, o czym pani mówi.

- Martina Camfielda. Byłam w hallu. Słyszałam, co powiedział, albo raczej co miał zamiar powiedzieć.

- Cóż za nieprawdopodobne oskarżenie. - Znowu pociągnął nosem i kichnął. - Jestem dżentelmenem. Nie mam zwyczaju wymierzać policzków gospodarzom przyjęć. Proponuję, żeby powściągnęła pani nieco swoją skłonność do podsłuchiwania pod drzwiami. Prowokuje to tylko pani żywą wyobraźnię do większych szaleństw.

Ona jednak teraz już wiedziała. Cokolwiek by mówił, nic nie mogło odebrać jej tej pewności.

- Uderzył go pan, bo myślał, że Camfield igra z moim uczuciem -

odparła.

Rozejrzał się. Twarz wciąż miał skrytą w mroku powozu, ale włosy lśniły w blasku księżyca jak sztabka tajemniczego metalu.

- Jeśli miałbym kogokolwiek uderzyć - powiedział powoli - to, sądzę, musiałyby mieć miejsce jedna z nielicznych okoliczności, które to usprawiedliwiają. Typ musiałyby na przykład być łajdakiem, ryzykującym, że swoim zachowaniem zrani damę.

- Ponieważ próbujemy ustalić hipotetyczne przyczyny, w jakich jeden dżentelmen może mieć usprawiedliwiony powód, by uderzyć drugiego, czy mogę dodać do tej sytuacji pewien istotny aspekt?

- Hmm.

- Załóżmy, że dżentelmen, który staje w obronie damy, źle odczytał

rodzaj jej zaangażowania. Być może dama wiedziała od początku, że typ, który czaruje ją pochlebstwami, robi to jedynie po to, żeby ułatwić sobie przyszłe negocjacje w interesach. Czy dżentelmen-obrońca nadal miałby prawo pobić swojego gospodarza?

169

- Jeden cios raczej trudno byłoby uznać za pobicie - zauważył Avery.

- Rozumiem.

Zapadła cisza, przerywana tylko stukaniem palca Avery'ego w okienny parapet i od czasu do czasu jego kichnięciem.

- Pozwoliła pani Martinowi Camfieldowi, żeby zalecał się do pani, wiedząc, że robi to tylko po to, żeby wkraść się w pani łaski? - wybuchnął w końcu.

-Tak.

Choć bardzo się starała, nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, jako że blask księżyca padał na niego od tyłu.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- To jedyny mężczyzna, jaki kiedykolwiek okazywał mi względy -

powiedziała, mając nadzieję, że w ciemności nie widać jej rumieńca. -

A poza tym trudno nazwać jego chłodne uprzejmości zalecaniem się.

Pański pocałunek był znacznie bardziej... - urwała, przerażona tym, co powiedziała. Zmieszana wcisnęła się jeszcze głębiej w kąt.

Owładnęła nią świadomość jego bliskości. Zapach jego wykroch-malonej lnianej koszuli, zarys szczęki, świeżo ogolonej, marmurowej gładkości, w której niemal odbijał się księżycowy blask, jego niski, głęboki głos...

- Camfield to idiota - mruknął w końcu. Uniósł rękę. Wstrzymała oddech. Ostrożnie zbliżył dłoń zewnętrzną stroną ku długiemu pasmu włosów spoczywającemu na jej ramieniu. - Chłodne uprzejmości? Czy ja... Jego usta były coraz bliżej. Poczowała, że coś popchnęło ją ku niemu.

Koniuszki jego palców obwiodły linię jej policzka, ześliznęły się niżej, na podbródek, i uniosły twarz ku górze, ku światłu księżyca.

Spostrzeże, niechybnie spostrzeże, jak strasznie go kocha. Ale jakie to może mieć znaczenie dla nich obojga?

- Jak to możliwe, żeby ktokolwiek reagował na panią tak chłodno?

- spytał jakby w zadumie.

Nachyliła się bliżej. Jak gdyby wbrew woli dotknął wierzchem palców jej policzka. Odwrócił dłoń... Dotknięcie zmieniło się w pieszczotę. Zamknęła oczy i otarła policzek o jego palce. Drżące prześliznęły się po jej powiekach, obrysowały zarys warg...

- Lily... - w jego głosie był uśmiech. - Taka jest pani piękna, do licha. Chciałbym...

Ona też by chciała... Nie chciała jednak słyszeć, jak Avery wypowiada na głos marzenia, które nigdy nie mogły się spełnić. Zbyt wiele

stało pomiędzy nimi - dom, dziedzictwo, a przede wszystkim przyszłość, której nie mogli dzielić: on, ponieważ nigdy by się nie zgodził żyć w nieformalnym związku, a ona - bo nie chciała być własnością mężczyzny.

- Ćśśś - szepnęła. Oczy miała wilgotne od łez. Nie chciała, żeby skończył się ten moment. Nie mogła pozwolić, by przeminął.

Poddała się jego pieszczocie, całując ciepłe wnętrze jego dłoni.

Usłyszała, jak gwałtownie zaczerpnął powietrza, i momentalnie znalazła się w jego ramionach. Prawie leżała, otoczona potężnym uściskiem, w cudownie ciemnym wnętrzu powozu, kołyszącym się lekko w ponadczasowej próżni.

Jedną ręką podtrzymując od tyłu jej głowę, otoczył drugim ramieniem talię. Jego usta dotknęły jej skroni, powędrowały ku policzkowi, wargom...

- Boże, Lily. Czuję przy tobie...

Nagle ciszę przerwał potężny krzyk.

- Ogień! - wrzasnął Hob siedzący na koźle. - Boże Wszechmogący! Jedna chwila a zapalą się stajnie!

Lily odskoczyła, uklękła na siedzeniu i niemal do połowy wychyliła się przez okno. Za stajniami, świecąc niczym latarnia morska, stał

w ogniu jeden ze stogów. Płomień, chłostany wiatrem, wysyłał wielkie języki ognia, które lizały południowe podstrzesze stajni. Spod szczytu dachu rzygał już dym, wznosząc się złowrogim czarnym pióropuszem ku jeszcze czarniejszemu nocnemu niebu.

- Szybciej! Hob! Jedźmy szybciej!

Ale Hob położył już bat na końskich zadach. Klacz szarpnęła i pomknęła jak strzała. Lily byłaby wypadła przez okno, gdyby nie schwyci

ły jej silne ręce i nie wciągnęły z powrotem do wnętrza powozu.

- Zabije się pani - powiedział Avery, popychając ją na przeciwległe siedzenie. Zrzucił z siebie żakiet i jednym szarpnięciem zerwał z szyi biały jedwabny krawat, pozbywając się równocześnie i kołnierzyka.

Powóz zatrzęsł się na nierównej drodze. Lily przywarła do okna z oczami utkwionymi w stajniach.

- Moje konie! - głos jej się załamał. - Moje konie...

Nieubłagany chwyt unieruchomił jej ramię i odwrócił. Zobaczyła przed sobą napiętą twarz Avery'ego.

- Niech się pani nie zbliża do stajni - powiedział rozkazującym tonem. - Potrzebuję paru sprawnych ludzi. Proszę iść do Drummonda i znaleźć robotników. Wiadra. Pompę wodną. Ale, do diabła, broń Boże zbliżać się do stajni! Zrozumiała pani?

- Moje konie!



Potrząsnął nią.

- Wydostanę pani przeklęte konie! Przysięgam. A teraz proszę mi obiecać!

Skinęła głową, krótko, jeden raz. Puścił ją i otworzył okno w chwili, gdy Hob zaczął właśnie ciągnąć za ręczny hamulec. Wyskoczył, upadł, przekoziółkował, zerwał się na nogi i rzucił się ku płonącemu budynkowi. Pół dachu było już obwiedzione frędzlami pomarańczowych płomieni, przy akompaniamencie żarłocznego syku pochłaniającego drewno ognia.

Powóz stanął. Zobaczyła, jak Hob zeskakuje z kozła i biegnie ku stajniom. Zadzwoił dzwon, wzywając wszystkich na ratunek. Pchnęła drzwi powozu i wypadła na zewnątrz, na ziemię. Zaczepiła obcasem o jedwabną spódnicę, krzyknęła, zrozpaczona, potem szarpnęła, rozdierając dół sukni i pobięła.

To ona była najsprawniejszym człowiekiem w Mill House. Wszystkie wiadra stały w stajniach, a kuchenna pompa była za daleko. Koło stajni znajdowała się jednak studnia, służąca do napełniania poidel.

Podkasała spódnicę i pognęła w jej stronę.

Dzięki Bogu, na miejscu byli już sezonowi robotnicy. Dwudziestu mężczyzn i młodzieńców, wynajętych na czerwcowe sianokosy, mrowi

ło się wokół płonącego stogu i stajni, ale ich gorliwe wysiłki były bez

ładne i nieskuteczne. Paru z nich uderzało kocami w prowadzące do stodoły ściernisko. Inni chlustali wodą tam, gdzie nie mogło to przynieść wiele pożytku.

Gdyby ogień przedostał się do stodoły, Mill House byłby stracony.

Martin Camfteld mógłby wyznaczyć cenę za to, co zostało.

Avery, z twarzą ściągniętą determinacją, zaczął wykrzykiwać rozkazy. W dziesięć minut miał zespół kopiący rów między stajniami a stodo

łą, drugi, który otaczał płonący stóg, i kolejkę nieustannie pracującą przy polewaniu dachu stajni. Z każdą chwilą powietrze coraz bardziej gęstniało w jego piersi, zatykało gardło, a stalowa obręcz zaciskała się cia

śniej wokół płuc.

Długa jazda powozem w bliskości koni, dym, suche, gorące powietrze, wszystko nieuchronnie prowadziło do ataku. A on nie miał czasu na atak.

Ponad syk płomieni wzbiło się oszalałe rżenie. Kopyta dziko uderzały w drzwi boksów, zady waliły o ściany. Biedne, przerażone konie Lily...

172



Zerwał z siebie koszulę, wsadził do wiadra z wodą i obwiązał usta.

Zaklął wściekle, ale brakowało mu oddechu nawet na przekleństwa.

Wcisnął głowę w ramiona i dał nura do stajni.

Dookoła wirowały kłęby białego dymu, wciąż jednak na tyle przejrzystego, że był w stanie dostrzec rygle przy drzwiach. Otworzył szarpnięciem jeden z boksów i odskoczył. Klacz w boksie tańczyła, dziko tocząc oczami. Błyskały kopyta.

Machnął ramieniem. Klacz, ze ściągniętymi uszami, rzuciła się w tył, odsłaniając zęby.

- Ty przekłeta bestio! - krzyknął Avery. Zerwał z twarzy koszulę i rzucił ją zwierzęciu na oczy. Złapał za zwisające rękawy, skręcił je mocno, zacisnął w formie prowizorycznego kaptura i na wpół wyciągnął

klacz z boksu. Szarpnięciem zrzuciła z głowy koszulę, z plaśnięciem odrzuciła ją na grzbiet, wierzgnęła raz i wybiegła ze stajni.

Pochylił się, z wysiłkiem łapiąc oddech. Mięśnie drżały z braku tlenu, obraz rozmywał mu się przed oczami.

- Nie! - warknął wściekle i kulejąc, zgięty wpół, rzucił się do następnego boksu. Dzięki Bogu, ten koń miał więcej rozumu. Avery szarpnął rygiel i zwierzę pomknęło ku wyjściu, ślizgając się i potykając z po

śpiechu.

Kolejny boks, kolejny koń. Z każdym krokiem biała kotara dymu była coraz grubsza. Zaczął kaszleć, wypuszczając ze sparaliżowanych płuc resztki bezcennego powietrza. Sięgnął drżącą, spoconą ręką do rygla. Zbyt słabą ręką...

Prawie nic nie widział. Zaledwie mógł rozróżnić przed sobą sylwetkę konia, rzucającego się wściekle w swoim wypełnionym dymem więzieniu.

Lily zabije go, jeśli coś się stanie jej koniom... Padł na kolana. Dwa kolejne konie. Nie słyszał ich już, w ogóle nic nie słyszał. Stłumiony, rwący szum zagłuszył trzask i syk płonącego drewna. Oszalałe rżenie ostatniego konia ucichło. Upadł naprzód, na ręce. Słoma ukłuła go w dłonie i ból na sekundę przywrócił mu jasność umysłu.

Lily nie potrzebuje go zabijać. Już jest martwy, pomyślał.

Widziała, jak wbiega do stajni. Nawet w czerwonej poświacie ognia twarz, obwiązana u dołu brudną, ociekającą wodą koszulą, była blada jak u upiora. Pot lśnił na jego muskularnych ramionach i torsie, gdy biegł na wpół przykucnięty, jak gdyby zgięty z bólu.

W chwilę później wybiegła ze stajni przerażona India. Z zadem przy ziemi, waląc kopytami w przypominającym bicie serca staccato, 173

pomknęła przed siebie i zniknęła w ciemnościach. Za nią wybiegł wielki wałach, a potem kolejno, w szybkich odstępach, pięć pozostałych koni.

Reszta była na pastwisku.

Lily pracowała przy studni. Ramiona bolały ją od pompowania wody do wiader. Wokół płonęły jej marzenia przy akompaniamencie złośliwego rechotu trzaskającego drewna i słodkawej, ciężkiej woni palącej się trawy. Mężczyźni krzyczeli, dzwony nieprzerwanie biły na alarm, a w stajni rżał i kwiczał koń.

Podszedł jeden z sezonowych robotników, o twarzy pokrytej bąblami od płomieni, i przejął od niej pompę. Wołając na kolegów, zaczął

poruszać ramieniem z taką siłą, że Lily nigdy nie byłaby w stanie mu dorównać. Odeszła na bok i stopy same poniosły ją ku stajni, a oczy usiłowały dostrzec coś w zadymionym wnętrzu.

Upłynęły minuty, odkąd wybiegł ostatni koń... Dym krążył powoli, gęstszy pod sufitem, odrobinę rzadszy przy ziemi. Nachyliła się i zajrza

ła do środka.

Jeden z koni tłukł się o ściany boksu. Uszy Lily wypełniło oszalałe rzenie i trzask pękającego drewna. Gdzie jest Avery? Potykając się, wbiegła do środka i szarpnęła drzwi boksu.

- Hooo! - wrzasnęła. Uwolniony koń, z pianą u pyska i bielmem na oczach, wystrzelił ze stajni. Lily, szlochając, podeszła do ostatniego boksu i uwolniła jego mieszkańca. Avery... Boże święty, a jeśli jego płuca nie wytrzymały! Rozejrzała się dziko dookoła...

Był. Leżał na ziemi, prawie pod samą ścianą. Runęła wzdłuż przej

ścia i w parę sekund była przy nim. Padła na kolana, chwyciła go za ramiona i przewróciła na wznak. Twarz miał ciemną, usmoloną.

- Avery! - wymierzyła mu dwukrotnie mocny policzek. - Avery!

Jęknął. Głowa opadła mu na bok. Nie był w stanie wyjść stąd o własnych siłach.

Wrzasnęła. Najgłośniej i najdłużej jak mogła, ale straszliwy syk płomieni pochłonął jej głos z równą

łatwością jak dach stajni, i wołanie o pomoc zmieniło się w spazmatyczny, dławiący kaszel.

Nikt nie zdoła jej usłyszeć... Nie było czasu, żeby biec po pomoc.

Oczy już ją piekły, gardło paliło. Musi sama go stąd wydostać.

Chwyliła z kołka uprząż Indii, przykucnęła i przywiązała końce do butów Avery'ego, pozostawiając pośrodku metr czy półtora luźnej skóry.

Stała między jego nogami, chwyciła oburącz skórzany pas i pociągnęła.

Bezwładne ciało drgnęło i przesunęło się o parę centymetrów. Spróbowa

ła inaczej: przełożyła sobie pas przez biodra i jak muł w jarzmie szarpnęła naprzód, modląc się, żeby cienka skóra wytrzymała jego ciężar.

174

W

23

Ruszył. Zrobiła kolejny krok i jeszcze jeden... Kaszlała i dławiła się, z oczu lały się łzy, usta spazmatycznie usiłowały złapać trochę powietrza.

Walcząc o każde następne dziesięć centymetrów, ciągnęła go wzdłuż przej

ścia, aż wreszcie ostatnimi siłami przeciągnęła przez próg na zewnątrz, w ciemność nocy i padła obok cała mokra. Z sukni zostały jedynie strzępy.

Nie było czasu na odpoczynek. Podczołgała się do jego boku i przy

łożyła ucho do obnażonej piersi. W głębi słyhać było bicie serca, szybkie, ale miarowe. Gwizd podobny do wycia wiatru w szczelinie dachu wypełnił jej uszy.

Wciąż kurczowo łapiąc powietrze, podpełzła od tyłu i dźwignęła go, przytulając do piersi. Głowa bezwładnie opadła na jej ramię.

- Avery! Obudź się! - Znowu popłynęły jej łzy. Głos zadrżał. - Obudź

się, do cholery! - Zaszlochała i zakołysała się w tył i w przód, z ramionami kurczowo zaciśniętymi wokół jego muskularnego ciała. - Nie chcesz na-krzyczeć na mnie, że byłam nieposłuszna, ty przeklęty mężczyzno?

Zacisnęła oczy i zagryzła mocno wargi. On nie może umrzeć. Jest zbyt uparty, zanadto pełen życia, wigoru... I ona nie może go stracić. Za bardzo go kocha.

- Je... jestem... dżentelmenem - usłyszała słaby szept. - Nigdy...

nie krzyczę na kobiety.

dwa dni po pożarze w powietrzu wciąż unosiła się gryząca woń mokrego zwęglonego drewna. Lily, chodząc tam i z powrotem wzdłuż cichej, milczącej galerii pierwszego piętra, spojrzała na zwęglone resztki stajni, wciąż tłące się w ostatnim świetle wieczoru.

Dzięki Bogu, Avery najwyraźniej wracał do zdrowia. I pomyśleć, że mógłby leżeć martwy pośród kupy drewna i popiołu... Zadrżała. Siłą wymazała ten obraz ze swoich myśli.

Avery wyzdrowieje. Już teraz oddychał łatwiej, a cera traciła stopniowo ten okropny szary odcień. Jedynym wyraźnym śladem wypadku były długie, brzydkie otarcia na plecach i ramionach - pozostałość po tym, jak go ciągnęła.

Udało jej się jakoś utrzymać go w łóżku przez cały wczorajszy dzień.

Wywrzaskiwał co prawda przekleństwa pod adresem każdego, kto odważył się wejść do jego pokoju, niemniej pozostał w łóżku.

175

Dziś rano jednak, na długo przed nią, wstał, przygotował powóz i wyjechał. Nie wiedziała, dokąd ani kiedy wróci.

No cóż, tyle miał do roboty... Jedną ze spraw, wcale nie najmniej ważną, było znalezienie kogoś, kto odbudowałby stajnie.

Jego stajnie.

Spojrzenie Lily powędrowało na południe, ku łące. W zapadającym zmroku stogi lśniły jak kupki złota na zielonej połaci karcianego stolika.

Na szczęście tamtej nocy wiatr był słaby. Ogień nie zdołał dotrzeć do stodoły i pozostałych stogów. Wtedy byłoby jeszcze gorzej... Nowy wła

ściciel Mill House odziedziczyłby same zgliszcza.

Ale dla obecnego właściciela Mill House ten pożar okazał się katastrofą. W żaden sposób nie mogła sobie pozwolić na odbudowanie stajni ani wygosponarować pieniądze, które by zrównoważyły utratę jednego ze stogów. Pod jej zarządem majątek przyniósł stratę.

A więc straciła Mill House.

Miała wrażenie, że nie dotyczy to jej, tak jakby czytała w gazecie o jakimś niefortunnym epizodzie z życia kogoś obcego. Dlaczego w ogóle się to wydarzyło? - to pytanie wciąż do niej powracało. Dlaczego zaraz po burzy i długotrwałej ulewie zapalił się stóg?

Nie było na tyle ciepło i stóg nie stał na tyle długo, żeby mogło dojść do samozapalenia, tak jak to się czasem zdarza w przypadku mocno ści

śniętej włóknistej substancji. Nie było żadnych piorunów tamtej nocy. Jakim cudem ogień znalazł się w pobliżu tamtego stogu... a może ktoś pod

łożył go celowo? Nie, coś takiego nie mieściło jej się po prostu w głowie.

Może to była schadzka kochanków przy świetle zapalanej lampy?

Albo może to dzieci któregoś z sezonowych robotników zwędziły ojcu papierosa i poszły sobie po kryjomu zapalić? Padła iskra, zapaliło się, wystraszone dzieci uciekły, a marzenia Lily -jej życie - poszło z dymem. Straciła Mill House.

I straciła Avery'ego Thorne'a.

Myślała, że nic nie może zboleć jej bardziej niż utrata Mill House, ale była w błędzie. Kiedy stąd odejdzie, zostawi za sobą nie tylko dom, ale i możliwość widywania Avery'ego Thorne'a. Nie będzie żadnego pretekstu, żeby się nadal spotykać, żadnej wymówki, by zamienić parę słów, bezpośrednio czy na piśmie. Słaba więź, jaka łączyła ich od pięciu lat, skończyła się, zerwała... nie, raczej spłonęła.

Gdzieś głęboko w sobie poczuła drzenie. Drzenie rozprzestrzeniało się, przybierało na sile, aż w końcu stała, trzęsąc się jak w febrze, u okna, wpatrując się w nie niewidzącym spojrzeniem, ze łzami spływającymi bezradnie po twarzy. Otaczała ją pustka.

176

177

12 -- Mój najdroższy wróg

Nigdy więcej go nie zobaczy. No, chyba że stanęłaby pod domem jak żebraczka i wypatrywała po nocy jego sylwetki na tle jasno oświetlonego okna. Nigdy tego nie zrobi, bo wówczas mogłaby ją zobaczyć ona, kobieta, którą on poślubi, która urodzi mu dzieci, będzie jego kochanką i towarzyszką...

Straciła Avery'ego Thorne'a. Choć nigdy nie miała z niego nic poza jego inteligencją, gotowością do walki - i tymi jakże krótkimi momentami, kiedy go dotykała, czuła tak blisko... No i, rzecz jasna, miała świadomość, że go kocha - świadomość, która przyszła, kiedy siłą swej woli zmuszała go wtedy, w stajni, by oddychał.

Kto wie, czy nie zaczęłam go kochać znacznie wcześniej, zaraz po przeczytaniu jego pierwszego czy drugiego listu - pomyślała. Dyskutował z nią jak równy z równym, szczerze i poważnie. I chociaż często irytował ją i świadomie prowokował, to, zaangażowawszy się w dyskusję, nigdy nie traktował jej protekcyjnie, z wyższością.

O tak, szacunek dla niej przebijał z każdego napisanego przez niego słowa. Nigdy nie ignorował jej spostrzeżeń ani nie kwestionował jej opinii tylko dlatego, że był mężczyzną. Nie, czasami je kwestionował -

ze względu na coś, co postrzegał jako błąd w rozumowaniu, fałszywy trop czy ośli upór. Ale nigdy jej nie lekcewał.

Przycisnęła czoło do chłodnej szyby. Nie drżała już, ale wciąż czuła pustkę. Wszystko stracone. Wszystko przepadło.

- Lily? - usłyszała głos Franceski.

- Tak? - Nie zadała sobie nawet trudu, by się odwrócić.

- Lily - wytworna dłoń ujęła jej nadgarstek i łagodnie odwróciła ją od okna. - Lily, musisz mnie wysłuchać. Wyjeżdżam dziś wieczorem.

Właściwie wyjeżdżam za parę minut.

- Tak? - spytała Lily bez zainteresowania. Francesca często opuszczała dom nagle, pod wpływem impulsu, i nie pokazywała się tygodniami, a nawet miesiącami, by wrócić równie niespodzianie, jak wyjechała.

- Nie mogę pomóc ci odbudować stajnie - powiedziała Francesca. -

Nie będę kłamać i mówić, że mnie nie stać, bo...

- Nigdy bym cię o to nie poprosiła! - wykrzyknęła Lily, wyrwana z odrętwienia.

- Nie o to chodzi, Lily. Wiem, że nigdy byś nie prosiła, i wiem, że gdybym ci zaproponowała pomoc, prawdopodobnie byś jej nie przyjęła.

Ależ przyjąłabym - pomyślała Lily. Tak niewiele jej zostało, cóż znaczy ta resztką dumy?

Francesca położyła jej obie ręce na ramionach i popatrzyła z powagą w oczy.



- Gdybym wyskrobała i zebrała do kupy większość mojego majątku, prawdopodobnie byłabym w stanie udzielić ci pożyczki na odbudowę. Ale nie wyskrobie. Potrzebuję tych pieniędzy - palce Franceski zacisnęły się na jej ramieniu - dla siebie. Chcę żyć w taki sposób, w jaki żyłam

dotychczas.

- Tak - przytaknęła Lily.

- Lily. - W kącikach ust Franceski pojawiło się napięcie. - Wszystko, co mam, to te trochę przyjemności. Rozumiesz to?

Lily nie rozumiała. Mimo to, odpowiadając raczej na nutę usprawiedliwienia w głosie Franceski niż na jej słowa, skinęła głową.

- Ty masz tak wiele, Lily.

Lily wzruszeniem ramion strząsnęła z siebie dłoń Franceski.

- O, tak - powiedziała, usiłując się roześmiać, ale usłyszała w swoim głosie jedynie gorycz. - A jakże. Prawdziwa ze mnie bogaczka.

Francesca potrząsnęła głową, szukając odpowiednich słów.

- Wciąż masz marzenia. Wciąż masz przed sobą przyszłość. Ja zmarnowałam jedno i drugie. Spędziłam życie na upokarzaniu ojca i skończę jak głupiec, usiłując niepokoić jego ducha.

- Ja nie mam nic, Francesco...

- Ten chłopak jest w tobie zakochany, Lily.

- Bernard? - spytała Lily ze znużeniem. - Szczenięca miłość. Przejdzie mu. Będę z nim ostrożna.

- Nie Bernard. Avery.

Nie mogła mówić.

- Nie, to nie tak - powiedziała Francesca w zadumie, jakby ze smutkiem. - Nie jest zakochany... On cię kocha. Po prostu. Głęboko. Nieszczęśliwie.

- Na pewno się mylisz.

- Czasem mamy tylko jedną szansę, tylko sekundę, żeby zdecydować o biegu naszego życia. Nie daj się zwieść dumie, Lily. Czy zdrowemu rozsądkowi. Czy przeszłości. Czy czemukolwiek, co powstrzymuje cię przed... - krótki śmieszek zmienił się szloch - przed wejściem do Edenu. Na twoim miejscu, Lily, poszłabym i poszukała tego mężczyzny.

Przysięgam, że tak bym zrobiła.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż hallu.

- I ona mówi, że nie ma nic... - mruknęła pod nosem.

- Nie wiem, co robić - szepnęła Evelyn do Polly. Siedziały wtulone w otomanę, udając, że szydełkują. Bernard w przeciwległym kącie pokoju zatopiony był w lekturze.

178

- Mill House nie jest ostatnio odpowiednią scenerią dla romansów

- zgodziła się Polly. - Pożar stajni najwyraźniej rozpędził sentymentalny nastrój. Tych dwoje obchodzi się z daleka niczym dwa kocury w jednej stodole... Obawiam się, że możemy porzucić wszelkie złudzenia, iż panna Bede i pan Thorne będą kiedykolwiek... - rzuciła spojrzenie na Bernarda, który najwyraźniej pochłonięty był wielkim, oprawnym w skórę tomem - ... zachowywać się wobec siebie przyjaźnie. Evelyn pokiwała głową.

- Liczyłam na to, ale dla Lily, być może, tak jest najlepiej...

- Nonsens - rzekła Polly tak dobitnie, że Evelyn rzuciła niespokojnym okiem na Bernarda i potrząsnęła ostrzegawczo głową.

Polly zarumieniła się, ale jej uniesiony podbródek mówił jasno, że nie zamierza zrezygnować z wygłoszenia opinii.

- Jeśli panna Bede kocha tego człowieka, a nic nie zrobi w tej sprawie, będzie to... błąd. - Urwała i odchrząknęła. - Miłość to nie nagroda, to szansa. Jeśli mężczyzna czy kobieta otrzymują tę szansę, należy ją podjąć bez względu na ryzyko. Miłość jest ważna, Evelyn.

Uniosła z zakłopotaniem wzrok. Na tę jedną chwilę, w której padły te słowa, odkryła swoją duszę.

- Rozumie pani?

Evelyn powoli skinęła głową.

-Tak.

- Zgadza się pani?

- Tak. - Jej głos był teraz silniejszy.

- To dobrze. - Polly odetchnęła i jej chwilową bezbronność zastąpił

wyraz konsternacji. - Panna Thorne jest w oczywisty sposób najbardziej powołana do tego, żeby pomóc pannie Bede uświadomić sobie tę prawdę, ale związała, a nikt w tym domu nie został wyposażony przez naturę czy doświadczenie do odegrania roli Kupidyna.

- To prawda. - Evelyn westchnęła. - Co w takim razie robimy?

Polly uderzyła dłońmi w uda. Bernard uniósł głowę.

- Och, proszę się tak nie przejmować, że zgubiła pani oczko, panno Makepeace - powiedziała głośno Evelyn. - I tak idzie pani wręcz doskonale. - Zniżyła głos: - Ciszej... Bernardowi bardzo by się nie podobało, gdyby wiedział, co knujemy.

Polly skinęła ze zrozumieniem głową.

- Słusznie - szepnęła. - A wracając do do panny Bede... Najważniejszą sprawą jest ustalenie, jakie są jej plany na najbliższą przyszłość.

Czy mogłaby pani, Evelyn, poprosić ją, żeby tu przyszła?

179

- Oczywiście. - Evelyn wstała i rzuciła szybkie, ukradkowe spojrzenie w kierunku syna. Bernard przewrócił stronicę książki.

Poszła prosto do pokoju Lily i dyskretnie zapukała. Nikt nie odpowiedział. Sądząc, że Lily może być w bibliotece, ruszyła schodami w górę, gdy wtem usłyszała nad głową odgłos kroków, tam i z powrotem wzdłuż korytarza. Zatrzymała się. Kto to może być?

Avery zajmował pokój na piętrze, ale jak na niego kroki były zbyt lekkie. Kathy albo Merry? Za późno było, by mogły jeszcze pracować, a poza tym Teresa i jej bliźniaki co noc gromadziły wokół siebie cały dwór i czyjokolwiek nieobecność byłaby źle widziana. Pozostawała tylko Lily.

Lily? Jeśli istotnie była to Lily, Evelyn powinna o tym wiedzieć.

Powoli, ostrożnie weszła na drugie piętro. Wychyliła się zza rogu i spojrzała w głąb mrocznego, skąpo oświetlonego hallu.

Lily chodziła nerwowo tam i z powrotem obok drzwi prowadzących do sypialni Avery'ego, wykręcając palce i mrucząc coś do siebie pod nosem. Co jakiś czas zatrzymywała się nagle i z założonymi na piersi rękami wpatrywała się zdecydowanym wzrokiem w zamknięte drzwi.

Później, tak samo nagle, ramiona jej opadały i podejmowała swój pełen niepokoju spacer.

Dlaczego Lily nie potrafi...

Ależ tak!

Uśmiech rozjaśnił twarz Evelyn i momentalnie zamarł. Ta dziewczyna nigdy... nie odważy się... nic nie zrobi... w sytuacji, gdy cały dom jest pełen ludzi! Cóż, w takim razie - pomyślała z obcajej dotąd stanowczością - ona, Bernard, Polly, cała reszta powinna po prostu opuścić dom, głośno, ostentacyjnie i z równie głośnymi zapewnieniami, że nie wrócą zbyt szybko.

Uniósłszy spódnice, podreptała prędko na palcach w dół, a gdy dotarła do parteru, po raz pierwszy od czasu, gdy była dziewczynką, ruszy

ła biegiem. Chwyciła z wieszaka w hallu czepek i pelerynę i wpadła jak burza do salonu.

- Co się stało, Evelyn? - Polly, zaskoczona, zaczęła się podnosić, zapominając o swoim stanie.

- Musimy... musimy pojechać... do miasta - wydyszała Evelyn.

Bernard podniósł wzrok.

- Do Little Henty? - spytał. Tak nazywało się skrzyżowanie dróg, gdzie znajdował się pub, sklep warzywny i jeszcze jeden, z artykułami kolonialnymi. - Po co?

- Nie do Little Henty. Do Cleave Cross.

180

- Ale to ponad trzydzieści kilometrów stąd! - powiedział Bernard, zdumiony. - Jest ósma wieczorem. Czy nie możemy pojechać rano?

- Nie. Chcę dotrzeć na miejsce z pierwszym brzaskiem, tak żeby

śmy mogli zobaczyć wschód słońca w porcie. To coś w rodzaju święta dla... dla panny Makepeace.

Oczy Polly rozszerzyło niedowierzanie.

- Smutno jej tak tu siedzieć cały czas... I ten okropny, budzący mdłości zapach mokrego popiołu! Prawda, moja droga?

- Aa... - Polly zamknęła otwarte dotąd usta. - Oczywiście.

- No widzisz, Bernardzie? Idź i pakuj bagaż. Wystarczy zwykła torba, na jedną noc... A potem poszukaj Hoba.

- No dobrze - mruknął Bernard. Podniósł z fotela swoje długie, chude ciało i rzucił książkę. - Powiem panie Bede, żeby też była gotowa. - Nie! - wykrzyknęła nerwowo Evelyn. Bernard spojrział na nią ze zdumieniem. - To znaczy, nie ma takiej potrzeby. Panna Bede nie jedzie.

- Jak to?

- Jutro przychodzi cieśla, żeby się rozejrzeć w sprawie odbudowy stajni.

- A kuzyn Avery? - w głosie Bernarda pojawił się cień podejrzliwo

ści. - On też zostaje - powiedziała gładko Evelyn. Odkryła, że kiedy raz się skłamię, kolejne kłamstwa przychodzą z wielką łatwością. - Zdajesz sobie chyba sprawę, Bernardzie, że to on poniesie koszty odbudowy, prawda? Oczywiście, że będzie chciał zostać i pomóc w podjęciu wszelkich niezbędnych decyzji.

Mówiła zadziwiająco władczym tonem i zauważyła, że ten nowy sposób bycia zmieszał Bernarda. Pomodliła się w duchu, żeby zanadto nie naciskał. Liczba przeszkód, jakie mogła pokonać w ciągu dnia, była ograniczona, a czuła, że w dzisiejszym, szczególnym dniu już i tak przekroczyła swoją dawkę.

Przyglądał się jej przez chwilę. Wreszcie wykonał grzeczny ukłon w kierunku Polly - Evelyn miała wrażenie, że towarzyszyło temu coś w rodzaju wzruszenia ramion - i powiedział:

- Idę się spakować.

W dwadzieścia minut później Bernard, Polly i Evelyn stali pośrodku hallu, obwieszczając wrzaskliwie wszem wobec swój zamiar spędzenia nocy poza Mill House.

181

24

Z

upełnie jakby jacyś szaleńcy opuszczali swoją kryjówkę... Drzwi trzaskały, padały wykrzykiwane na głos polecenia, stukały po drewnianych podłogach obcasy. Avery, odważywszy się zajrzeć na najwyższe piętro, zastał Merry śpieszącą na dół z parą damskich butów w jednej ręce i podrózną apteczką w drugiej. Jej wielki brzuch kołysał się z boku na bok.

- Co się dzieje ? - spytał.

- Poszaleli, to się dzieje! - uniosła ku niemu głowę. - Wymyślili, żeby jechać do Cleave Cross.

- Dzisiaj? - spytał z niedowierzaniem Avery.

- Nie tylko że dzisiaj, ale teraz, zaraz. Hob już czeka z powozem.

A, co tam... Może uda nam się trochę przespać tej nocy. Dzieci Teresy mają naprawdę płuca jak dzwon - powiedziała zafrasowana i zostawiła go samego.

Avery wrócił do swego pokoju. Jaka szkoda, że nie widać stąd podjazdu... Nie, nie będzie schodzić na dół i przyciskać nosa do frontowego okna, by obserwować ich odjazd. A jednak nie opuszczało go dręczące uczucie, że został porzucony - nie, że ona go porzuciła.

Był zły, że wyjechała bez słowa, nawet jeśli miało to być tylko na jedną noc. Nagle zdał sobie sprawę, że niedługo Lily wyjedzie nie tylko na jedną noc, ale na zawsze. Ciekawe, czy robi to tak jak teraz, po cichu, bez słowa pożegnania... Emocje kotłowały się w nim, irytacja i smutek ściagały każdy krok, gdy przemierzał tam i z powrotem pokój, wciąż i wciąż na nowo.

Frontowe drzwi trzasnęły po raz ostatni. Zegar w hallu wybił dziewiątą. Od strony kuchennych schodów dobiegły swojskie odgłosy i zapadła cisza. Otoczyła go całego, ogarnęła i rozrosła się w nim, czysta i nienawistna. Usiadł na krześle i sięgnął po leżącą na stole książkę. Wraz z odjazdem Lily Mill House zmienił się w mauzoleum. To już nie był

dom z jego marzeń, tylko składowisko smutnych rekwizytów - pamiątek po życiu, które kiedyś się tu toczyło.

To śmieszne... Otworzył książkę i zaczął ją przerzucać, patrząc niewidzącymi oczyma na słowa, które wydawały się pozbawione sensu.

Jestem chyba po prostu sentymentalny, pomyślał. Wkrótce Mill House będzie należał do mnie, tak jak powinien był należeć od początku.

Zatroszczy się o Lily, z jej aprobatą lub bez, będzie tu mieszkał, poślubi jakąś wartościową kobietę, która nie będzie może miała czarnych włosów 182

i czarnych oczu, i ust jak ze snu, ale za to urodzi mu dzieci, całą gromadkę blondasków...

Ze stołu sfrunął list i padł mu na kolana. Wpatrywał się weń, w wytartą, postrzępioną kartkę ze śladami ziemi trzech kontynentów... Z czu

łością wziął go do ręki. To był list od niej, rzecz jasna. Miał go zawsze przy sobie, odkąd przeczytał go po raz pierwszy.

Zaklął i zerwał się na nogi. List wypadł mu ze zdrętwiałych palców.

Książka, ciśnięta niecierpliwą ręką, poleciała w przeciwległy kąt.

Nie mógł siedzieć w tym pokoju. Nawet jeśli jej tu nie było, czuł ją obok siebie, w słowach tego listu, w powietrzu, którym wspólnie oddychali... W swojej duszy i w swoim ciele.

Podszedł do drzwi, gotów ją gonić, wyciągnąć z powozu i zmusić, żeby powiedziała mu chociaż „do widzenia”, a nie zostawiała w ten sposób, bez jednego słowa.

Szarpnął drzwi i zobaczył przed sobą twarz Lily.

Choć wcześniej nie zdołała zdobyć się na odwagę, w końcu znalazła wymówkę, by zapukać i wejść. Musiała sprawdzić, czy dostał kolację.

Po cóż niepokoić Merry czy Kathy?

- Nie mogę przestać o pani myśleć - powiedział.

Usłyszała to - i poczuła, jakby runęła w przepaść. To musiał być jakiś sen... Sen, z którego nigdy nie chciałyby się obudzić. Twarz miał

napiętą, głos niski, błagalny.

Podeszła bliżej. Uniosła głowę, usiłując odczytać wyraz jego oczu.

- Ja... - Uniósł wzrok do nieba, jakby szukał w nim siły... albo natchnienia. - Ja... po prostu tak okropnie chciałbym panią pocałować.

To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć... Zafascynowana, wpatrywała się w jego twarz. Musiała chyba podejść jeszcze bli

żej, przyciągnięta siłą czystego magnetyzmu, bo niemal dotykali się teraz swoimi ciałami. Oszołomiona, z niedowierzaniem oczekiwała następnego momentu, czując bicie własnego zaniepokojonego serca, słysząc swój szybki, płytki oddech. Obietnica zawarta w jego słowach, głód widoczny w jego oczach... W wyobraźni widziała się nagą, gotową na wszystko, czegokolwiek on zapragnie.

To była całkowita kapitulacja. Nie przyszło jej nawet do głowy, by próbować znowu stanąć do walki.

- Niech mi pani pozwoli się pocałować - szepnął. Uniósł silne ramię i koniuszkami palców ujął jej podbródek. Wspięła się na palce. Przymknęła powieki... Czy on westchnął, czy jęknął?

Jego usta delikatnie dotknęły jej warg. Cofnęły się na sekundę i...

wróciły. Jeszcze jeden cudowny pocałunek, i jeszcze jeden, i jeszcze...

183

Z każdym kolejnym przywierały na mgnienie dłużej, wnikały głębiej.

Rozchylonymi wargami chłonał jej oddech i było to tak, jakby kradł duszę. Miękkie, ciepłe, wilgotne pocałunki, pocałunki budzące zawrót głowy i pragnienie, by nigdy się nie skończyły... Drażniące, obiecujące, niespieszne pocałunki. Dziesiątki pocałunków. Na tyle dużo pocałunków, by wynagrodzić jej wszystkie, jakich nigdy nie zaznała, i wszystkie, jakich już nie zazna. A każdy zabierał i oddawał mu jej serce.

Jego palce muskały delikatnie owal jej twarzy. Powoli, pieszcząc łagodnie jej wargi, napierając leciutko, sprawił, że się rozchyliły.

Z wdzięcznością, ulgą niemal, poczuła, jak drażni językiem kąciki jej ust i wsuwa go do ich wnętrza.

Bez tchu, z zawrotem w głowie, zaledwie mogła ustać na nogach, a on zaledwie dotykał jej koniuszkami palców. Igrały po twarzy, podbródku, najłżejszymi dotknięciami, skierowując jej głowę tak, by umożliwić mu jak najlepszy dostęp, jak najgłębsze wnikięcie - a ona gorliwie się im poddawała.

Pocałunki stały się bardziej zachłanne. Miała wrażenie, jakby pochłaniał ją jakiś wir. Kolana się pod

nią ugięły... i zaczęła powoli osuwać się na ziemię.

Schwycił ją, podciągnął i przygarnął do piersi, przerywając swój palący pocałunek.

Przestała myśleć. Pojęcia przestały formować się w jej głowie w jakąś logiczną całość. Zawładnęło ją jedno gorące pragnienie: musiała być bliżej niego, być jego częścią, być z nim jednością.

Gorączkowo zaczęła zdzierać z niego koszulę, która go od niej dzieliła. Mocowała się guzikami, wyszarpywała je... A on patrzył. Pierś poruszała mu się w głębokim, nierównym oddechu, usta miał zacięte, twarz surową. Z lekkim okrzykiem triumfu rozpięła w końcu wszystkie i rozpostarła dłonie na jego gorącym ciele. Gładka, twarda, opalona pierś falowała pod jej dłońmi.

- Chciałabym...

Przerwał jej, zamykając usta kolejnym pocałunkiem. Drzenie jego ciała świadczyło o mocy, którą ostatkiem woli trzymał w cuglach. Wśliznęła dłonie pod rozpiętą koszulę i objęła go ramionami.

Ze zdławionym jękiem przesunął rękami po jej ciele, ujął pośladki i przycisnął. Poczula jego twardą wypukłość... Powiodła dłońmi po jedwabistej skórze, po ciemnych, kędzierzawych włosach na piersi ku płaskiemu, falującemu brzuchowi. Poznawała, chłoneła jego męskość, każdy jej przejaw, każdy milimetr.

184

- Pocałuj mnie - rozkazał bez tchu. Gorliwie, gorączkowo poddała się jego woli.

Gardziła kiedyś jego stanowczością, męską siłą i odwagą... Ale jak

że okłamywała i siebie, i jego!

Uwielbiała jego siłę, moc, z jaką panował nad jej ciałem, smak jego języka, gdy penetrował wnętrze jej ust, ciepły, z posmakiem brandy, jego męski, piżmowy zapach, niemal dziki, niemal zwierzęcy... Zawładnął

jej zmysłami, a ona przyjmowała go z radością, jak święto - tę jego moc i dzikość, jego głód i opanowanie.

Owinęła mu ramiona wokół karku i nie namyślając się, instynktownie objęła nogami jego biodra, przyciskając wzgórek łonowy do twardego spragnionego członka. Zakołysała się, tam i z powrotem...

Spiralą wzniosły się w niej wirujące, drażniące muśnięcia cielesnej rozkoszy.

Nagle przerwał pocałunek. Odpadła od niego, na wpół omdlała, ale złapał ją, jedną ręką podtrzymując tył głowy, a drugą ciasno obejmując biodra. Otarł się o nie, wydając spazmatyczny syk rozkoszy.

Powieki drgnęły. Otworzyła oczy. Nie chciała nic zamiast. Chciała dokładnie tego.

On chciał dokładnie tego.

Z każdą chwilą byli coraz bliżej. Nie powinien był jej całować. Nie powinien był jej dotykać. Nie powinien był obejmować jej namiętnie i przyciskać do swojego członka.

Jej głowa ciężko spoczywała na jego dłoni, a piersi falowały pod lnianą koszulą, poruszane płytkim oddechem. Oczy miała otwarte. Choć powtarzał sobie, że powinien kazać jej odejść, jej wzrok odnalazł jego spojrzenie.

Wstrzymał oddech. Czekał na przebłysk rozsądku, by odwrócić się od tego spojrzenia, przegnać z jej wzroku tę kuszącą tęsknotę, rozmarzenie.. . Z rozmysłem, wciąż z oczami w jego oczach, pchnęła biodrami naprzód, jakby to ona chciała się wbić w jego ciało.

Jęknął. Powinien się pohamować... Ona powinna się pohamować.

Wszystko, czym zdawał się być we własnych oczach, wszystko, na czym zbudował swoje życie - pojęcie honoru, zasady, którym był wierny -

wszystko to rozleciało się na kawałki w huraganie pożądania.

- Kochaj mnie - szepnęła.

Przewiercała go spojrzeniem, prowokując przekornie, by wyparł się uczuć, które nosił dotąd w sercu. Nie mógł. Nie mógł dłużej zaprzeczać ani jej, ani własnej duszy.

Próbował. Bóg świadkiem, że próbował.

185

- To bez sensu. - Ale pocałował jej słodkie, jędrne wargi. - To szaleństwo - szepnął na przekór obietnicy, jaką niosło z sobą ich pragnienie. -

To katastrofa - omiótł językiem ciepłe, śliskie wnętrze jej ust.

- Proszę - szepnęła.

- Tak, najdroższa - wydyszał w jej otwarte usta.

Nie odrywając warg, poczuł jej ręce wślizgujące się między ich ciała w poszukiwaniu paska spodni. Chłodne palce dotknęły skóry pod tkaniną.

Nachylił się i unióś ją. Nie chciał brać jej na stojąco, niczym prostytutki w parkowej alejce. Ucisząc jej protest pocałunkami, poniósł do łóżka. Bardziej pospiesznie niż ostrożnie położył ją i z jeszcze większym pośpiechem zerwał z siebie tę nieszczęsną koszulę, szarpnięciem rozpiął pasek.

Uniosła ramiona i wyciągnęła je ku niemu. Zapomniał o wszystkim, pozostał tylko jej widok, takiej kobiecej i takiej prowokującej, i żądza pulsująca w jego żyłach niczym krew. Pragnął czuć jej skórę,

chlonać jej dotyk, smakować jej zapach, wdychać jej podniecenie.

Sięgnęła ku niemu, on sięgnął ku niej. Zrzucali z siebie kolejne warstwy ubrania, usuwali wszelkie dzielące ich bariery, aż przywarli nagimi ciałami, błędząc po nich nawzajem w zachwycie ustami i dłońmi.

Avery, niewprawny w cielesnych igraszkach, działał instynktownie.

Obwiodł językiem dolny łuk jej piersi, ześliznął się zębami po jedwabiu

ście gładkiej wewnętrznej płaszczyźnie ud, po kolumnie wygiętej w łuk szyi, ssał koniuszek języka, całował powieki, lizał delikatne ciało w zgięciu ramion, by znaleźć w końcu lśniąca płatki jej kwiatu.

Oślepiąca tym zmysłowym atakiem, szukała wzrokiem jakiegoś ratunku, lecz napotkała tylko jego spojrzenie. Rozpoznała to dzikie pożądanie, poczuła prawdziwe męskie podniecenie i odpowiedziała własnym, równie silnym.

Niewinna w swoim pragnieniu, zarzuciła mu nogę na biodro i szarpnęła ku sobie. Poczowała twarde, brutalne szturchnięcie jego członka. Instynktownie rzuciła biodrami ku górze. Instynktownie pchnęła własnymi naprzód.

Zamarli na moment z nagłego wrażenia, połączeni tak intymnie, jak tylko mogą być połączone dwa ciała. A potem zaczął poruszać się w niej, oplatając muskularnymi ramionami. Każdym pchnięciem wnikał głęboko, wypełniając ją do końca i wycofywał się, by znowu wpłynąć w nią niczym fala gorącego źródła. Jej ciało niemal płonęło. Zaciśnęła powieki i wyprężyła się, wpierając piętami w materac, oczekując spełnienia, które zbliżało się coraz bardziej.

- Tak - ponaglił ją niskim, ochrypłym pomrukiem prosto w ucho. -

Moja ukochana. Tak... Tak... Najśodsza, najdroższa Lily...

186

25

Z

Te słowa doprowadziły ją do szczytu. Jedna za drugą, fale czystej rozkoszy rozeszły się spiralą od miejsca ich połączenia i przepłynęły jak burza wdłuż zakończeń nerwowych. Poczowała, jak jego ciało spina się i tężeje. Odciągnął się leciutko, z napiętymi jak liny mięśniami szyi, z zaciśniętą szczęką i dźwięk jego własnego spełnienia odbił się w niej jak echo jeszcze jedną, powracającą falą przyjemności.

Wszystko to przyszło za szybko. Jeszcze parę drobnych końcowych wstrząsów przebiegło jej ciało, zbiegając się w lędźwiach... Jak zza mgły przyplęnęła świadomość jego ciężkiego oddechu gdzieś blisko jej ucha.

Wyciągnęła drżącą rękę i odgarnęła mu z czoła ciemnozłoty kosmyk.

- Avery? - szepnęła.

Przygarnął ją bliżej, nie otwierając oczu.

- Avery?

- Ćśśś... - Głos miał niski i nieskończenie smutny. - Ćśśś... Za drzwiami czeka kolejny dzień. Ale tu go jeszcze nie ma... Jesteśmy my.

Lily... Lillian... Błagam, pozwól mi się kochać jeszcze raz. Pozwól mi się kochać całą noc.

Odpowiedziała mu pocałunkiem.

blizał się świt, pełen wątpliwości, pełen rozterek. Avery obserwował jego nadejście ze spokojem. Jego serce było niczym samotny żołnierz naprzeciw legionom nieubłaganych faktów.

Lily leżała przy nim, utulona spełnieniem, szczęśliwa. Ciemne pasma włosów rozsypały się jej po ramionach i barkach, pierś unosił lekki oddech. Ręka spoczywała, rozluźniona, na jego udzie. Zamknął oczy na jej widok, tak nieubłaganej we śnie, jak nieubłagana była w sprawie własnej matki.

Godzina za godziną układał przemowy, wymyślał scenariusze rozmów, zapewnień, wszystko, co zdołałoby sprawić, że zgodziłaby się zostać jego żoną. Nie mógł zaakceptować innego związku niż formalny, a bał się, że nie istnieje argument, który potrafiłby przekonać Lily do jego poślubienia.

Przepisy regulujące prawo do potomstwa były równie niedorzeczne jak myśl, że miałby świadomie i z rozmysłem uczynić swoje dzieci bękartami. Nie akceptował tego pierwszego, ale nie brał nawet pod uwagę tego drugiego. Boże, zmiłuj się...

187

Gorycz naznaczyła jego współczucie dla nieżyjącej matki Lily. Kobiety, którą Lily kochała tak bardzo, że chciała poświęcić swoje życie -

nie, życie ich obojga - i uczynić z niego pomnik jej cierpienia.

Jak gdyby wyczuwając tę niechęć, Lily poruszyła się w jego ramionach. Po twarzy przebiegł cień. Avery przygarnął ją bliżej, ostrożnie, tak by jej nie obudzić, i zbliżył otwarte usta do jej włosów, wdychając głęboko woń snu i seksualnego spełnienia. Był aż nadto świadomy, że może to być ostatni taki moment w ich życiu. Jak mógłby ją stracić, swoją zmysłową fantazję, swego adwersarza, swoje serce? Ale co mógł uczynić, aby ją zdobyć na zawsze?

Z głębi domu napłynął długi, przenikliwy krzyk niezadowolenia.

Któreś z dzieci Teresy było głodne...

Czuł, jak Lily się budzi. Samo powietrze zdawało się przyodziać w całun czujności, niweczając jego czujność. Zadrżał pod ciężarem czekającej go straszliwej decyzji.

- Zostań - usłyszał własny głos. - Zostań ze mną, Lily.

Z szelestem pościeli uwolniła się z jego ramion i odwróciwszy głowę, zgarnęła wokół siebie prześcieradło. Ona też usłyszała krzyk dziecka. Avery odczytał w tym płaczu wyrzut, że gotów był uczynić bękartami swoje własne dzieci, Lily odebrała go jako ostrzeżenie przesłane jej przez matkę.

Z lekkim rumieńcem na policzkach owinęła się prześcieradłem, wstydliwie odwracając oczy od jego nagości. Opadł z powrotem na poduszki. Obnażenie fizyczne było niczym w porównaniu z nagością jego duszy... Przetoczyła się na drugą stronę łóżka i opuściła swe długie nogi na podłogę. Nawet w tej chwili pożądanie, niczym jakaś bestia zamieszkująca jego ciało, dało o sobie znać z wielką siłą.

Dziecko zapłakało znowu, głośno, nakazująco. Lily uniosła głowę i w jej profilu dostrzegł chłód. Wzdrygnął się, oczekując najgorszego.

- Powinniśmy się budzić w ten sposób każdego ranka, w objęciach

- powiedział z rozpaczą w głosie. - Powinniśmy się pobrać i przez najbliższe dziesięć lat budzić się na dźwięk płaczu dzieci...

- Avery, proszę... ja nie mogę wyjść za ciebie za mąż - odparła pośpiesznym szeptem. - Wiesz, że nie mogę.

- Ależ tak, możesz - rzekł z gniewem. Chwycił ją za przeguby, żądając, by przynajmniej na niego spojrziała. - Lily, co mam powiedzieć?

Jakie słowa mogą cię przekonać, że nigdy nie zamierzam cię opuścić, że nigdy nie przestanę cię kochać, że żadna siła na tej ziemi nie zdołałaby mnie skłonić do zadania ci bólu i odebrania dzieci?

Przełknęła ślinę z miną pełną tęsknoty.

188

- Nie chodzi o słowa, Avery. Chodzi o przepisy prawne. Jeśli się zmienią...

- Do diabła, Lily! - wybuchnął i puścił jej nadgarstki. - Wierzysz w przepisy bardziej niż we mnie?

Potrząsnęła głową.

- Nie robię tego ze względu na siebie. Robię to ze względu na dzieci, które mogę mieć.

Chwycił z podłogi spodnie, dwoma szybkimi ruchami wbił nogi w nogawki, wstał i nie patrząc na nią zapiął rozporek. Nie porzucił tak łatwo tego, co odnalazł. Nauczył się walczyć w młodości, teraz też będzie walczył.

- W takim razie zostań ze mną tutaj, w Mill House.

Szybko zwróciła ku niemu głowę. Czarne loki zatańczyły wokół jej ramion, opadając miękko na plecy.

- Nie jako moja żona, skoro to odrzucasz, ale w dowolnym charakterze, takim, jaki ci odpowiada. Jako moja towarzyszka, gospodyni, ukochana, kochanka. Bądź, kim chcesz, ale bądź ze mną, Lily. - Głos miał

napięty, błagalny. - Nie odchodź.

W oczach miała współczucie, niezmierną czułość i smutek. Milcza

ła jednak, a dopóki milczała, on miał szansę.

- Ty pragniesz Mill House. Ja pragnę ciebie. Możemy oboje mieć to, na czym nam zależy, i zagrać Horatiowi na nosie - rzekł, wykrzywiając twarz w pełnym zawziętości uśmiechu. - I przekląć jego duszę za to, że postawił nas w tej sytuacji.

Mocniej zacisnęła wokół siebie prześcieradło.

- A dzieci? - spytała sztywnymi wargami. - Co z dziećmi?

Mógł dać jej wszystko, ale nie mógł skrzywdzić dzieci, które przyszłyby na świat, nie mógł odmówić im swojej opieki, nazwiska i przywilejów, jakie się z tym wiązały. Nie był w stanie jej tego przyrzec, nie mógł jej oszukiwać. Usiadł obok niej, wziął ją za rękę i przejechał palcami po kostkach.

- Nie dopuścimy, żeby urodziły się nam dzieci.

Odsunęła się gwałtownie, wstała i odeszła na bok. Oczy miała pełne bólu.

- Zostań ze mną, a obiecuję ci wspaniałe życie, Lily. Bogate, ciekawe, satysfakcjonujące - wyciągnął rękę, przywołując ją z powrotem.

- Nie mogę zostać z tobą. Ty pragniesz mieć dzieci, Avery. Całą gromadkę. Pamiętasz? Po jednym dziecku na każdą sypialnię. Nie mogę... - potrząsnęła gwałtownie głową. - Nie mogę ci tego zrobić.

- Ależ tak. Możemy...



- Nie! - krzyknęła niemal. - Nie namawiaj mnie. Nie kuś! Być może przez parę lat byłbyś szczęśliwy. Ale w końcu, kiedy zaczęłyby przychodzić na świat dzieci twoich kolegów, kiedy zostałyby ochrzczone pierwsze dziecko Bernarda, pustka tego domu stałaby się nie do zniesienia.

Wkrótce byś mnie zniechęcił.

- Mylisz się. - Ale jego głos nie był przekonujący.

- Tak - powiedziała cicho. - A ja nie mogłabym... nie mogłabym żyć, gdybyś ty mnie zniechęcił.

- Lily - wyciągnął błagalnie dłoń.

- Muszę odejść - szepnęła. Otuliła się ciasniej prześcieradłem i skręciła końce w węzeł. - Jeszcze dzisiaj.

Nawet śmierć Karla była mniej bolesna... Za ledwie cieniem tego bólu...

- Nie - uciał. - To ja odejdę. Nie wytrzymałbym w tej kostnicy z zapachem uśmierconych marzeń.

- Wybacz mi, Avery! - odwróciła się ze szlochem i wybiegła z pokoju, znikając w bladym półmroku hallu.

Lily przekręciła klucz w zamku i weszła, potykając się, do swojego pokoju. Łzy ciekły jej po policzkach, a ręce, gdy usiłowała włożyć szlafrok, trzęsły się jak w febrze. Łkając, padła na podłogę, zrezygnowana.

Przebudził ją dotyk ręki odgarniającej jej łagodnie włosy ze skroni i odgłos bicia jego serca tuż przy jej uchu. Przepelniła ją błogość. Uniosła głowę i zobaczyła czulego kochanka, który przez długie godziny nocy wielbił ją swoim ciałem.

Przez chwilę rozważała, czy nie odpowiedzieć „tak” na jego propozycję, by stworzyli wspólne życie bez małżeństwa i bez dzieci. Kiedy jednak spojrzała mu w oczy, wiedziała, że nie może żądać od niego podobnego poświęcenia. Avery powinien mieć rodzinę, kilkoro ładnych, smukłych dzieci o lśniących jak klejnoty oczach. Dzieci, które by go uwielbiały.

I, prawdę mówiąc, nie była pewna, czy potrafiłaby z nim żyć, wiedząc, że ich dzieci nigdy nie mogłyby się narodzić. Po raz pierwszy podała w wątpliwość wybór matki, oceniła ją obiektywnie i z dystansem jak osoba dorosła, odpowiedzialna za swój los.

Nadal rozumiała decyzję matki. Nie była po prostu pewna tak jak wczoraj, czy się z nią zgadza. A jeśli się nie zgadza, to czy nie robi tego ze zwyczajnej wygody, by dać sobie prawo do poślubienia Avery'ego Thorne'a...

Nie wiedziała, co robić. Boże, w jakiej wielkiej była rozterce.

A on wstał z kolan i odszedł. Być może nią zawsze.

190



Lily złożyła głowę w ramionach. Kiedy na policzkach pokazały się łzy, płynęły już nieprzerwanie niby ocean żalu.

Ponieważ jedyny powóz znajdował się w Cleave Cross, Avery zdecydował się iść do Little Hentley piechotą. Merry, z brwiami wzniesionymi w górę niczym rybitwy, zaproponowała, że przyśle później jego walizkę i skrzynię furmanką brata. Zgodził się i podziękował jej, po czym poszedł szukać Lily.

Znalazł ją w bibliotece, pochyloną nad księgą rachunkową. Wyciągnął rękę i zapukał. Uniosła głowę. To było nie do wytrzymania - widzieć ją tak zranioną i mieć świadomość, że nic nie może zrobić, żeby jej ulżyć; więcej, że w gruncie rzeczy to on był przyczyną jej bólu.

- Wyjeżdżam - powiedział, zatrzymując się w drzwiach.

- Wiem.

- Zatrzymam się na parę dni w zajeździe w Little Hentley. Wezwij mnie, gdyby się okazało, że jestem potrzebny.

- Rozumiem. - Przyjrzała mu się uważnie. - Co mam powiedzieć Evelyn?

Wzruszył ramionami.

- Co chcesz. Możesz powiedzieć, że powróciła moja namiętność do włóczegi. - Spojrzał na grubą księgę, otwartą niemal na ostatniej stronie, i przypomniało mu to o ich rywalizacji o Mill House. On w roli zwycięzcy, ona w roli przegranej... Nie miał wrażenia, by w ogóle prze-

żył, a tym bardziej by był zwycięzcą. - Spodziewam się, że spotkamy się w przyszłym miesiącu u Gilchrista i Goode'a.

- Gdzie? - spytała.

- U prawników Horatia. Wkrótce nastąpi koniec twojej „próby”, nie pamiętasz?

- Ach tak. - Przyjrzała mu się uważnie, szukając w nim śladów mężczyzny, którego muskularne ramiona podtrzymywały ją nad sobą, gdy wnikał głęboko w jej ciało, i widziała człowieka, który ostatkiem woli próbuje opanować swe uczucia.

- A zatem do zobaczenia w Londynie. Życzę ci dobrego dnia...

- Nie. - Na samą myśl o tym ogarnęła ją panika. - Nie sądzę, żeby

śmy się spotkali w Londynie.

Uniósł ze zdziwieniem brew.

- Nie mam powodu tam jechać. Przegrałam rywalizację, a z pewno

ścią nie zamierzam składać publicznego oświadczenia, że wypieram się moich związków z sufrażystkami.

191

26

S

- Naturalnie, że nie. - Jego uśmiech był rozpaczliwie smutny. - A teraz pozwól, że się pożegnam.

Uklonił się grzecznie, zupełnie jakby żegnał się z kimś obcym, i odwrócił, przygotowując się do odejścia od niej na zawsze.

- Poczekaj!

Plecy Avery'ego zeszywniały.

- A Bernard? - wyrzuciła z siebie. - Co z Bernardem? Będzie zachodził w głowę, będzie się zastanawiał... czy jemu też mam powiedzieć, co chcę?

Wydawało się jej, że zaczerpnął głęboko tchu, ale kiedy się odwrócił, twarz miał opanowaną.

- Racja, zapomniałem o chłopaku - mruknął.

Dobrze znanym jej gestem wyciągnął z kieszeni złoty zegarek. Od niechcienia otworzył wieczko końcem paznokcia i pochylił z namysłem czoło.

Jakże on troszczył się o tego wrażliwego chłopca, jak bardzo nie chciał go zranić... Poczuli, że jej serce zalewa miłość i zrozumienie.

Zamrugnęła szybko, by powstrzymać potok łez. Avery uniósł głowę i dostrzegł jedną jedyną łezkę spadającą z dolnej rzęsy. Szarpnął się w przód, lecz po chwili twarz mu stężała, a spojrzenie zrobiło się puste.

- Prześlij mi wiadomość do zajazdu, kiedy wrócą - powiedział. -

Poczekam do jego powrotu i przyjadę, żeby się z nim spotkać.

Zagryzła mocno dolną wargę i skinęła głową.

-Lil...

Patrzyła w dół. Nie potrafiła spojrzeć na niego, tak silnego, tak opanowanego... Mężczyźni zawsze są opanowani. Och, z pewnością było mu bardzo przykro, że wyszło tak jak wyszło, i ostrzegął ją, owszem, nawet tej nocy, że rano przyniesie wzajemne obwinianie się. Ale nie powiedział, że on jakoś przeżyje, a ona...

Nie może... nie podda się. Będzie tak silna jak on.

- Dobrze - odezwała się. - Powiem mu.

Kiedy uniosła głowę, już go nie było.

alon i pokoje Mill House były puste, korytarze wyludnione. Przybył posłaniec z listem od Evelyn, w którym oznajmiała swój zamiar pozostania w Cleave Cross wraz z Bernardem i Polly Makepeace na cały weekend.

192

Ponieważ Lily straciła apetyt, a poza nią nie było dla kogo gotować, pani Kettle zaniechała pracy w kuchni. Pozostałe mieszkanki wielkiego starego domu, Merry i Kathy, ulokowały się w pokoju Teresy, żeby podziwiać rosnące jak na drożdżach maleństwo.

Dręczona wspomnieniami, odliczając każdą godzinę, jaka pozosta

ła jej jeszcze w Mill House, Lily rzuciła się w wir porządków. Godzinami szorowała mosiężne rondle, skrobała marmurowe posadzki, polerowała do połysku szyby i ramy okienne, tak że nawet słodki aromat perfum Franceski zniknął bez śladu. Jedyne woń tytoniu Avery'ego wgrzyzła się w biblioteczne zasłony. Lily unikała tego miejsca, tak samo jak unikała drugiego piętra domu, salonu, stawu młyńskiego i...

Również i w tym sensie straciła Mill House. W ciągu zaledwie trzech tygodni Avery zdołał uczynić go swoim. Budynek, który przez pięć lat był jej domem, nagle stał się więzieniem, sen - wyczerpującą mordęgą, a pamięć - udręką.

Kiedy dom był już równie pusty i niepokalany jak oczekujący na lokatora sarkofag, postanowiła uporządkować sprawy swego zarządu.

Zaczęła wczesnym rankiem, a teraz, późnym popołudniem, wciąż jeszcze nad tym siedziała. Zadbala o przyszłość służących: napisała listy polecające i referencje, sporządziła listę osób, które mogą im pomóc w znalezieniu pracy, organizacji sprawujących nad tym pieczę... W końcu zaczęła pisać notkę do Avery'ego, w której błagała go, żeby zatrzymał konie. Wiedziała, że ze względu na nią zrobi to.

Kończyła już, gdy pojawiła się Kathy. Oczy miała szeroko otwarte.

Dyszała z pośpiechu.

- Jakiś dżentelmen chce się z panią widzieć, panno Bede.

Avery? Wstawiała już, ale powstrzymała się. Nie. Kathy by powiedziała. .. Zresztą Avery pojawiłby się bez zapowiedzi, prawdopodobnie niosąc Kathy na rękach.

- Jeśli to jakiś dostawca, Kathy, powiedz mu, że niczego nie potrzebuję.

- To nie dostawca. Jak powiedziałam, że dżentelmen, to dżentelmen. A do tego z innego kraju.

- Z innego kraju?

- No. Czarniawy, szczupły, w wielkim kapeluszu i tak dziwnie mówi. Wszystko wskazuje na to, że przyjechał specjalnie do pani.

„Z panną Bede, proszę”, powiedział. No więc wpuściłam go do salonu.

- Bardzo dobrze - powiedziała tępo Lily i położywszy pióro obok niedokończonego listu, poszła za Kathy do salonu.

Na jej widok podniósł się z fotela młody, smukły mężczyzna.

W śniadej pięści ścisnął dziwacznie uformowany kapelusz o wysokim 13 - Mój najdroższy wróg

193

denku; uśmiech od ucha do ucha dzielił mu opaloną twarz na dwoje.

Skwapliwie zgiął się w głębokim, kurtuazyjnym ukłonie, a kiedy się wyprostował, jego brązowe oczy jaśniały.

- Lillian Bede! - przyjrzał się jej, wyraźnie usatysfakcjonowany. -

Jestem zachwycony, prawdziwie zachwycony, że mogę panią poznać.

Ten człowiek był Amerykaninem!

- Obawiam się, że ma pan nade mną przewagę, sir - powiedziała.

Zaśmiał się głębokim, tubalnym śmiechem.

- Proszę mi wybaczyć, panno Bede. Musi mnie pani doprawdy uwa

żać za nieokrzesanego prostaka. Proszę pozwolić, że się przedstawię: jestem John Neigl.

Widząc, że jego nazwisko nie powoduje olśnienia, podjął:

- Miałem honor... to znaczy, czasem był to honor - miłe iskierki w jego oczach rozbłysły jeszcze bardziej, zachęcając, by podzieliła jego rozbawienie. - Bo czasem to były ujm... chciałem powiedzieć, ujmujące szczęście i okazja do ciężkiej próby, być towarzyszem Avery'ego Thorne'a przez niemal całe ostatnie pięć lat.

Towarzysz Avery'ego? No tak, naturalnie, pisał o jakimś Amerykaninie, przywódcy ich wyprawy, który zapadł na malarię, a potem znowu do nich dołączył... Impulsywnie wyciągnęła rękę, uśmiechając się ciepło. Postąpił naprzód, ujął jej dłoń i z entuzjazmem potrzęsął parokrotnie w górę i w dół.

- Przybyłem do Anglii dwa dni temu i natychmiast skierowałem się tutaj. Po prostu musiałem poznać tę niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju pannę Lillian Bede.

Jej uśmiech zbladł. Zmarszczyła brwi. Czyżby malaria padła temu człowiekowi na rozum?

- Obawiam się, że nie pojmuję, o co panu chodzi - powiedziała i wskazała miejsce, z którego przed chwilą wstał. - Zechce pan usiąść, proszę. A ty, Kathy - posłała ostre spojrzenie dziewczynie, która krząta

ła się z miotełką do kurzu w wybitnie nieefektywny sposób - może byś tak przyniosła nam herbaty?

Katty spojrzała na nią kwaśno i prychnąwszy z lekką irytacją, wypadła z pokoju.

- Avery próbował przedstawić nam panią jako straszdyło z wąsami i spojrzeniem, na którym można usmażyć jajko, ale ja wiedziałem swoje. Jest pani dokładnie taka, jak sobie wyobraziłem - powiedział John, zajmując miejsce i lokując swój dziesięciogalonowy kapelusz na kolanie. - Wiedziałem, że musi pani być piękna. Piękno biło z pani listów.

Uniosła brwi jeszcze wyżej.

194

- Z moich listów?

- Avery pani nie mówił? - znowu ten szczery, nieafektowany śmiech. - No tak, to do niego podobne. Zwykle czytał nam pani listy, szanowna pani. Nie w całości, oczywiście, tylko niektóre fragmenty.

Zachował je przy sobie, wszystkie, przez całą podróż, w każdej przygodzie. Czasem, kiedy było odrobinę trudno - błysnął oczami i Lily wiedziała, że bywało trudno nieco bardziej niż „odrobinę” - Avery czytał nam coś, co pani napisała. Ku pokrzepieniu serc, można powiedzieć.

Zszokowana wpatrywała się w niego w milczeniu. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała... Avery zachował wszystkie jej listy? Ona też je zachowała, rzecz jasna, ale wyłącznie ze względu na Bernarda - a w każdym razie tak sobie mówiła. Zagryzła od wewnątrz policzki. Nie, nie rozpadnie się na kawałki... John Neigl paplał beztrosko, nieświadomy efektu własnych słów.

- Pamiętam raz w Brazylii, kiedy z powodu jakichś nieporozumień przewodnicy uciekli i musieliśmy

błąkać się sami przez... o Boże... co najmniej miesiąc... - błysnął zębami na to wspomnienie. - Nie wzdragam się przyznać, że byliśmy nieźle przybici. I wtedy Avery, żeby dodać nam otuchy, zacytował pani słowa. „Hej, chłopaki - powiedział -jeśli panna Bede nie martwi się o nasze powodzenie, to czemu mielibyście martwić się wy?” Na to ktoś, zdaje się ja, spytał, dlaczego jest pani taką sknerą w obdarowywaniu nas swoją troską, a Avery odpowiedział: „No cóż, panna Bede uważa, cytuję, że Bóg ma w opiece dzieci i głupków, i w ten sposób, jako mężczyźni, mamy zapewnioną podwójną ochronę przed złą przygodą”.

Twarz Lily spłonęła rumieńcem. John zachichotał.

- Kiedy indziej, w Turcji, byliśmy gośćmi księcia tamtejszych nomadów. Jedna z sióstr tego gościa, autentyczna księżniczka - może sobie pani wyobrazić? - poczuła słabość do Avery'ego. Właściwie miała ochotę go poślubić. Zaskoczeni byliśmy tym jak diabli. - John wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Lily poczuła w sercu ogromną zazdrość. Zamrugła nerwowo.

- A to czemu?

On też zamrugał, zdumiony niemal tak samo jak ona.

- No jak to... Pomimo jego pretensji do bycia wcieleniem dżentelmeńskich cnót, nikt by nigdy nie pomylił naszego Avery'ego z Oskarem Wilde'em, prawda? To znaczy, bystry jest jak diabli -jak tylko można sobie wyobrazić, ale z tymi jego manierami...

- Jego maniery są bez zarzutu - ucięła Lily.

195

- On w ogóle nie ma żadnych manier! - John parsknął rubasznym, pozbawionym cienia złośliwości śmiechem. - Szorstki, nietolerancyjny, subtelny jak pałka na łbie staruszka - oto cały Avery Thorne.

Na tak ostentacyjną nielojalność Lily nie miała odpowiedzi. Zmarszczyła tylko brwi.

- Swoją drogą - ciągnął John, w ogóle nie przejmując się jej marsową miną - Avery absolutnie nie interesował się dziewczyną, a kiedy księżę spytał go dlaczego, odpowiedział: „Jestem nieodpowiednim materiałem na męża. Jestem dziecinny, niedojrzały i nieodpowiedzialny.

Największy autorytet, panna Lillian Bede z Devon w Anglii, twierdzi, że to, co czytająca publiczność uważa za eksplorację ostatnich niezbadanych zakątków świata, bo zdołałem jej to wmówić, w rzeczywistości jest niczym innym jak poszukiwaniem największego samca spośród naczelnych, żeby stanąć z nim w zawody, który z nas lepiej wali się pię

ściami w pierś.”.

John wybuchnął nieskrępowanym śmiechem, który trwał pełne pięć minut. W końcu otarł łzy z oczu.

- Trzeba było widzieć minę księcia...

- Był zmieszany? - spytała chłodno Lily.

- Nie! - parsknął John. - I to jest najśmieszniejsze. Zrozumiał dokładnie! Pokiwał bardzo uczenie głową, westchnął i stwierdził, że mówi pani zupełnie jak żona!

- Cieszę się, że moje słowa dostarczyły panom tyle uciechy.

- O, tak... Zapewniam panią, że tak było istotnie! - Uśmiechnął się promiennie poprzez łyzy rozbawienia. - Nic dziwnego, że Avery uwielbiał pani listy.

Zamarła.

Ten właśnie moment wybrała Kathy na ponowne pojawienie się.

Weszła, dysząc pod ciężarem starannie zastawionej srebrnej tacy. John skoczył, wyjął jej z rąk ciężką zastawę i umieścił ją na stole.

- Nie potrafię opowiedzieć, jak czekaliśmy na kolejną salwę z pani strony - powiedział bez troski John. - Nie wiem, kto bardziej wypatrywał pani listów, Avery czy my, pozostali.

- Jestem pewna... - zaczęła, rzucając spojrzenie w kierunku Kathy.

- Ja także. Avery wypatrywał ich niewątpliwie bardziej. - Uśmiech rozbawienia zmienił się w uśmiech zachwyty. - To było dla nas bardzo miłe. - Możesz odejść, Kathy - rzekła Lily.

- Tylko pootwieram okna, tak ładnie na dworze...

- Wyjdź, Kathy - powiedziała z naciskiem.

196

Pozwoliwszy sobie na kolejne parsknięcie, Kathy zniknęła za drzwiami. Za ledwie wyszła, Lily podniosła się.

- Panie Neigl, obawiam się, że...

- Przepraszam. Przypuszczam, że nie mam więcej kindersztuby niż Avery, prawda? - spytał, zasmucony. - Wpadam tu, opowiadam jakieś historie na pani temat... Ale po prostu mam wrażenie, że znam panią niemal jak członka rodziny. Zawdzięczam Avery'emu więcej, niż będę w stanie kiedykolwiek spłacić, a poza tym, naprawdę lubię tego sukin...

tego drania. Miałbym chęć powiedzieć, że Avery Thorne jest dla mnie jak brat - jego ton po raz pierwszy przybrał odcień powagi - ale to by było kłamstwo. Avery Thorne to mój dowódca. Był nim od początku, chociaż to ja zorganizowałem naszą grupę. Gdybym był jednym z waszych Szkotów, Avery stałby na czele mojego klanu. Gdybym był Indianinem, byłby moim wodzem. Nie ma innego

człowieka, którego chciałbym mieć za towarzysza w złej przygodzie, któremu równie chętnie powierzyłbym swoje życie. I faktycznie - zapewnił z powagą - robiłem to dziesiątki razy. Avery nigdy nie zawiódł. Chociaż on sam myśli, że raz zawiódł.

Lily splatała i rozplatała palce.

- To pani uratowała mu wtedy życie - powiedział John.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- O śmierci Karla. - Na moment jowialność zniknęła z jego twarzy, zastąpiona przez smutek. - Avery'ego zabijały wyrzuty sumienia. Nie żeby coś mówił... Gdyby mówił, wtedy bylibyśmy w stanie mu coś odpowiedzieć. Ale on nas nie obciążał tak swoimi problemami, jak my obciążaliśmy jego.

Westchnął, jakby nadal dźwigał ciężar własnych myśli.

- Nie powinniśmy byli tyle na niego nakładać, sprawiać, że czuł się za wszystko odpowiedzialny. Ale wie pani, tak łatwo dawał sobie z tym radę...

W milczeniu skinęła głową.

- Zawsze robił to, co należało, zawsze znajdował właściwą drogę -

czy to przez rzekę, czy przez dyplomatyczne zawilości, gdy spotykali

śmy się z niechęcią tubylców... Obojętnie. A po śmierci Karla... cóż, widać było, że to go po prostu zjada. Stał się milczący i ostrożny. Zaczął

się wahać w drobiazgach, przestał dbać o własne bezpieczeństwo...

I wtedy przyszedł pani list. - Wyciągnął dłoń i poklepał ją po przyjacielsku po ręce. - Niech pani Bóg da zdrowie... Nie wiem, co mu pani napisała. Nigdy nie przeczytał listu na głos ani też o to nie prosiliśmy, 197

ale kiedyś, kiedy myślał, że nikt nie patrzy, zobaczyłem, jak go czyta. To było w czasie jednego ze szczególnie trudnych nawrotów przygnębienia, kiedy w jego oczach znowu pojawił się lęk. Pani list podtrzymał go na duchu.

Milczała. John najwyraźniej przypominał sobie o manierach i o tym, że w gruncie rzeczy byli ludźmi obcymi. Jego twarz poczerwieniała.

Zmiał w dłoniach rondo kapelusza.

- Nie miałem zamiaru opowiadać o tych wszystkich smutkach i tak dalej... To dla mnie wielki dzień poznać w końcu kobietę, która poślubiła Avery'ego Thorne'a.

- Słucham? - Nowy szok zajął miejsce poprzedniego.

- Nie jesteście małżeństwem?

- Nie! - Wystrzelone jak z procy słowo padło między nich z gracją słońca w składzie z porcelaną. - Nie jesteśmy.

- Przepraszam - wykrztusił, zmieszany. - Po prostu... cóż, wydawało mi się, że po tych listach... Wyglądało na oczywiste, że się do siebie... zalecacie. I kiedy dostałem jego adres i zdałem sobie sprawę, że jest ten sam co pani, wasze małżeństwo przyjąłem za pewnik. Cóż, to by wcale nie było niepodobne do Avery'ego - a i do pani, z tego, co o pani wiedziałem - jednym słowem pokonać różnicę zdań i po prostu się pobrać! Przepraszam, że postawiłem panią w niezręcznej sytuacji.

Doprawdy... - plątał się z nieszczęśliwą miną.

- Nie szkodzi. To drobiazg. Po prostu zaskoczył mnie pan - powiedziała. Myśli krążyły wokół jego pomyłki. Być może dlatego, że to wcale nie była pomyłka... Tamta wymiana listów to istotnie były zaloty. -

Pan Thorne jest teraz w zajeździe w Little Henty.

- Rozumiem. - Wzrok Johna wciąż utkwiony był w czubkach butów. - No cóż, najlepiej będzie, jak pójde go poszukać. Dziękuję za herbatę i za przyjemność poznania pani. Jest pani piękniejsza, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem - powiedział z uśmiechem. - I znacznie bardziej milcząca.

Uśmiech zbladł.

- A jednak popełniłem gafę, prawda? Nie potrafię powiedzieć, jak mi przykro, że tak tu mełłem językiem. Ja...

- Doprawdy, wszystko jest w najlepszym porządku. Proszę więcej o tym nie myśleć.

- Dobrego dnia zatem, panno Bede. - Wstał, klepnął się tym ogromnym kapeluszem w udo i ruszył do drzwi. W drzwiach odwrócił się i skłonił lekko. Kiedy się wyprostował, znów miał na ustach pewny siebie uśmiech, a w oczach pojawił się diabelski błysk.

198



- Skoro nie wyszła pani za Avery'ego, panno Bede, to być może zechciałaby pani wziąć pod uwagę moją osobę?

Wiele to mówiło o stanie umysłu Lily, że pozostawiła tę absurdalną propozycję bez odpowiedzi. Cóż, mogła go po prostu nie dosłyszeć.

- Dobrego dnia, panie Neigl.

Poszła na górę do jego pokoju, otworzyła drzwi i momentalnie zala

ła ją nawałnica wspomnień. Stała w progu, ledwo łapiąc oddech. Tu wziął ją na ręce. Tu ją całował, setki słodkich, czułych, wygłodniałych pocałunków. Tędy ją niósł...

Odgarnęła dłonią włosy i ostrożnie weszła do pokoju. Pachniało nim. Woń dobrego tytoniu, mydła sandałowego, czystej lnianej po

ścieli i subtelny, lekko drzewny aromat jego znoszonych podróżnych ubrań.

Na podłodze, pod ścianą, dostrzegła książkę. Ruszyła w jej kierunku, ale po drodze przyciągnął jej uwagę arkusik papieru leżący na dywanie obok fotela. Upływ czasu i częste dotykane wytarły mu brzegi na aksamit. Podniosła kartkę i ostrożnie, tak by nie rozerwać w miejscach złożenia, rozprostowała.

To był jej list.

Mój najdroższy wrogu!

Jestem zmartwiona.

Pański ostatni list nie zawierał zwykłych pochlebstw i komplementów. Był zwięzły. Co mam o tym myśleć? Czyżbym straciła swojego najcenniejszego nieprzyjaciela na rzecz jego smutku? Nie.

Po prostu nie wolno Panu pozwolić, by Pańska strata przepłynęła oceany i pokonała kontynenty by stać się moją stratą. To by było bardzo nie po dżentelmeńsku.

Proszę pozwolić, że przytrzymam na chwilę bicz, którym wali się Pan po plecach. Nie wolno się Panu karcić za śmierć przyjaciela. To troszkę zbyt aroganckie, nawet jak na Pana.

Czy jest w Pana mocy stanąć w łodzi Charona i nieustannie wrywać mu wiosła, by utrzymać towarzyszy przy życiu? Kto wykonałby podobną usługę wobec pana, Avery i czy chciałby Pan, by ją wykonywano? A może raczej znienawidziłby Pan każdego, kto powstrzymywałby Pana od zrobienia jednego choćby kroku na ścieżce, na której postawił Pan stopę? Ośmielam się stwierdzić, że odpowiedź znamy oboje.

Pisze Pan, że Karl Dhurmann zmarł bezdomny, pozbawiony ojczyzny, samotny. Wiem, że to nieprawda. Pan był przy nim, Avery.

Karl Dhurmann doświadczył wielu strat: zburzono mu dom, zamordowano rodzinę, kraj jest w rozsypce. Ale w Pana towarzystwie znalazł nie namiastkę tych wartości, a wartość alternatywną. Czy nie nazywał go Pan bratem? Kto wie lepiej niż Pan i ja, jak dalece słowo to przypomina słowo „dom”?

Powiedział Pan, że Karl wybrał mnie na żonę. Nie życzę sobie utracić za jednym zamachem adwersarza i konkurenta. Zbyt mało mam bliskich więzi, by rezygnować z jakiegokolwiek - zwłaszcza z tych, w które został zainwestowany taki intelektualny wkład jak w naszym przypadku.

Proszę pozwolić zatem, że przyjmę rolę wdowy po nim i powiem to, co z pewnością powiedziałyby kochająca żona. Karl zmarł w rezultacie wypadku, któremu nikt nie mógł zapobiec.

Odszedł w pełni swych lat, ścigając cel swego życia, a nie uciekając od niego, i zostawił za sobą ludzi, którzy oplakują jego stra-

tę. Obyśmy wszyscy mogli usłyszeć to o sobie w mowie pogrzebowej.

A teraz, mój najdroższy wrogu, nie tylko się uśmiecham, ale robię coś więcej: ocieram łzy. Pora, żeby Pan również otarł swoje.

Pańska

Lilian Bede

List, o którym mówił jej John Neigl. Te przekłete, wspaniałe, niemożliwe listy... Dlaczego, o Boże, dlaczego nie mogli ciągnąć tego dalej w ten sposób? Lily położyła list na stole i zapłakała.

r rócili wczoraj wieczorem.

Lillian Bede

Avery złożył notkę. „Oni” to zapewne Evelyn, Bernard i panna Makepeace... Za pomocą tych paru słów Lily spełniła swoją obietnicę. Jak na kobietę, która pisała wielostronicowe listy nawet na tak błahy temat jak liberia lokaja, można by się spodziewać, że będzie miała do powiedzenia coś więcej! Jakieś słowa ostrzeżenia, jakieś wskazówki... Mój Boże, 200



pomyślał, zgniatając arkusik w kulkę, dzielili się nawzajem swoimi cia

łami, mogłaby podzielić z nim więcej niż trzy słowa!

Upuścił papierową kulkę na wąskie łóżko, wynajęte po sześć szylingów za noc w zajeździe.

Brakowało mu Mill House... Nie, brakowało mu tego, co Lily zrobiła z Mill House: nieskrępowania, domowych wygod, atmosfery rozluźnienia...

Brakowało mu Lily. Dziwnej, zaskakująco pięknej kobiety, która rzuciła wyzwanie jego hierarchii wartości i wzbudziła jego nieklamany szacunek. Brakowało mu jej ciętego języka, jej bystrości i sprytu, jej śmiesznej walki o uratowanie wyścigowych koni i jej szczerego zmieszania młodzieńczym zadurzeniem Bernarda.

Nie wiedział, jak bez niej żyć.

Z pewnością nie mógłby mieszkać bez niej w Mill House. Wszystko tam było jej. Od taniej kopii wazy z Serves do wygodnego salonu, wszystko nosiło jej piętno. Nawet te portrety, psiakrew, w tej do bólu pretensjonalnej galerii w jakiś sposób należały do niej... Ten dom był

tylko wtedy domem, gdy Lily była jego gospodynią.

Nachylił się, wydobył spod przekrzywionego materaca zniszczoną walizkę i wyciągnął z niej starannie obwiązany pakiet. W końcu mógł

zrobić jakiś użytek z tej podłej mamony.

Zerwał z kołka płaszcz i skierował się ku wyjściu. Po drodze skinął

głową dziewczynie, która pastowała wyszorowane do białości schody.

Dziewczyna zarumieniła się. Avery ruszył zakurzoną drogą prowadzącą do Mill House.

- Proszę. To ci pozwoli odbudować stajnie i wyjść znowu na plus -

Avery położył na biurku gruby plik banknotów.

Wyglądała na opanowaną, chłodną i odległą. Jej nienagannie czyste spodnie i sztywna męska koszula miały w sobie więcej krochmalu niż cała chińska pralnia. Opuściła wzrok na banknoty.

- Co to jest?

- Twoje pieniądze.

Uniosła powoli wzrok - spokojny i bez wyrazu, by napotkać jego spojrzenie.

- Ja nie mam żadnych pieniędzy.

- Masz. Te. To pieniądze, które przysyłałaś mi przez pięć lat. Pensja.

Przechowywałam ją.

Przez moment zaskoczenie rozpalilo blask w jej pustych oczach.

Miał jej teraz do zaoferowania tylko jedną rzecz - jedyną, co do której 201

mógł ją jeszcze przekonać, by ją przyjęła. Musiał jednak działać ostrożnie, bo inaczej nawet i ten drobiazg zostanie odrzucony.

- Nie wierzę ci - powiedziała.

- Nie dbam o to czy mi wierzysz, czy nie - skłamał. - Przestań zachowywać się jak skrzywdzone przez los dziewczę i zacznij myśleć.

Słowa wywołały pożądany efekt. Z twarzy Lily ustąpił wyraz bólu.

- Nie uważam się za ofiarę - powiedziała głośno, wychodząc zza biurka. - Jestem pewna, że w swoim przekonaniu postąpiłeś w sposób bardzo szlachetny, oferując mi swoje pieniądze...

- Posłuchaj, Lily - przerwał jej. Wyjął z kieszeni pudełko i powoli, by zyskać na czasie, zaczął wybierać cygaro. - Założyłem się, że przegrasz - mruknął. - A sam przegrałem. Mogę być egoistą, ale mam nadzieję, że mimo to nadal jestem dżentelmenem.

- O, tak - usłyszał jej cichy głos. - Nie można powiedzieć, że byś nie był dżentelmenem.

Zamarudził przy wyjmowaniu cygara, zyskując w ten sposób małe odroczenie wyroku. Obciął koniec. Włożył cygaro do ust. W końcu spojrzął na nią.

Nie poruszała się. Ciało miała napięte oczekiwaniem.

- Zresztą- powiedział, zapalając cygaro -jeśli się przez chwilę zastanowisz, nie będziesz miała wątpliwości, że są to pieniądze, które mi przysyłałaś. Pomyśl o mojej dumie, Lily. Zawsze pozwalałaś sobie wytykać mi jej nadmiar. Czy możesz sobie wyobrazić bardziej prawdopodobny gest w przypadku kogoś takiego jak ja? Kogoś z moją tendencją do - jak to kiedyś powiedziałaś? - inspirowanej Dumasem teatralności?

- Napisałam to, bo byłam zła - powiedziała, rumieniąc się. Zbyt pięknie się rumieniąc... Spojrzął w bok. - Nie chciałam cię zranić, ale zawsze tak pochopnie pakowałeś się w kłopoty i niebezpieczne sytuacje...

Nie chciał tego słuchać. Nie do zniesienia było, że martwiła się o niego, że się o niego troszczyła.

- Wiesz, że nigdy nie przyjąłbym pieniędzy, które mi przysyłałaś -

powiedział. - To było jedyne, co mogłem z nimi zrobić: zwrócić ci je. -

Prztyknął paczuszkę z pieniędzmi, posyłając ją ślizgiem na przeciwległą stronę biurka i uśmiechnął się.

Wróciła na swoje miejsce za biurkiem i ujęła pakiet za róg, tak jakby był pobrudzony ziemią.

- I co mam z tym zrobić? - spytała.

- Odbudować stajnie. Zbilansować księgi. Zwyciężyć w tej grze -

poradził. - Przejść na własność Mill House.

202

- Dlaczego?

- Bo ten dom jest twój. - Jego głos był teraz spokojny. - Pracowałeś dla niego, walczyłaś o niego, wszystko dla niego poświęciłaś. Zaslugujesz na niego.

- I nie zapominaj - uniosła podbródek - że puściłam się też dla niego. Że oddałam tobie swe ciało.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Ręce zrobiły się zimne jak lód. Nie wydał głosu, nie poruszył się. Nie ufał sobie na tyle.

- To właśnie to, prawda? - spytała zranionym do głębi głosem. -

Opłata za usługi... albo może odszkodowanie?

Podniosła pakiet z pieniędzmi i podrzuciła go w dłoni.

- No, no. Musisz mieć porządne wyrzuty sumienia...

Położyła paczuszkę na stole.

- To nie moje pieniądze, tylko twoje. Straciłam Mill House, ale chcia

łabym zachować przekonanie, że wypełniłam tu wszystkie moje powinności, a jedną z nich było dostarczanie ci pensji. Co zrobisz z pieniędzmi, nie jest w żadnym razie moim zmartwieniem. Zbuduj sobie nową stajnię, kup automobil, spal je, nic mnie to nie obchodzi, ale ja ich nie wezmę.

- Nie bądź osłem - wyrwał z ust cygaro.

- Nie mów do mnie tak pieszczotliwie.

- Chcesz mieć Mill House. Oferuję ci środki, które ci to zapewnią.

- Ja już nie chcę Mill House.

- To kłamstwo. - Cygaro pękło w jego palcach. Dwie połówki padły niezauważone na podłogę.

- Jak to możliwe, że kobiety są w stanie oprzeć się pańskiej złoto-ustej wymowie, panie Thorne? - spytała ironicznie i nagle dotarło do niej, że ona się jej nie oparła. Żar oblał jej dekolt i szyję. Avery nadal stał

sztywno, nieporuszony. Tętno waliło Lily w skroniach.

- Gdzie pójdziesz? Co będziesz robić? - spytał.

- To nie twoje zmartwienie...

- Rzeczywiście, jak diabli! - krzyknął. - Wszystko, co dotyczy ciebie, jest moim zmartwieniem.

Otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale powstrzymało ją jego spojrzenie.

Przyglądał się jej uważnie przez długą, pełną napięcia chwilę, a gdy przemówił, głos miał niski, nabrzmiały furją i tęsknotą.

- W nosie mam, psiakrew, że nie będę dzielił z tobą łóżka, nazwiska i domu. I tak pozostaniesz moim zmartwieniem. Możesz wyjechać, zniknąć mi z oczu, zniknąć na zawsze z mojego życia, ale nie możesz wypłatać się z mojego... z mojej troski. Tyle mam z ciebie, panno Bede, oto przynajmniej nie potrzebuję prosić cię o pozwolenie.

203



Wstrząsnęły nią te słowa. Wybiegła spojrzeniem dziesiątki lat w przód i zobaczyła widmo tego, co mogło prześladować każdą chwilę jej życia, aż do ostatniego tchnienia.

- Twoja troska jest źle ulokowana.

- Jest moja i mogę ją lokować, gdzie chcę.

- Ja nie mogę... nie mogę uczestniczyć w podobnym nonsensie -

powiedziała słabo, przeklinając drżenie w swoim głosie. - Nie powiem ci o swoich planach. Są moje. Tobie wystarczy wiedzieć tylko tyle, że pod koniec tygodnia wyjeżdżam. - Oddychała ciężko. Przebiegła po nim spojrzeniem.

Nachylił się ku niej ze swego miejsca po przeciwległej stronie biurka. Szerokie barki zdolne były teraz udźwignąć każdy ciężar, w twarzy miał determinację. Kto zdołałby mu się przeciwstawić? Zawsze zdobywał to, co zamierzył. Cofnęła się.

- Nie kłopotz się - powiedział szyderczo. - To ja wyjeżdżam. Neigl organizuje wyprawę do afrykańskiego interioru. Potrzebuje kogoś, kto zająłby się bagażem.

Kolejny raz narażał się na niebezpieczeństwo, podejmował to nieludzkie ryzyko? Serce Lily przyspieszyło rytm, dźgnięte ostrogą strachu.

- Nie! - krzyknęła. - Nie słyszałeś, co mówię? Nie potrafisz zrozumieć? Nie możesz stąd odejść, bo jesteś silniejszy, bo jesteś mężczyzną, bo chcesz tego domu. To ja odchodzę!

Nachylił się nad biurkiem. Mięśnie ramion miał sztywne z napięcia.

- Nie chodzi o to, że ja jestem wszechmocnym mężczyzną, a ty bezbronną ofiarą. Chodzi o to...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Bernard. Twarz miał okropnie bladą, a oczy lśniły mu jak w gorączce.

- Wszystko słyszałem - wydyszał. - Przyszedłem, żeby zobaczyć się z Averym... Słyszałem, co powiedział, co pani odpowiedziała. Pani nie może odejść, panno Bede. Nie może pani!

Lily przełknęła szloch. A Avery, słysząc ten zdławiony dźwięk, nie mógł

już dłużej kryć swojego wzburzenia. Tłumiąc jęk, zerwał marynarkę z oparcia krzesła i przepchnął się obok dyszącego ciężko chłopaka ku wyjściu.

- Nie łudź się, mój drogi - wyrzucił z siebie, wychodząc z pokoju. -

Panna Bede może wszystko.

Lily opadła niezdarnie na krzesło. Bernard przeciągnął po swoich włosach wielką dłonią - taką samą jak Avery'ego - odgarniając do tyłu wilgotne brązowe pasma.

204

- Nie może pani wyjechać. Pani nie ma dokąd pójść!

- To nieprawda, Bernardzie - powiedziała, próbując go pocieszyć. -

Mam przyjaciół, mam moje siostry sufrażystki...

- No to co? - przerwał gwałtownie. Słyszała, jak dyszy, wzburzony i zrozpaczony. - Będzie u nich pani gościem. Kimś, kto przyjechał z wizytą. Tu jest pani dom!

- Nie - powiedziała. - To dom Avery'ego. To on wygrał pojedynek.

Ja przegrałam. Wszystko jest fair...

- On musiał pani zaoferować pozostanie tutaj! - wykrzyknął Bernard. - Jako dżentelmen nie mógł żądać od pani odejścia. Przysiągł, że tego nie zrobi!

- Nikt nie żądał ode mnie odejścia. Owszem, Avery prosił mnie o pozostanie. Zapewniam cię, że wyjeżdżam, bo chcę wyjechać.

- Przecież pani kocha Mill House. - Bernard z wysiłkiem łapał powietrze. Lily, zaniepokojona jego

stanem, wstała i wyszła z za biurka.

- Tak - powiedziała. Ujęła go delikatnie za ramię i pociągnęła w kierunku krzesła. Strząsnął jej rękę, patrząc na nią dzikim wzrokiem. - Mill House mógł być dla mnie domem przez pięć lat - próbowała wyjaśnić. -

Ale nie należy do mnie i... - Trudno było powiedzieć chłopcu, że perspektywa życia z Averym pod jednym dachem ani jako żona, ani jako kochanka, z wciąż gorejącymi pomiędzy nimi wspomnieniami jednej jedynej namiętnej nocy sprawiała wrażenie znacznie gorszego piekła, niż jakakolwiek z udręk, które widział w swoich wizjach Dante. - ..nie chcę mieszkać tu jako gość.

- Dlaczego? - chłopak odwrócił się. Teraz już obiema dłońmi gładził mocno - o wiele za mocno i za nerwowo - swoje włosy. - Powinien się pani spodobać ten pomysł - mruknął. - To było idealne rozwiązanie.

- Rozwiązanie?

Wyrzucił ręce w górę gestem, w którym było błaganie o zrozumienie. - Tak! Pani przegrywa pojedynek zorganizowany przez dziadka, Avery dziedziczy Mill House. On ma fundusze na jego utrzymanie i remont. Nie musiałby sprzedawać majątku ani nawet jego części. Oboje mieliście tu mieszkać... Obiecał mi, że nie doprowadzi do pani odej

ścia! - O Boże, Bernardzie - wyszeptała, bo zaczynało coś jej świtać. -

Coś ty zrobił?

- Przepraszam! - zaszlochał. Rzucił się ku niej i szarpnął ją za rękę.

- Chciałem tylko, żeby pani została... Zrobiłem to tylko po to, żeby zapewnić pani bezpieczną przyszłość! Zadbaj o panią!

205

- To ty stłukłeś wazę - powiedziała bezbarwnym głosem.

Kiwnął głową. Z zielononiebieskich oczu, tak podobnych do oczu Avery'ego, płynęły łzy.

- Tak! - wyszlochał.

- I okno. I podłożyłeś ogień pod...

- Chciałem tylko spalić stóg. Nie wiedziałem, że zajmą się stajnie.

Nigdy bym nie naraził koni...

Szloch zamienił się w gruby, ochrypy kaszel. Powietrze świszcząło mu w piersi jak w zardzewiałym akordeonie. Padł ciężko na krzesło i ukrył twarz w kolanach.

O Boże... Ten chłopak zniszczył wszystko, na co tak ciężko pracowała. Nigdy nie brała poważnie sugestii Franceski co do sabotażu, a gdyby to zrobiła, podejrzewałaby raczej Drummonda, który nie cierpiał pracować u kobiety. Nawet Polly Makepeace ze swoimi uprzedzeniami i niechęcią była bardziej prawdopodobną kandydatką na sabotażystkę!

Ale ten chłopak... żeby tak po cichutku pracować na czyjś upadek! Dla dobra tego kogoś, oczywiście.

Jakież to męskie.

Zdławiła impuls histerycznego śmiechu. Chłopak był w żalosnym stanie. Głowę miał wciąż ukrytą w kolanach, wąskie plecy drgały.

- Proszę cię, Bernardzie, uspokój się... Wszystko jest w porządku.

Bernardzie?

Nie poruszał się. Wzięła go za ramię; osunął się bezwładnie na pod

łogę. Oczy uciekły mu do tyłu. Z piersi wydobywał się odgłos podobny do dźwięku zerwanej struny skrzypiec.

- Bernardzie!

Był nieprzytomny. Wyprostowała się gwałtownie i w panice, gnana instynktem, wypadła z pokoju i rzuciła się pustym korytarzem ku głównemu wejściu. Szarpnęła drzwi i natychmiast dostrzegła na zapyłonej drodze jego wysoką, barczystą postać.

- Avery! - krzyknęła, ile sił w płucach. - Avery! Pomóż mi!

Momentalnie odwrócił się na pięcie i pognął z powrotem. W ciągu paru minut był przy schodach. Wbiegł. Mało nie urwała mu rękawa, wciągając do środka.

- Bernard! - wyrzuciła z siebie. - W bibliotece. Zemdłał.

Przepchnął się obok niej w drzwiach i pognął do biblioteki. Zanim tam dobiegła, klęczał już na podłodze, trzymając w ramionach wiotkie ciało Bernarda. Włosy chłopaka zamiatały dywan, ręce z zabarwionymi na niebiesko obwódkami paznokci zwisały bezwładnie. Avery wolną pięścią uderzał go w plecy, z jednej i z drugiej strony.

206

- Bernardzie? - wyrzucił z siebie niskim, gorącym tonem. - Bernardzie! - Przygarnął go mocniej, pamiętając, by głowa znajdowała się ni

żej, a piersi nic nie uciskało.

- Co mogę zrobić? - szepnęła Lily.

Avery zwrócił ku niej twarz, z której zniknęła już duma i pewność siebie. W jego oczach malował się strach.

- Nie wiem - powiedział ochryple. Po opalonych policzkach płynę

ły łzy. - Nie wiem. Módl się.

Upadła obok nich na kolana, bezgłośnie poruszając wargami w błagalnej modlitwie, i bezradnie patrzyła, jak Avery nie przestaje uciskać pleców Bernarda, jeszcze raz, i jeszcze... Przez cały czas przywoływał

go łagodnie z powrotem na ten świat.

Mijały długie chwile oczekiwania, nadchodziły kolejne... Zdawało się, że upłynęła wieczność, gdy w końcu, nareszcie, Bernard wziął głęboki drżący oddech i jęknął. Wzrok Avery'ego pofrunął ku Lily. Nadzieja przywróciła jego spojrzeniu nieco blasku. Chłopak zakaszłał.

- Wody - rzucił szorstko Avery.

Lily wlała w pośpiechu wody do szklanki i podała mu. Avery delikatnie uniósł Bernarda, objął go za plecy i podparł głowę.

- Wypij to, Bernardzie. Ostrożnie. Powoli... Oddychaj głęboko, bardzo, bardzo głęboko. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć - wdech... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć - wydech. O, tak... Doskonale.

Opanowanie Avery'ego powróciło. Głos miał pewny, lekko pieszczotliwy, ale Lily spostrzegła, że jego oczy wciąż są bezbronne. Jeszcze nie przykryła ich maska.

Po raz pierwszy widziała go nie jako wszechpotężnego mężczyznę, który wydziera życiu to, czego chce, ale jako człowieka osaczonego przez pragnienia, wątpliwości i lęki. Jakże znajome lęki...

Zobaczyła człowieka rozpaczliwie bezbronnego, dręczonego świadomością, że cokolwiek by zrobił, i tak nie będzie to dość, jeśli chodzi o szczęście i bezpieczeństwo tych, których kocha. Nawet tu i teraz nie śmiał okazać Bernardowi, jak bardzo się nim przejmuje, by jego smutek nie udzielił się chłopakowi i nie wywołał kolejnego ataku.

Mężczyzna taki jak Avery nie przeżyłby rozstania ze swoim dzieckiem.

- No, już dobrze - powiedział. Jego wielka dłoń delikatnie masowa

ła plecy chłopca. - Jeszcze trochę i pozwolę ci usiąść na sofie. Tak, Lily jest tutaj. Trochę ją wystraszyłeś.

- Naprawdę? - Bernard zamrugnął oszołomiony. W płucach wciąż lekko mu gwizdało. - Przepraszam... Ja nie chciałem spalić stodoły.

Chciałem po prostu, żeby panna Bede została tu, gdzie jest jej miejsce.

W

28

- Ćśśśś - Lily uklękła przy nim i odgarnęła mu włosy z czoła. -

Zaufaj mi, Bernardzie. Ja wiem, gdzie jest moje miejsce.

Najwyraźniej wziął jej słowa za obietnicę. Z bladym uśmiechem przymknął oczy i spokojnie powierzył swój los troskliwemu kuzynowi.

końcu to Polly Makepeace przejęła dowództwo. Córka farmera, z doświadczeniem w sprawach medycznych, spokojnie nakazała Avery'emu przenieść Bernarda do dziecięcego pokoju na najwyższym piętrze, którego okna wychodziły na południe, w kierunku morza. Otworzyła je szeroko, tak by świeże, czyste powietrze usunęło obrzęk z płuc chłopaka.

Została w pokoju, oficjalnie po to, żeby dotrzymać towarzystwa Evelyn, a tak naprawdę, by syn i matka mogli odzyskać wreszcie spokój i zapaść w sen.

Avery, blady i wyczerpany, usiadł w sadzie, szukając wytchnienia.

Tam znalazła go Lily, opartego o pień starej jabłoni, z luźno zwisającymi dłońmi, wspartymi przegubami o kolana. Oczy miał zamknięte. Bez słowa usiadła obok, wdychając głęboko słodką, cydrową woń dojrzewających jabłek. Jak długo patrzyła na niego, gdy spał, nie miała pojęcia, ale kiedy otworzył oczy, ranne powietrze straciło już swoją ostrość.

Zobaczył ją i momentalnie się wyprostował.

- Jak Bernard?

- W porządku. Odpoczywa. Musiałam cię odszukać.

Skinął głową i opadł z powrotem do tyłu, wspierając się plecami o pień.

- Rozumiem.

Kiedy nadszedł ten moment, nie wiedziała, jak zacząć. To on przejął

inicjatywę i rozpoczął to, co miało być jeszcze jedną bolesną rozmową, najtrudniejszą w świecie próbą. Jak powiedział John Neigl, Avery zawsze robił to, co należało, obojętne, ile by go to miało kosztować.

- Wiem, że powiedziałaś, iż opuścisz Mill House, Lily. Nie mogę cię zmusić do pozostania, ale mam nadzieję, że jeszcze raz rozważysz całą sprawę. - Spojrzenie miał nieruchome, znużone. - To nie było fair ze strony Horatia stawiać nas oboje w podobnej sytuacji, ale szczególnie nie fair było to wobec ciebie. Zakładał, że przegrasz, liczył na to, a rów-208

nocześnie chciał, żebyś przez pięć lat lała poty w tym miejscu wyłącznie po to, żeby udowodnić, że kobieta nie może równać się z mężczyzną.

- Wiedziałaś o tym. I zaakceptowałam to - powiedziała spokojnie.

- Kto by nie zaakceptował? Która szanująca się, inteligentna, lekko zdesperowana - uśmiechnął się, by nadać tym słowom przyjacielski ton

- osoba nie skorzystałaby z takiej okazji?

- Ty byś nie skorzystał.

- Daj spokój - szepnął, zaplatając palce wokół kolan.

- Nie skorzystałbyś - obstawała. - Ponieważ w tej propozycji widziałbyś to, czym była w istocie - wyzwanie uczynione nie po to, żeby zaoferować bezdomnej, butnej młodej kobiecie szansę zyskania domu, lecz po to, by ukarać i upokorzyć młodego człowieka. A poza tym nie podjąłbyś wyzwania, bo gdybyś zwyciężył, byłoby to niehonorowe, nie fair w stosunku do wydziedziczonego spadkobiercy.

- Ale nikt nie spodziewał się zwycięstwa.

- To nie miałoby dla ciebie znaczenia, Avery. Powiedz mi, że jestem w błędzie, jeśli możesz. Zaakceptowałbyś warunki tego wyzwania?

Spojrzał jej prosto w oczy.

-Nie.

Zaśmiała się.

- Przynajmniej nie twierdzisz, że honor to sprawa wyłącznie męska.

- Kiedyś mogłem tak utrzymywać. Zanim poznałem ciebie.

- Udowodniłam, że inni też mają honor poprzez jego brak u siebie samej? - spytała, wiedząc, że ta uszczypliwość dotkliwiej kąsa ją niż jego. - Lily, przestań się biczować za to, że pięć lat temu zaakceptowałaś wyzwanie Horatia - powiedział łagodnie. - Gryzłaś się tym, dręczyłaś, a teraz w końcu znalazłaś wymówkę, żeby się wycofać. Wreszcie mo

żesz zadośćuczynić swojemu honorowi.

- No no... nieźle się wszystko zagmatwało, prawda?

Spojrzał w dal, poza nią. Poszła za jego wzrokiem i zobaczyła Mill House w całej okazałości. Prostokątny, ciepłej barwy budynek wygrzewał się w letnim słońcu. Płaszcz bluszczu nabierał właśnie leciutkiego odcienia czerwonego wina, szykując się na przyście jesieni. Okna lśniły, połyskiwał żwirowy podjazd... Mill House był wspaniały.

- To jest dom, Lily. Żadnemu z nas nie będzie łatwo odejść. To właśnie z tym, co on oznacza, tak trudno jest się rozstać.

- A co on oznacza? - przygryzła wargę.

- Rodzinę - powiedział spokojnie, a kiedy nie odpowiadała, podjął

tym samym cichym i przyjaznym głosem: - Kocham cię, Lily.

14 - Mój najdroższy wróg

209

Uśmiechnął się znowu, tak smutnym i dobrym uśmiechem, jakby właśnie niweczył jej nadzieje, a nie spełniał jej sny. Czekwała oniemiała.

- Kochałem cię od dawna, na długo, zanim spoczęły na tobie moje oczy. Kiedy cię zobaczyłem, odebrała mi odwagę twoja uroda i wszystkie stare kompleksy powróciły. Pragnąłem cię, ale wydawało mi się nieprawdopodobne, że ty też mogłabyś mnie pragnąć. A potem mnie poca

łowałaś i nie jestem w stanie ci powiedzieć, jaki chaos zasiało to w moim sercu.

Nachyliła się ku niemu, pchana tą samą co przedtem niezrozumiałą siłą. - Avery...

Uchylił się leciutko, ledwie zauważalnie, a jednak Lily poczuła ukłucie w sercu.

- Nigdy nie byłem uwodzicielem, Lily. Miłość, pożądanie i to nieszczęsne współzawodnictwo, które utrudniało nasz kontakt, wszystko to sprawiło, że narobiłem wiele głupstw. Ale najgłupsze było to, że się z tobą kochałem.

- Nie - powiedziała, wyciągając ku niemu rękę. - To nie było głupie. To było... wspaniałe.

Spojrzał na jej dłoń, ale nie zrobił żadnego ruchu, by ją dotknąć.

- Wspaniałe... - powtórzył z namysłem. - Tak, tak i jeszcze raz tak... Ale głupie też, Lily. I przyniosło smutek. Bo zdążyłaś mi już powiedzieć, że nie wyjdiesz za mnie za męża, a wiedziałem, że nie rzucasz słów na wiatr. - Odchylił głowę do tyłu. Słońce odbiło się w jego oczach zielononiebieskim blaskiem. - Kocham cię, Lily. Ale nie mogę żyć z tobą bez ślubu.

Słuchała uważnie. W jego słowach były nie tylko obietnice i nadzieje. Była prawda.

- Nie byłbym wart miana ojca - podjął po chwili - gdybym nie zatroszczył się właściwie o którekolwiek z dzieci zrodzonych z naszej mi

łości - gdybym nie dał mu nazwiska i wszelkich praw. Nie możesz ode mnie wymagać, żebym kochał nasze dzieci mniej, niż kocham ciebie.

Zmarszczył czoło i opuścił wzrok na dłonie, zaciśnięte mocno między kolanami.

- Lily, jesteś dla mnie wszystkim: moim sercem, moją przewodniczką, moją towarzyszką i moją kochanką. Czy nie możesz ufać mi tak, jak ja ufam tobie?

Zamilkł na chwilę.

- Jeśli chcesz mnie naprawdę zranić, odejdz. Ale wiedz, że będzie to rana śmiertelna. Przemierzyłem cały świat, Lily, czekając, aż wrócę 210

do domu. I wróciłem. Jestem tu. Teraz. Proszę, nie odsyłaj mnie z powrotem.

Nie podniósł oczu, gdy mówił. Zobaczyła, że powieki ma mocno zaciśnięte i zdała sobie sprawę, że czeka w pełnym napięcia milczeniu na odpowiedź.

Zdawało jej się, że jej dusza rozwija skrzydła. Poczowała ulgę, lekkość i czystą, łagodną radość. Przysunęła się do niego, objęła i położyła głowę na piersi. Jego ramiona otoczyły ją i zamknęły w żelaznym uścisku.

- Głupia - powiedział. - Czy nie widzisz, dlaczego cię nie dotkną

łem? Czy nie wiesz, że jeśli tylko znajdziesz się w moich ramionach, nigdy nie pozwolę ci odejść?

- Nie pozwól. Bo ja też ci nie pozwolę, Avery. Kocham cię.

- Boże - szepnął. Przygarnął ją mocniej i pociągnął na kolana, szepcząc czułości cichym, zmęczonym głosem.

- Masz moje serce, Avery - szepnęła. - Masz moją przeszłość.

I masz moją przyszłość. Należały do ciebie od początku. Po prostu by

łam zbyt ślepa, żeby to zobaczyć.

Epilog

P

ołożony z tyłu domu trawnik Mill House rozkwitł gromadką dzieci.

Dwoje nicponi Teresy i kilka starszych dziewczynek Kathy goniło najstarszego synka Merry. Wszyscy wrzeszczeli i pohukiwali w zachwycie.

Na surowy rozkaz matki bliźniaki zostawiły w spokoju córeczkę Merry

- skora do płaczu. To ją tak rozzłościło, że aby zrobić wrażenie na starszych, mała zdecydowała się wdrapać na ogromny cyprys za rogiem domu.

Dosięła szczytu i zaczęła triumfalnym wołaniem obwieszczać swoje męstwo, gdy wtem zdała sobie sprawę, jak wysoko się znajduje. Radosne okrzyki zmieniły się w lament przerażenia.

Kiedy stało się jasne, że nikt inny nie zamierza iść na pomoc płaczliwej sześciolatce, rycerski Karl Thorne zaczął powoli wspinać się na drzewo. Przyciągnęło to uwagę jego młodszej siostry, Pameli, apodyktycznej ośmioletniej panienki. Przekazawszy niemowlę Kathy w ramiona cioci Evelyn, Pammy stanęła pod konarem cyprysa i zaczęła udzielać rad bratu, który był już w połowie drogi na wierzchołek. Ta troska spotkała się z oburzającą niewdzięcznością ze strony Karla, którego soczyste odpowiedzi na uwagi siostry wywoływały u jego matki, siedzącej nieopodal, salwy śmiechu.

Wkrótce pojawiła się reszta dzieci, wykrzykując na głos rozmaite słowa zachęty wobec szarmanckiego, choć naburmuszonego Karla.

Tylko Jenny, najstarsza z dzieci Thorne'ów i najpoważniejsza z nich, wyglądała na niezainteresowaną tym, co działo się wokół. Wyciągnąwszy się na kocu nad brzegiem młyńskiego stawu, czytała ze zmarszczonym

czołem świeżo wydaną książkę wuja Bernarda *Historia romansu: listy wszystkie Avery 'ego i Lillian Thorne*.

Wokół niej rozmawiali dorośli. Ciotka Evelyn, tuląc w ramionach gaworzące niemowlę Kathy, rozwodziła się nad postęпами w przepisach prawnych regulujących pracę dzieci, podczas gdy ciotka Polly naprawiała kij do rugby Karla.

Kuzyn Bernard wpatrywał się w Lily, matkę Jenny - Bernard zresztą zawsze wpatrywał się w mamę - a ojciec próbował przekonać ciocię-

-babcie Francescę, żeby pojechała z nimi zimą do Egiptu. Jak dotąd nic nie wskórał, ale sądząc z twarzy cioci-babci Franny, był bliski zwycięstwa. Ojciec potrafił zaczarować słońce, by wyszło zza chmur i zaświeciło. - Nie bądź głupia, Francesco - mówił. - Londyn w zimie to dół

kloaczny, a ty przeszedł w zeszłym roku influencę. Ucieczka to najlepsze wyjście. No, chyba że podobała ci się podróż do Rygi przez trzy tygodnie bez przerwy?

- Chciałbyś po prostu, żebym pojechała w charakterze niańki do trojga twoich łobuziaków.

Ojciec spojrział na matkę i w jego oku pojawiło się coś, co w całej rodzinie było znane jako „ten

błysk".

- Hmm - powiedział. - Trafiłaś.

Ciotka Franny zaśmiała się.

- Może i będę niańką. Ale pod warunkiem, że od czasu do czasu dostanę wieczorem wychodne...

Dalszy ciąg wypowiedzi umknął Jenny. Doszła właśnie do końca roku 1891 i prychnąwszy z niesmakiem, stanowczym gestem zamknęła książkę.

Bernard spojrzał w jej kierunku - właśnie w chwili, gdy gramoliła się, by wstać, podwijając pod siebie nogi.

- Wybierasz się gdzieś, kotku? - spytał łagodnie, zwracając ku niej w zamyśleniu głowę z burzą wspaniałych ciemnozłotych włosów.

- Wybieram się do stawu. Pobrodzić.

- O! Trochę się odprężyć, tak?

- Tak - odparła, usiłując go ignorować, co wcale nie jest łatwe, gdy ma się dziesięć lat i rozmawia z greckim bogiem. A Bernard właśnie nim był - przeklętym Apollo.

Wysoki, smukły i nieodgadniony, o umyśle równie przenikliwym jak ojca. Dlatego tak szalenie ją rozczarował, gdy błędnie przedstawił

matkę w swojej najnowszej książce.

- Czy można spytać, co wprawiło cię w tak zły nastrój?

213

Jej opanowanie prysło.

- To z powodu tych... tych listów, które podobno mama pisała do ojca. - Tak? - spytał. - A o co chodzi?

- To nie są listy mamy.

- Szalenie mi przykro, że ci się sprzeciwiam, kochana Jenny, ale są.

Twoja mama była tak uprzejma, że pozwoliła mi je zacytować dosłownie, w całości.

- Dlaczego dała ci wolną rękę, tego nigdy nie zrozumiem, do diabła

- powiedział ojciec, który usłyszał ich rozmowę. - Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć czytać cudze listy? To niczyj zakichany interes.

- Avery - Bernard rozjaśnił twarz jednym ze swoich nieczęstych uśmiechów - przecież wy nie jesteście pierwsi lepsi. Zaloty jednego z najsłynniejszych angielskich podróżników i jednej z najbardziej znanych mówczyń wśród sufrażystek - kto by się oparł takiej lekturze?

- Ja - odpowiedziała zdecydowanie Jenny.

- A to dlaczego, kotku? - spytał Bernard.

Zamiast odpowiedzi padła na kolana i zaczęła przerzucać książkę.

W końcu znalazła miejsce, o które jej chodziło.

- To tu. Posłuchajcie: „Mój najdroższy wrogu! Proszę pozwolić, że ustosunkuję się do pańskiego idiotycznego stwierdzenia, że kobiety powinny zadowolić się rolą «duchowego ogniska, przy którym grzeje się mężczyzna». Jeśli mężczyźni marzną ciało, radzę zainwestować w porządny piec. Jeśli marzną mu duch, proponuję kielicha”.

Ojciec odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Bernard też wyglądał

na rozbawionego.

- To właśnie cała twoja matka...

- Nie, sir - odparła Jenny. - Moja matka nigdy by nie była taką oferwą. Moja matka posiekałaby na kawałeczki mężczyznę, który wypowiedziałby podobnie śmieszny pogląd.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Lily, która, stwierdziwszy, że synek Kathy leży już bezpiecznie w ramionach swojej matki, zajęła na powrót swoje miejsce i przysłuchiwała się im w milczeniu. Teraz podniosła na córkę ciemne oczy.

- Naturalnie, Jenny - powiedziała pogodnie, uśmiechając się do męża. - Ale kiedy spotykamy wiatkowego dżentelmena, który zasługuje na wysiłek instruowania go można sobie pozwolić na łagodność.